KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 3/209** **1965**

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. MIEROSZEWSKI : **WYBÓR I WYBORY**

J. BRODSKIJ :
WIELKA ELEGIA NA JOHNA DONNE

G. de CERIZAY :
KLASA NAJBARDZIEJ NIEZADOWOLONA

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	*Wybór i wybory*	3
Czesław Miłosz:	*Myśli o T.S.Eliocie*	11
Irena Danuta Bieńkowska:	*Judy w Jugosławii*	19
	WIERSZE	
Josef Brodskij:	*Wielka elegia na Johna Donne*	30
Hirsas Oserovicius:	*Miód poznania*	35
	KRAJ	
Gaston de Cerizay:	*Klasa najbardziej niezadowolona* ..	38
Gaston de Cerizay:	*Konwencja międzynarodowa*	42
—	*List od przyjaciół*	48
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	61
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Michał Chmielowiec:	*Bomby, prezerwatywy i żonaci księża*	72
	NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI	
—	*Pamiętniki amb. Majskiego*	77
Stanisław Gostkowski:	*Week-end*	79
	KRONIKA KULTURALNA	
Bohdan Brodziński:	*Raport o stanie kultury polskiej w Londynie*	88
Marek Żuławski:	*Zbiory Peggy Guggenheim*	101
—	*Komunikaty*	105
	a) Nagrody Fundacji im. A. Jurzykowskiego;	
	b) Rozstrzygnięcie Konkursu im. Cz. Straszewicza;	
	c) Rozstrzygnięcie Konkursu im. Z. Nowakowskiego.	
	SPRAWY I TROSKI	
Witold Kuss, sen.:	*Polacy w Argentynie* (3)	108
—	*Polemiki australijskie*	122
	KSIĄŻKI	
(m.l.d.):	*W oczach Londynu*	129
Paweł Zdziechowski:	*Taksówkarz, laureat i pisarz amerykański*	135
Adam Czerniawski:	*Filozofia dla wszystkich*	142
Wacław Iwaniuk:	*„Madonny" O. Chabrowskiego*	145
Andrzej Chciuk:	*Dzielnica Szwarckopów*	146
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	148
	◆	
Zofia Hertz:	*Humor krajowy*	151
	◆	
DEUTSCHLANDFUNK, M.K. Pawlikowski, J. Rostworowski, W. Sukiennicki, F. Śmieja, W. Zagórski, Cz. Dobek:	*Listy do Redakcji*	153

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1965

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ KULTURY

Dr Bohdan J. Koszewski, Omaha, Nebr. (USA)	24,00 F
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Kanada) po raz trzeci	40,00 „
Janusz Laskowski, Paryż po raz piąty	20,00 „
Manswet Z. Domański, Passaic, N.J. (USA) po raz trzeci	5,00 „
Pamięci Powstańca Stefana Bronimira S., bezimiennie (USA) po raz piąty	24,00 „
E. Baczyzmalski, Reading, Berks (W. Brytania), po raz czwarty	13,80 „
Bogdan Szarlak, Monachium (Niemcy)	6,00 „
H. Dolatowski, Knutange (Moselle)	30,00 „
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz drugi	100,00 „
A. Podhalicz, Londyn	14,00 „
Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	675,00 „
Józefa Turska, St. Anne de Bellville, Que. (Kanada) po raz dziesiąty	31,50 „
„Jerzycz" (Argentyna)	12,00 „
Janina Surynt-Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada) po raz trzeci	40,00 „
Stefan Wróblewski, New Britain, Conn. (USA) w drugą rocznicę śmierci Wachtunga Abaszydze	48,00 „
Kazimierz Zdziarski, Caracas (Venezuela), po raz szósty	43,00 „
Wiktor R. Skiba, Meksyk, po raz szósty	49,00 „
Bezimiennie, Milwaukee, Wis. (USA)	39,00 „
Jerzy Gintel, Caracas (Venezuela), po raz piąty	39,00 „
Dr St.N. Korzeniowski, Ladd, Ill., (USA), po raz jedenasty	147,00 „
Stefan Krasucki, Sao Paulo, (Brazylia), po raz drugi	56,35 „
Dr C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont., (Kanada), po raz trzeci ..	9,00 „
Maria Radecka, Cornwall, Ont., (Kanada)	13,50 „
Edward Holub, Irvington, N.J., (USA)	8,00 „
Bolesław Biskupski, Belo Horizonte (Brazylia), po raz drugi	19,60 „

DZIĘKUJEMY

BIBLIOTEKA NARODOWA

Imprimé en France

Wybór i wybory

W styczniu bieżącego roku na łamach „New York Times" ukazała się seria artykułów Maxa Frankel'a opisujących sytuację w Europie wschodniej. Frankel był wszędzie i mówił z setkami ludzi. Polska w tym bilansie dwudziestolecia Europy wschodniej figuruje na ostatnim miejscu. Winę za ten stan rzeczy ponosi nie tylko partia lecz i społeczeństwo. Choć zabrzmi to patetycznie — czas jest uderzyć na alarm. Na przestrzeni ubiegłych sześciu lat obserwujemy odpływ, który paraliżuje cały kraj i uniemożliwia wykorzystanie licznych możliwości zarysowujących się na terenie międzynarodowym.

Oczywiście można powiedzieć, że Rumuni mają drzewo i naftę, a więc towary, które z łatwością można zawsze sprzedać na Zachodzie. Lecz Niemcy Wschodnie znajdują się w znacznie gorszym położeniu niż Polska a pod wieloma względami dają sobie lepiej radę. N.R.D. żyje w cieniu bogatej i kwitnącej Niemieckiej Republiki Federalnej. Ulbricht nie może odwołać się do patriotyzmu czy nacjonalizmu społeczeństwa wschodnio-niemieckiego. Poprzez mur berliński przeciekają na Zachód najlepsi fachowcy i wykwalifikowani robotnicy. Rosjanie, jedyni protektorzy Ulbrichta, nie ufają ani Niemcom zachodnim ani Niemcom wschodnim.

Wśród komunistycznych państw europejskich w pozycji najbardziej uprzywilejowanej znajduje się Jugosławia — w pozycji najmniej uprzywilejowanej — Niemcy Wschodnie.

Jugosławii nikt nie zagraża. Przeciwnie, oba super-mocarstwa, tj. Rosja Sowiecka i Ameryka, ubiegają się o względy Jugosławii, która nie należąc do żadnego z bloków utrzymuje ożywione stosunki gospodarcze tak z Wschodem jak i z Zachodem. Wydawałoby się więc, że są to warunki cieplarniane umożliwiające spokojną, niczym nie zakłóconą ewolucję.

Nie ulega wątpliwości, że w wielu dziedzinach komunizm jugosłowiański reprezentuje najwyższy stopień rozwoju. Lecz głównego problemu nie rozwiązano i w Jugosławii.

W belgradzkim piśmie „Politika" z 13 grudnia ub. roku ukazał się bardzo charakterystyczny rysunek. Z dziecinnego wózka wyskakuje ogromne i świetnie rozwinięte „dziecko" trzymając w prawej ręce „prawo jazdy". Obok stoi nowy potężny samochód. Tej scenie przyglądają się wielce zakłopotane i zdumione guwernantki: administracja i biurokracja. Na rysunku brak jest jeszcze trzeciej guwernantki, która niewątpliwie jest najbardziej zaniepokojona. Tą guwernantką jest partia.

Owym „dzieckiem", które jest źródłem zarówno dumy jak i niepokoju jest system samorządu robotniczego. Samorząd robotniczy nie tylko osłabił rządy centralistyczne, lecz zmusił w pewnej mierze partię do zajęcia pozycji obronnej. Jak słusznie podkreślił Slobodan Stanković w jednym ze swych artykułów — w żadnym państwie komunistycznym z wyjątkiem Jugosławii — partia nie musi walczyć o prawo przywodzenia. Samorząd robotniczy stworzył wiele nowych zagadnień, które nie łatwo jest pogodzić z marksistowską ortodoksją.

Ósmy Kongres Ligi Komunistów Jugosławii (7-13 grudzień 1964) — uwypuklił z całą wyrazistością problem o którym mówimy. Kongres nie przesądził zagadnienia lecz zaakceptował tak jedno jak i drugie stanowisko. Ranković i jego grupa centralistów uzyskali potwierdzenie tezy, że centralizm demokratyczny stanowi podstawę jedności partii. Równocześnie jednak „liberałowie" pod przywództwem kroackiego działacza Vladimira Bakarića uzyskali proklamowanie (uchwałą kongresu) samorządu robotniczego jako nieodwołalnej i nieodwracalnej zdobyczy, stanowiącej fundament porządku społeczno-gospodarczego.

Jest rzeczą charakterystyczną i interesującą, że centraliści cieszą się największym poparciem w Macedonii i Czarnogórze a więc w połaciach kraju o zapóźnionym rozwoju gospodarczym.

Do wybranego na kongresie w grudniu ub. roku Komitetu Wykonawczego (Politbiuro) weszło 7 „liberałów". Ponieważ Politbiuro składa się z 19 członków — „liberałowie" stanowią mniejszość. Lecz jest to mniejszość nie tylko bardzo aktywna lecz reprezentująca postępowy nurt rozwojowy.

Centralistom trudno się dziwić. „Ekonomia rynkowa", demokratyzacja, sukces samorządu robotniczego — w dalszej perspektywie prowadzić muszą do uwiądu monopolu partii. „Liberałowie" argumentują słusznie, że przywódcza rola partii nie może opierać się na biurokratycznym i mechanicznym centraliźmie. Przywódcza rola partii winna być konsekwencją masowego poparcia społeczeństwa wyrażonego w sposób swobodny i demokratyczny.

W sumie należy stwierdzić, że w Jugosławii istnieje silny ruch reformy, który w przeciwieństwie do „rewizjonistów" w innych krajach komunistycznych — może się poszczycić znacznymi, konkretnymi osiągnięciami.

Patrząc na ponury obraz rzeczywistości w Polsce dochodzę do wniosku, że jedną z głównych przyczyn stagnacji jest brak ludzi. Żadna z frakcji nie dysponuje wybitnymi jednostkami.

Jedyną siłą Gomułki i jego grupy jest miernota i słabość jego przeciwników.

Nie musimy być wiecznie „natchnieniem świata" — lecz nie ma powodu byśmy wlekli się na szarym końcu. W tabeli państw wschodnio-europejskich spadliśmy na ostatnie miejsce. Straciliśmy fizjognomię. Polska Gomułki jest nijaka. Przestaliśmy być krajem problemów. W porównaniu z Rumunią, Węgrami czy nawet Czechosłowacją — jesteśmy zapadłą prowincją, gdzie niepodzielnie królują biurokracja i nuda.

Gdy czyta się reportaże życzliwych Polsce cudzoziemców — jak cytowane na wstępie korespondencje Maxa Frankela — ogarnia nas zdumienie. Polacy nigdy się tak nie zachowywali, nawet za czasów Bieruta. We wszystkich krajach bloku wschodniego, Rosji nie wyłączając, obserwujemy ewolucję i postęp. Wyczuwamy wszędzie atmosferę naporu, która świadczy, że dynamiczne siły torują sobie drogę ku powierzchni. W Polsce cisza. Lecz nie przed burzą.

Sprawa Wańkowicza wywołała żywą reakcję — kwiaty, listy, telefony. Aktor przerwał swą kwestię i powitał Wańkowicza ze sceny. To są gesty, które kochamy i to są gesty, na których wszystko się kończy.

Potrzebny jest wielki wstrząs, który wyrwałby społeczeństwo z letargu. Konieczny jest nie tylko protest 34 pisarzy. Konieczny jest protest milionowych mas społeczeństwa polskiego.

W bieżącym roku winny odbyć się wybory do Sejmu. Według konstytucji PRL Sejm wybierany na 4 lata jest „najwyższym organem władzy państwowej".

20 stycznia 1957 r. — niemal bezpośrednio po upadku powstania węgierskiego — odbyły się wybory do Sejmu. W Polsce zdobycze Październikowe nie uległy jeszcze likwidacji. W kraju panowało powszechne przekonanie że zbojkotowanie wyborów, czy skreślanie kandydatów „Frontu Jedności Narodowej" — byłoby wodą na młyn stalinowców walczących z Gomułką.

Dziś po 8 latach musimy stwierdzić, że wszystkie zdobycze Października uległy likwidacji. Zlikwidował je Gomułka korzystając ze współpracy stalinowców.

Po upadku Chruszczowa w „Prawdzie" ukazał się „twardy" artykuł zaadresowany do pisarzy i artystów-plastyków. Nikogo jednak nie aresztowano i nikomu nie wytoczono procesu. W tym samym czasie w Polsce aresztowano Wańkowicza (i innych) i wytoczono mu proces.

Obejmując władzę Gomułka dysponował olbrzymim kredytem zarówno wśród Polaków w kraju jak i na emigracji. Gdyby był mężem stanu na miarę historycznej chwili miałby dziejową szansę zjednania Polaków dla idei socjalizmu i zapewnienie Polsce czołowej roli. Miał wszystkie atuty w ręce. Był ofiarą stalinizmu i wyszedł z więzienia. Jego purytanizm i osobista uczciwość zjednywały mu spontaniczną sympatię wśród najszerszych warstw społeczeństwa. Legenda narodowa przedstawiała go jako nieustraszonego patriotę i rozważnego męża stanu,

który w dramatycznym momencie zagroził Chruszczowowi apelem radiowym do narodu. Obronił Polską Sprawę z dumą i godnością, a równocześnie nie dopuścił do tragedii na wzór Budapesztu.

Gomułka rozpoczynał swą karierę przywódcy z wielkim kapitałem, który roztrwonił bezprzykładnie. Polska, która 8 lat temu przodowała na polu planowania gospodarczego — dziś przedstawia obraz chaosu i niedołęstwa. Z samorządu robotniczego (rady robotnicze), z oryginalnych projektów nie pozostało śladu. Reklamowana „polska droga do socjalizmu" okazała się bezdrożem wiodącym do nikąd.

W przeciwieństwie do Jugosławii, Włoch, a nawet w przeciwieństwie do Związku Sowieckiego — obie główne frakcje PZPR są konserwatywne. Po Październiku partia została oczyszczona z „rewizjonistów" — to znaczy z ludzi postępowych, często wybitnych, o wielkich walorach intelektu. W rezultacie poziom intelektualny partii uległ katastrofalnemu obniżeniu. W epoce automatyzacji, cybernetyki, komputorów — Polską rządzi partia kierowana przez ludzi o miernej inteligencji i o całkowicie niedostatecznym wykształceniu.

W jesieni 1956 r. partia uratowała swój autorytet dosłownie z dna klęski — ponieważ miałą alternatywny garnitur przywódczy. Wystarczyło tylko powszechną nienawiść do stalinizmu i rewolucyjny ruch ku demokracji zaprezentować społeczeństwu jako linię Gomułki. Dzięki tej operacji nienawiść do komunizmu reprezentowanego przez Natolin — *wzmocniła i utrwaliła* komunizm reprezentowany przez Gomułkę.

Dziś partia nie dysponuje żadną alternatywą. Tę alternatywę *musi stworzyć społeczeństwo.*

W dniach obrad Ósmego Plenum we wszystkich zakładach przemysłowych i fabrykach, na uniwersytetach i wyższych uczelniach, w biurach i w szkołach — odbywały się masowe zebrania. Uchwalano rezolucje, które przekazywano do KC. Ludowładztwo nie było wówczas frazesem, choć większość nie zdawała sobie sprawy, że Gomułce na ludzie nic nie zależy. Chodziło mu wyłącznie o opanowanie apratu partyjnego i poparcie społeczeństwa tylko do tego celu było mu potrzebne.

Wybory do Sejmu w roku 1957 odbyły się jeszcze w „demokratycznej" atmosferze. Kandydowało do Sejmu 750 osób a więc niemal dwa razy tyle ile było mandatów (459) W porównaniu z wyborami w roku 1952 była to olbrzymia zmiana. W roku 1952 wybory były dokonane w chwili gdy lista kandydatów została zatwierdzona przez Politbiuro. Akt wyborczy był czystą formalnością.

W roku 1957 tzw. „komisje mieszane" ustaliły listy kandydatów z około 60 tysięcy nazwisk zgłoszonych przez różne organizacje. I wówczas nie można było wyjść poza ramy Frontu Jedności Narodowej — lecz w ramach Frontu można było wybierać. Wyborcy pozostawiono pewną swobodę decyzji.

Gomułka w jednym ze swych przemówień podkreślił wtedy,

że wynik wyborów nie zadecyduje o losach PZPR ponieważ PZPR jako partia rewolucyjna nigdy nie zrezygnuje z władzy na rzecz reakcji. Wynik wyborów — podkreślił Gomułka — zadecyduje jednak o tym czy proces demokratyzacji będzie można poszerzyć — czy też okaże się koniecznością go zwęzić (W. Gomułka — „Przemówienia 1956-1957"). Slogan o demokratyzacji był potrzebny by przekonać wyborcę, że nie należy skreślać komunistów reprezentujących „polską drogę do socjalizmu".

W roku 1961 demokracja nie była już potrzebna Gomułce i mogła ulec „zwężeniu".

Dokładnie na 4 tygodnie przed datą wyborów ukazał się w prasie spis kandydatów obejmujący 616 nazwisk z 180 okręgów wyborczych. Cyfra mandatów poselskich w nowym Sejmie wynosiła 460. Komuniści zgłosili 387 kandydatów.

„Dziennik Ustaw" z 22.12.1960 r. przyniósł przepisy nowelizujące ordynację wyborczą po linii maksymalnego „zwężania" procesów demokratyzacji. Przepisy z Października 1956 („Dziennik Ustaw" z 26.10.1956) zezwalały organizacjom a nawet zebraniom zwołanym w miejscach pracy wysuwać kandydatury do Sejmu. Cytowana powyżej ustawa z grudnia 1960 r. zniosła ten przywilej. W przeciwieństwie do roku 1957 wiece przedwyborcze w roku 1961 — były ściśle zamkniętymi, partyjnymi zebraniami organizowanymi i kierowanymi wyłącznie przez komunistów. Lud zrobił swoje i ani Gomułce ani partii nie był już dłużej potrzebny.

Znowelizowane przepisy z roku 1960 ograniczają ilość zgłoszonych kandydatur w stosunku do ilości mandatów przyznanych danemu okręgowi wyborczemu do 50%. Według przepisów z 1956 r. mogło być o dwie trzecie więcej kandydatur niż mandatów.

I punkt bardzo istotny. Mężowie zaufania organizacji które wysunęły kandydatury do Sejmu — *nie muszą być obecni* ani przy głosowaniu ani przy liczeniu głosów. Ich obecność nie jest już prawnie wymagana — czyli, że w każdym wypadku kiedy ci panowie są niewygodni można się bez nich obejść.

Według przepisów z 1960 r. wyborca ma jeszcze prawo skreślić nazwisko kandydata lecz nie ma prawa żadnego nazwiska dodać.

W sumie należy stwierdzić, że ustawodawstwo wyborcze z 1960 r. w porównaniu z ordynacją wyborczą z roku 1956 — stanowi wybitne zwężenie procesu demokratyzacji i nawrót do stalinowskiego „ideału" ustawodawstwa wyborczego z roku 1951. Wówczas ilość kandydatów musiała ściśle odpowiadać ilości posłów w Sejmie i w chwili zatwierdzenia listy kandydatur przez politbiuro wybory były faktem dokonanym. Dla pewności w okresie wyborów (październik 1952) Biuro Polityczne powołało do życia specjalną pięcioosobową komisję, której celem było sfałszowanie wyników wyborów w ten sposób by wszystko zgadzało się z planem w 99,9%. Jednym z członków owej komisji był

J. Światło, który opisał tę operację (J. Światło — „Conducting Elections in Poland").

Gomułka okazał się złym taktykiem. Teoretycznie podjął wojnę zarówno z dogmatykami (stalinowcami) jak i z rewizjonistami. W praktyce walczył tylko z rewizjonistami, a ze stalinowcami szukał kompromisu. Jego totalny błąd polega na tym, że o ile z rewizjonistami kompromis był możliwy o tyle ze stalinowcami kompromis nie jest możliwy. Stalinowcy dążą nie do kompromisu lecz do uchwycenia władzy. Gomułce wydaje się, że realizując program dogmatyków rozbroi neostalinistów. Jako doświadczony aparatczyk powinien wiedzieć, że w rozgrywkach partyjnych nigdy nie chodzi o program, tylko zawsze o władzę.

Celem stalinowców jest odzyskanie pełni władzy, którą nie zamierzają dzielić się z nikim a już na pewno nie z tow. Wiesławem.

Jako formacja umysłowa i ideologiczna Gomułka jest bliższy Natolina niż „październikowców". Podobnie jak jego wróg Mijal czy rosnący „konkurent" Moczar — nie znosi intelektualistów, pisarzy, inteligencji — ludzi, którzy żywią jego kompleks niższości. Jednak polityk nie może w swych decyzjach opierać się na kompleksach i uprzedzeniach.

W stosunku do stalinizmu możliwe są tylko dwie postawy: albo się jest stalinowcem albo anty-stalinowcem. Kompromisowe postawy są wyłączone. Gomułka mógł przyjąć wyciągniętą przez Natolin rękę w roku 1956 i wezwać na pomoc dywizje sowieckie. Wówczas nie byłoby „Października" tylko drugi Budapeszt. Odrzucając ofertę Natolina powinien był zdawać sobie sprawę, że stalinowcy nigdy mu tego nie wybaczą ponieważ on — mając wówczas poparcie całego społeczeństwa przypieczętował ich klęskę.

Na ogół w partiach politycznych cywilizowanego świata — partii komunistycznych nie wyłączając — postępowa mniejszość wywiera nacisk na konserwatywną większość. Hadżi Vasiliew — jeden z najwybitniejszych teoretyków komunizmu jugosłowiańskiego na łamach „Nova Makedonia" wypowiedział ostatnio pogląd, który warto odnotować:

> „Procesu rozwoju myśli społecznej nie można ograniczać przez poddanie go zasadzie demokratycznego centralizmu. Nie możemy dopuścić do tego, aby wszelką dyskusję czy wszelkie starcie poglądów kończyć bezapelacyjną, wiążącą decyzją. Stosowanie zasady centralizmu demokratycznego podważa prawa mniejszości. Wiążąca bowiem decyzja pozbawia tę mniejszość prawa walki o uznanie jej własnych poglądów tylko dlatego, że większość tej słuszności nie rozumie".

To są poglądy prawdziwie demokratyczne. Ponieważ istotą demokracji nie są rządy większości lecz uznanie prawa mniejszości do obrony swego stanowiska co w dalszych konsekwencjach umożliwić może mniejszości stanie się większością. Centralizm demokratyczny w stalinowskiej wykładni wymaga od mniejszości całkowitej kapitulacji i podporządkowania się „nieomylnemu" kierownictwu partii.

Polska sytuacja jest wyjątkowa i w pełnym tego słowa znaczeniu absurdalna. Mniejszością wywierającą nacisk na grupę rządzącą nie są postępowcy i zwolennicy demokratyzacji lecz przeciwnie, konserwatywni stalinowcy. Gomułka pod naciskiem opozycji schodzi coraz wyraźniej na pozycje stalinowskie.

Partia bez dynamicznej postępowej mniejszości jest partią martwą. W Polsce, a nawet w partii, nie brak ludzi postępowo myślących lecz podjęcie walki na dwa fronty, tzn. zarówno przeciw grupie Gomułki jak i stalinowcom wydaje się zadaniem ponad siły.

Postępowcy tak w partii jak i poza nią — potrzebują wstrząsu i manifestacji, która uświadomiłaby im ich własną siłę i wymiar poparcia społecznego. Wybory do Sejmu mogą stworzyć odpowiednie warunki.

Kto nie chce chybić, nie powinien mierzyć zbyt wysoko. W polityce realizmu nigdy nie jest za wiele. Należy domagać się uporczywie przywrócenia w pełni przepisów wyborczych z roku 1956. Kto się ma tego domagać? W okresie przedwyborczym należy wskrzesić tradycję październikową i organizować zebrania w fabrykach, w miejscach pracy, na wyższych uczelniach itp. Trzeba przypomnieć partii, że władza ludowa to jest ludowładztwo a nie zebrania kierowane przez partię i nie Sejm złożony z mianowanych posłów.

Wszystkie zebrania i manifestacje w całym kraju winny domagać się zniesienia przepisów wyborczych z roku 1960 ponieważ celem tych przepisów było zdławienie tej minimalnej wolności jaką przyznano wyborcy w roku 1956.

Partia nie zaakceptuje kandydatów wysuwanych przez organizację i zebrania jeżeli nie będzie świadoma atmosfery naporu w całym kraju. Kilka udanych przedwyborczych zebrań i manifestacji może przemienić gorycz i zniechęcenie społeczeństwa w gniew i w wolę radykalnej reformy. Oczywiście aparatczycy będą nawoływać: „jeżeli nie poprzecie Gomułki przyjdą stalinowcy". W stosunku do klasy robotniczej, w stosunku do liczebnego stanu partii — nie mówiąc o społeczeństwie, które ich pamięta i nienawidzi — stalinowcy stanowią znikomą mniejszość. Gomułka jednak wbrew interesom, woli i nastrojom społeczeństwa ustępuje stalinowcom adoptując ich politykę i metody.

Nie wiem czy leży w granicach rzeczy możliwych odbudowanie autorytetu Gomułki w oczach społeczeństwa. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Gomułkę warto byłoby poprzeć tylko wówczas jeżeli wybory do najbliższego Sejmu pragnąłby wykorzystać do przeprowadzenia definitywnej rozprawy ze stalinowcami i nieostalinizmem w Polsce. Slogany nie wystarczą. Gomułka musiałby wrócić na punkt startu — przywrócić przepisy wyborcze z roku 1956 — unieść „klapę bezpieczeństwa", by

gniew ludu wydobył się na powierzchnię. Musiałby natychmiast restaurować w pełni proces demokratyzacji i wykazać czynem, że jest po stronie postępu a nie kukłą w rękach neostalinowców. Tylko w oparciu o społeczeństwo i postępowe koła partii Gomułka miałby szansę wydobyć się z matni.

Choć na tym świecie, a szczególnie w Polsce, wszystko jest możliwe — osobiście nie wierzę w odnowę Władysława Gomułki. Wydaje mi się również, że i w Polsce nikt w to nie wierzy. Z tej przyczyny Gomułka i jego frakcja de facto nie są ani alternatywą ani zabezpieczeniem przed neostalinizmem.

Jeżeli jednak społeczeństwo nie zdobędzie się na żywą reakcję, na zdecydowany odruch — stalinowcy wykorzystają wybory, by umocnić swoje stanowisko.

Dogmatyzm jest pewną doktryną i anty-dogmatyzm jest również pewną doktryną. Natomiast „gomułkizm" nie jest żadną doktryną. Wbrew przykładom, które obserwujemy w innych krajach komunistycznych — „gomułkizm" nieuchronne i twórcze starcie pomiędzy anty-dogmatykami a dogmatykami stara się zastąpić jałowym kompromisem, który w gruncie rzeczy nie zadawala ani dogmatyków ani anty-dogmatyków ani społeczeństwa.

Gdy nadejdzie okres wyborczy Polacy w kraju winni sobie zdawać jasno sprawę, że nie wybieramy pomiędzy „gomułkizmem" a neostalinizmem a że, w Polsce jak i we wszystkich innych krajach komunistycznych, wybór sprowadza się do alternatywy: dogmatycy czy anty-dogmatycy. W świetle tej zasadniczej alternatywy Gomułkę zaliczyć należy do dogmatyków.

Tylko anty-dogmatycy (z których Gomułka oczyścił swój aparat) mieliby szansę powtórzyć manewr październikowy i uratować autorytet odnowionej partii identyfikując się z rozgoryczeniem społeczeństwa zwróconym przeciw Gomułce i stalinowskiemu podziemiu. Gdyby okres wyborczy wydobył na powierzchnię ogrom niezadowolenia, gdyby do rzekomej władzy ludowej zaczął przemawiać lud manifestacjami, zebraniami, masowymi skreśleniami — wówczas Gomułka nie mając innego wyboru postąpiłby tak jak Natolin w roku 1956. Powołałby do KC odstawionych na boczny tor październikowców i anty-dogmatyków prezentując się społeczeństwu jako „pogromca stalinowców". Antydogmatycy i postępowcy — dziś rozproszeni — zdobyliby szansę umocnienia swojej pozycji w celu podjęcia politycznej walki o zdemokratyzowanie i unowocześnienie ustroju. Dni Gomułki byłyby policzone. Uratowałby partię lecz nie siebie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Myśli o T. S. Eliocie

1. T.S. Eliot pojawił się w literaturze na kilka lat przed I wojną światową tzn. wtedy kiedy rozwód pomiędzy poezją i publicznością został już przeprowadzony. Wzór bohemy oddającej się zajęciom dla normalnych ludzi niezrozumiałym obowiązywał poetów, którzy, jakiejkolwiek byli narodowości, za swoich patronów obierali francuskich symbolistów. Pomniejszanie stawki i wyjaśnianie dążeń tych poetów „walką o nową estetykę" byłoby jałowym przedsięwzięciem. W istocie chodziło o odpowiedź na pytanie co ma robić człowiek we wszechświecie „obezwartościowanym" przez scjentyczny i pozytywistyczny światopogląd; dylematy w dostatecznie dobitny sposób przedstawił Nietzsche. Toteż dla poetów nieco starszych od Eliota (ur. 1888) jak W.B. Yeats (ur. 1865) Rilke (ur. 1875) czy w Polsce Leśmian (ur. 1878) centralnym zagadnieniem była sztuka jako akt stwarzający wartość, albo, co wychodzi na jedno, jako akt stwarzający Boga, a więc substytut religii. Stosunek Eliota do tak pojętej sztuki (baron Münchhausen wyciągający siebie za włosy) określa całą jego twórczość.

2. Spośród przedstawicieli tzw. nowoczesności Eliot wybierał Baudelaire'a, omijając jego francuskich następców z wyjątkiem Jules Laforgue'a, co jest dość znamienne. Baudelaire był poetą grzechu pierworodnego i przez to poetą chrześcijańskim. Ironiczny Laforgue nie opowiedział się za samowystarczalną, siebie-samą-podtrzymującą sztuką słów, której ascetycznym kapłanem był ateista Mallarmé. Wiersze Laforgue'a są bardzo osobistą skargą człowieka, który stwierdza, że z takim *wyobrażeniem przestrzeni,* jakie zbudował scjentyczny światopogląd, żyć nie można — stąd u niego ciągłe obrazy tańczących bezsensowny taniec planet, w

nieskończenie rozciągłej pustce, bez początku ni końca w czasie. Łączy się to z poczuciem bezsensu ludzkiego społeczeństwa jako fantasmagorii mijanej przez samotnego obserwatora. Tę metafizyczną rozpacz lepiej wyrażały wiersze-piosenki Laforgue'a pisane argotycznym językiem, niż szlochy wielu innych, choćby Przybyszewskiego czy Kasprowicza.

Zarówno Baudelaire jak Laforgue utwierdzali Eliota i jego przyjaciela Hulme'a w ich kulcie Dantego, jako poety utraconej cywilizacji organicznej, kiedy ludzie mieli dostęp do „wody żywej". Rozmyślanie dotyczyło więc faz cywilizacji, z nostalgią skierowaną w przeszłość. Ale, jak to dzieje się w Europie od początków romantyzmu, tęsknota do przeszłości i tęsknota do przyszłości były ze sobą splątane: jeżeli przemysłowa i scjentyczna cywilizacja pozbawiła człowieka jego przyrodzonej mu, względnej równowagi, to znaczy, że *optimum* istnieje i może być odzyskane (idealizację utraconych więzi organicznych można odnaleźć też u źródeł socjalizmu utopijnego, w traktatach o pierwotnym komunizmie). Oczywiście Eliot i jego przyjaciele byli jak najdalej od przyszłościowych rojeń H.G. Wellsa, które miały być przekreślone wyznaniem zupełnego pesymizmu w jego ostatniej książce. Ich ideałem stała się hierarchia, ład — do przywrócenia, pod grozą zagłady. Przedmiotem „Ziemi jałowej" jest *cité infernale,* które najpierw opisywał William Blake, później Baudelaire — i w miarę upływu czasu człowiek w tym diabelskim mieście miał się coraz gorzej. „Ziemia jałowa" mogłaby stanowić ilustrację do tez Oswalda Spenglera o tej fazie w rozwoju jakiejś cywilizacji kiedy wyczerpują się jej siły żywotne. Niezdolność wyobraźni do religijnego ukształtowania przestrzeni ma według Eliota swój odpowiednik w rozpadzie, chaosie i percypowanych przedmiotów i stosunków pomiędzy ludźmi, co zresztą oddaje sama konstrukcja poematu, konstrukcja ruin, ułomków, fragmentów. Mówię to, żeby przypomnieć, że Eliot nie przyłączył się do zwolenników sztuki dla sztuki i w przeciwieństwie do Yeatsa nie żeglował do żadnego Bizancjum doskonale zastygłych form. Chciał być poetą-interpretatorem, niekiedy chrześcijańskim satyrykiem.

3. Jego poezji właściwa była jedna, co najmniej, zasadnicza wewnętrzna sprzeczność. Był „intelektualny" tzn. przekazywał pewne znaczenia, które nie przestają nimi być nawet jeżeli rozpatruje się je inaczej niż jako składniki danej artystycznej całości. Zarazem jednak swoje poetyckie rzemiosło wypracował posługując się poetyką symbolistów. Poetyka ta — poczynając od pierwszych jej wynalazców jeszcze w obrębie romantyzmu — żądała coraz większej „czystości" czyli zakreślała coraz wyraźniejszą granicę pomiędzy poezją i językiem potocznym, tak że końcowym jej wykwitem był „meta-język" *(za-umnyj jazyk).* Taka poetyka uniemożliwiała liczne odmiany opisu i dyskursu. Toteż rozmiary utworu poetyckiego stale się kurczyły aż wreszcie nie strofa ale jedna linijka była sceną spięć i błysków. Sam Eliot, i przez swoją praktykę i przez swoją działalność teoretyka, narzucił angielskim i amerykańskim poetom zasady napotykające, zwłaszcza w Ameryce, na znaczny sprzeciw. Główna z tych zasad opiewała, że poeta porozumiewa się z czytelnikiem nie „wprost", ale stwarzając „objective correlatives" czyli zamiast opowiadać co czuje i co myśli, pokazuje przedmioty albo zespoły przedmiotów kojarzące się z pewnymi przeżyciami.

Nie trudno zauważyć, że taka poetyka, dostosowana do komunikowania stanów nie-do-określenia, myślo-uczuć czy nastrojów, stawiała wyjątkowo trudne warunki poecie, który oddawał się medytacjom i był może, z temperamentu, anglikańskim duchownym siedemnastego wieku. Niezwykły opór, ciągle przez niego na nowo, dobrowolnie, pokonywany wyjaśnia szczupłe rozmiary (jeżeli wyłączymy sztuki teatralne) jego dorobku. Sprzeczność i opór na jaki natrafiały wysiłki zmierzające do jej przezwyciężenia są też sekretem zwartości i energii każdego wersu Eliota, pod którym to względem nie miał w języku angielskim rywala. Gdyż czytelnik odgaduje czy dany wers to już wszystko co poeta może ofiarować, czy też drobna część czającego się za nim ładunku, „procent od prawdy". Ale tutaj też jest powód do zmartwień dla krytyków. Zadowoleni są oni na ogół jeżeli potrafią odcyfrować poetę jako zjawisko o czymś świadczące w historii kultury i w tym to sensie zapytują „co znaczy". Mnożące się glossy nie tylko do poszczególnych utworów Eliota ale do poszczególnych linijek w tych utworach i komiczna rozpacz krytyków, którzy ani rusz nie mogą się zgodzić na jednolitą wykładnię tego „co poeta chciał powiedzieć", wskazują, że mamy tu do czynienia z rodzajem piesarza wymagającego innych sposobów oceny. Eliot zwartość i surowość swojej formy zawdzięczał sprzeczności ale poetyka jaką wybrał czyniła go poetą „ciemnym" a niektórych ustępów np. w „Czterech kwartetach" nie da się rozwikłać nie uciekając się do, nieraz zresztą wątpliwej, pomocy jego komentatorów.

4. Jakiekolwiek było jego ściśle indywidualne powołanie, przynależał do swojej epoki i motywy jakie wprowadzał pojawiały się w różnych krajach równocześnie, całkiem niezależnie od literackich zapożyczeń. Eliot ustanowił swój krajobraz — szarości, bezsensu, daremności, zatęchłych kanałów, potłuczonych butelek, zatkanych zlewów, londyńskich ulic w których przechodnie są bardziej cieniami umarłych niż żywymi. Zapoznając się

BIBLIOTEKA NARODOWA

z jego poezją podczas II wojny światowej przekonywałem się ze zdziwieniem, że aura ta, którą nazwałbym aurą osamotnienia człowieka wobec rzeczy, jest mi znana z innej lektury. Francuski poeta w pełni uznany dopiero pośmiertnie, Oskar Miłosz, podobną aurą nasycił swoje „Symphonies" pisane między 1913 i 1920, a więc dokładnie w tym samym czasie kiedy dojrzewały poematy Eliota. Niewesoły jest u Miłosza Paryż samotników: „pustynie torów", zliszajone mury, deszcz o świcie lejący na ściany na wpół zburzonych ruder z wzorami tapet, na ulicy za oknem kaszel starego śmieciarza, trawa na skwerku „zimna i brudna, bezsenna jak *idée fixe*", rdza, pleśń. I warto przypomnieć, że te obrazy nawiedzają szczególnie poetów o orientacji metafizycznej, poetów „nienasycenia" jak Eliot i Miłosz, choć można by było przytoczyć i inne przykłady.

Motywy zjawiające się w poezji wyprzedzają o kilka dziesiątków lat zwycięski pochód podobnych motywów w innych gatunkach literatury i sztuki. Może nie jest to regułą obowiązującą zawsze i wszędzie ale potwierdza się w dwudziestym wieku. Niewątpliwie „Czekając na Godota" Becketta jest już zawarte w poemacie „Wydrążeni ludzie" Eliota i tzw. teatr absurdu urzeczony zagadnieniem alienacji nie może niczym zaskoczyć znawców bardziej hermetycznej formy, zwłaszcza że powtarza wynalezioną przez poetów mieszaninę groteski i makabry: „Ziemia jałowa" Eliota jest już groteskową tragedią. Można zresztą ustalić kolejne piętra upowszechnienia motywów, ich wulgaryzacji. Poczynają się w poezji, następnie wędrują do prozy i teatru, stamtąd do filmu. Niektóre sceny z filmów Felliniego i Antonioniego są np. jakby przekładem wierszy, w tym nieraz wierszy Eliota, żeby wymienić tylko pokój intelektualisty w „La Dolce Vita" Felliniego, jakby wycinek z „Miłosnej pieśni J. Alfreda Prufrocka" *(In the room the women come and go/Talking of Michangelo)*. Przy czym bez znaczenia jest czy dany autor albo reżyser zapożycza się bezpośrednio czy pośrednio. Tak więc i ci, co nigdy poezji nie czytają, otrzymują ją w postaci nieco przystępniejszej w teatrze i filmie. Dlatego też wolno utrzymywać, że choć liczba dostatecznie rozgarniętych czytelników poezji Eliota nigdy nie była duża, stopniowo zaznajamiano się z nim okólnie, jako z nowym klasykiem, po którego książki nie trzeba nawet sięgać.

5. Eliot przed II wojną światową nie był znany polskim poetom, choć dałoby się znaleźć niektóre pokrewieństwa pomiędzy nim i „katastrofistami". Jeżeli ówczesny redaktor „Criterionu", przewracającego do góry nogami ustalone hierarchie, pozostał dla literackich środowisk w Polsce najwyżej raz usłyszanym nazwiskiem, znaczy to, że o poezji Ameryki i Anglii niewiele

wiedziano. Pierwszym który pisał o Eliocie był nie poeta ale profesor: Wacław Borowy, i jego to rozprawa zachęciła niżej podpisanego do czytania Eliota w oryginale, bardziej może niż namowy przyjaciela, Józefa Czechowicza. „Cesarz Encyklopedii" był wśród poetów wyjątkiem bo interesował się Eliotem i przetłumaczył trzy jego wiersze („Wędrówka trzechkrólowa", „Marsz triumfalny" i „Pieśń dla Symeona"), on też opowiadał „Bratu Strasznemu" o piśmie „The Criterion", działo się to jednak tuż przed wybuchem wojny. Bardziej niż data (zaczynano wtedy w Polsce uczyć się angielskiego) ważna jest tutaj osoba Czechowicza jako przedstawiciela pewnej poetyckiej techniki, różnej zarówno od techniki Skamandra jak Pierwszej Awangardy. Uświadomienie sobie tej odrębności doprowadziło do przegrupowania: Czechowicz i Ludwik Fryde założyli pismo „Pióro", przygarniające też rozbitków z „Żagarów". Numery „Pióra" są rzadkością bo prawie cały nakład spalił się w 1939 r.

Tzw. kierunki literackie oznaczają, że *uwaga* zwraca się w coraz to inną stronę. Zarówno Skamander jak krakowska Awangarda wywodziły się z poetyki symbolistów, kładąc jednak nacisk na inne jej elementy. Uwagę poetów Skamandra przyciągał wiersz jako zaśpiew, inkantacja, stąd często luźność w połączeniach słów-dźwięków. Kiedy Tuwim np. starał się nadać tym połączeniom większy rygor, sięgał po wzory klasyczne. Tacy rosyjscy poeci jak Mandelsztam czy Pasternak bardziej niż Skamander dbali o metaforyczną gęstość w obrębie wersu. W Polsce wzięli to na siebie krakowscy teoretycy ale odrzucając niemal całkowicie inkantacyjność, przez co z kolei byli mało podobni do Rosjan, zresztą mieli „ucho galicyjskie" i rosyjskich poetów nie czytali. Ich program i praktyka zmuszały do zogniskowania uwagi na tym co odbywa się pomiędzy słowami i dlatego szkoliły w precyzji. (Luźność była chorobą Młodej Polski, przezwyciężał ją Leśmian i, w pewnym stopniu, Skamander, tak że awangardowe pomysły oznaczały dalszy wzrost tej samej tendencji). Jednakże zarzucając Skamandrowi mętność myśli i bierność wobec dyktatów natchnienia, krakowska Awangarda nie zdawała sobie sprawy jak bardzo jej światopogląd był ubogi i nawet prymitywny, to też jej wiersze zwężały raczej teren poezji.

Wpływ Czechowicza i „katastrofistów" widoczny już w przede dniu II wojny światowej przypisać trzeba ich technice „zgęszczającej" ale użytej do borykania się ze światopoglądowymi zawiłościami. Nie znaczy to, że trzeba sprowadzać wiersze np. Czechowicza do filozofii ale zarówno jego przeczucie zbliżającego się zniszczenia, własnej śmierci w tym zniszczeniu, i jego eksploracja marzeń sennych, jak osobiste związki z kołami młodych filozofów (środowisko Bolesława Micińskiego) świadczą, że moż-

na by było przeprowadzić niejaką paralelę pomiędzy T.S. Eliotem i przybierającą w Polsce na sile „walką o treść" u schyłku lat trzydziestych. Ta sama co u Eliota sprzeczność zmuszała do pisania wierszy-szyfrów, które dopiero w miarę upływu czasu odsłaniały warstwę znaczeń, początkowo podbijając samą ciemną uczuciową tonacją.

Gospodarstwo poetów Skamandra nie przylegało do gospodarstwa Eliota i brak dowodów na to, żeby ci z nich, którzy później długo mieszkali w Anglii albo w Ameryce odwiedzali jego domenę, choć język nie stanowił już przeszkody. Ale, podobnie, konstruktywistyczna i racjonalistyczna Awangarda nie miałaby co robić wśród potworów obrażających przez samo swoje istnienie zdrowy rozsądek postępowców. Nie jest więc przypadkiem, że pierwszym tłumaczem Eliota był Czechowicz, drugim, jego przyjaciel z „Żagarów".

Polska lat 1918-1939 rozporządzała jednak pisarzem, który, przynajmniej w swojej historiozofii, nieco Eliota przypominał. St. Ign. Witkiewicz, rówieśnik Eliota, prawdopodobnie przed I wojną czerpał z podobnych nieco ingrediencji, bo w cywilizacji dostrzegał stopniową utratę (religii, filozofii i sztuki). Mimo, że jego rozumowanie szło innymi torami, wspólny jemu i Eliotowi był centralny motyw „nienasycenia" a także groteskowość przedstawianych postaci, jako słomianych lalek, chochołów chwiejących się na wietrze. Nie darmo też witkiewiczowski teatr Czystej Formy jest — jako widowisko — przejściem od teatru Wyspiańskiego do nowoczesnych moralitetów, których bohaterem jest Everyman, pozbawiony jednak nieba i piekła i skazany na *Limbo* czyli, jak to uczono nas kiedyś na lekcjach katechizmu, Otchłań. Można by więc rzec, że składniki poezji Eliota były przydzielone w Polsce różnym autorom, jak St. Ign. Witkiewicz w pierwszym rzędzie, dalej Józef Czechowicz, K.I. Gałczyński (w „Balu u Salomona") i „katastrofiści".

Wiele się dokonało w polskiej literaturze zanim sam Eliot został mniej więcej rozpoznany. Jego nazwisko przez znaczną część dwudziestolecia 1945-1965 służyło na znak ostrzegawczy u wejcia na zabronione tereny, bardzo rozległe bo obejmujące wszystko co jest antropologiczną refleksją. Dzisiaj poezja polska, przez swój gatunek wrażliwości i odpowiadające mu formalne przekształcenia jest lepiej do badania tych terenów przygotowana, trudno jednak byłoby orzec co zawdzięcza bezpośrednio autorowi „Czterech Kwartetów".

6. Wpływ Eliota na amerykańskich poetów i krytyków był tak duży, że w przeciągu kilku dziesięcioleci sprawował on władzę dyktatorską, choć zawalony książkami pokoik w domu wydaw-

niczym Faber and Faber przy Russell Square w Londynie nie przypominał siedziby autokraty. Jak zwykle bywa, nie obeszło się bez pomruków protestu, które stopniowo, gdzieś od 1950 r., przybierały na sile zmieniając się w otwarty bunt. I z pewnością wpływ Eliota był paraliżujący. Rodzime tradycje poezji amerykańskiej są takie, jakie przewidział de Tocqueville analizując amerykańską demokrację; godna podziwu jest jego przenikliwość, bo zapowiedział i scharakteryzował z góry Walta Whitmana, zanim Whitman zaczął pisać: poezję, rzeklibyśmy, ekspresjonistyczną, gadatliwą, pełną rozmachu a niechętną jubilerskiemu rzemiosłu. Kontynuatorem Whitmana był Sandburg, ale nie tylko on. Nieufność do poetyki symbolistów docierającej z Europy (mającej zresztą amerykańskiego poprzednika w Edgarze Allanie Poe) była całkiem programowa u poetów którzy chcieli gadać o tym co ich cieszyło czy gnębiło a nie układać doskonale zrównoważone, zwarte kompozycje, idealne przedmioty. Nacisk treści, tematu, był po prostu za duży: już co prawda nie podbój kontynentu jak u Whitmana, ale obsesja skażenia, przestrach wobec odjęcia przyrody człowiekowi i człowieka przyrodzie, organizuje filozoficzny naturalizm („inhumanizm") Robinsona Jeffersa czy sprawozdawczość Williama Carlos Williamsa piszącego kronikę przemysłowego miasta Paterson. Bardzo złożonego przenikania wpływów Eliota nie należy upraszczać, nie należy też przypisywać mu roli tam gdzie działały inne czynniki, niemniej on to w pierwszym rzędzie przyczynił się do zasadniczej rewizji. Zestawione z wierszami w których obowiązywała zasada „objetive correlative", utwory przemawiające „wprost" najczęściej bladły jako zbyt wielomówne a przy tym niedostatecznie wieloznaczne. W poezji obowiązywać zaczęła wielopiętrowa ironia, płynność sensów wykrzesywanych ze zderzeń pomiędzy słowami. Ale za poetyką Eliota stała silna osobowość narzucająca sobie niemotę i porozumiewanie się na migi, stał wyznawca. Pisana przez sceptyków i epikurejczyków, a więc pozbawiona napięcia jakie pochodzi ze sprzeczności, już uznana za czynność samą w sobie, amerykańska poezja zaniemogła: zbytnia kulturalność i lęk przed prostotą stwierdzeń nie są na ogół dla poezji zdrowe. Zakres dozwolonych w niej cywilizacyjnych aluzji był bardzo szeroki. Jak wytworne *suburbia* (nie tyle przedmieścia ile *podmieścia)* gromadzą dzieła sztuki wszystkich krajów i wszystkich epok, tak osadzały się w niej pojęcia i obrazy wzięte z ozdobnie wydanych albumów, z książek Freuda i Junga, z historii religii. Cóż z tego, jeżeli „panta rhei ale nic się nie dzieji", jak powiadał Gałczyński. To postawienie głosu — kiedy chciałoby się wrzasnąć albo zaskrzeczeć ale nie wypada — nasuwa porównania z poezją polską przy końcu lat trzydziestych i wyjaśnia powody

dla których pierwsi polscy odkrywcy Eliota, skoro wojna nauczyła ich wystrzegać się takiej subtelnej samo-cenzury, byli podejrzliwi i nie mieli ochoty dać się zaczarować.

Histeryczne wrzaski poetów *beat* są przeciwieństwem dobrze wychowanej muzy, nawrotem do rodzimej tradycji, nieco prostackiej ale jakoś autentycznej. Są one, jak się zdaje, tylko jednym ze sposobów ucieczki spod kurateli Eliota poprzez doświadczenie przeciwstawione artystycznemu ładowi. Eliot, szanowany ale już akademicki, za życia zastygł w rozdział z historii literatury; zarzucono mu już oschłość i nadmierną staranność, atakując jego na zimno dobierane chwyty, np. użytek masek i monologów. Jego precyzja zaczęła wydawać się też tylko strukturalnym chwytem przesłaniającym niepewność myśli. „Eliot jest jak nóż, tylko nie można nim nic kroić" — powiedział amerykański student. Ale każdy wielki poeta po okresie uznania podróżuje na drugi brzeg rzeki zapomnienia. Dla dzieci w szkole Wordsworth, Coleridge, Shelley, Eliot stoją na tej samej półce i wiadomo o nich tylko, że pisali swoje książki dawno.

7. Pesymistyczne sądy o „świecie który wyszedł ze swoich trybów" mają niekiedy w literaturze optymistyczne *finale*. Człowiek Renesansu ubolewał nad otaczającym go i w nim samym zagnieżdżonym chaosem, ale to właśnie przyczyniło się do wielkości Marlowe'a i Szekspira. Uniesiony daleko przez ten ruch, który zaczyna się od Renesansu, Eliot z kolei nostalgicznie oglądał się na Dantego i jego wiek, kiedy to wyobraźnia religijna kształtowała kosmos, nie napotykając na przeszkody ze strony myśli dyskursywnej, przeciwnie, znajdując oparcie w systemie Św. Tomasza z Akwinu. Dzieło Eliota jest próbą dowiedzenia, że wyobraźnia, a tym samym poezja religijna może odzyskać swoje przywileje. Przedsięwzięcie niemal nieprawdopodobne: budował z niemożliwości, z braku, z gruzów. Jeżeli jednak w jakimś stopniu swój cel osiągnął, znaczyłoby to, że ludzie dwudziestego wieku nie powinni być zbyt pesymistyczni co do swojej potencji.

Czesław MIŁOSZ

Judy w Jugosławii

PORTRETY Z OKNA WAGONU

Po górach poszarpanych i ostrych zjeżdżaliśmy powoli w równiny. Została poza nami Austria, małe czyste domki, czerwone kwiaty w oknach, świeże pieczywo, Austriacy w pumpach i w podkutych butach uprawiający pieszą turystykę. O tej porze roku wszyscy porzucali domy, ale do Jugosławii nie jechał prawie nikt. Ostatni turyści z pożegnalnym uśmiechem opuścili nas w Klagenfurt. W Villach odczepiono dodatkowe wagony. Zostałyśmy tylko my i Grecy powracający z robót w NRF. Grecy zresztą nie aprobowali naszego wyboru.

— Jugosławia — mówili — *no good*.

Czy Judy już wtedy żałowała, że dała się namówić na tę wyprawę? Jej podróż po Europie w pierwotnym planie nie obejmowała żadnego z krajów za żelazną kurtyną. Z dobrym australijskim paszportem nie wolno jej było wjechać do krajów takich, jak Polska czy Niemcy Wschodnie. Ale Jugosławia nie figurowała na australijskiej liście *out of bounds*. I Judy dała się skusić. Czemu nie? Jeszcze jeden kraj. Po Londynie, Paryżu, Oslo i Kopenhadze, Zagrzeb i Dubrownik, jeszcze jakieś głupstwo do garści *souvenirs*-popielniczek z Londynu, wykałaczek z Hamburga. Ale już w Villach miała wątpliwości — Bóg jeden wie, jak to będzie za „żelazną kurtyną"? Wejście celników przyjęła nieprzyjaźnie:

— Czy warto tu zmienić pieniądze? Może nasz oszukają?

Grecy liczyli oczyma pliki odkładanych dinarów, dostałyśmy tego jakieś grube tysiące. Jakie to dziwne — myślałam — że im więcej się ma pieniędzy, tym mniejsza jest ich wartość. W Jugosławii słowo „milioner" nie ma żadnego znaczenia. Pociąg toczył się zwolna, jak gdyby wyczerpany karkołomną wspinaczką, Grecy kiwali się sennie, odliczając w myśli długie jeszcze godziny,

jakie im pozostały do Aten. A gdyby pojechać do Aten — myślałam. — Ateny — pierwsza w nocy. A gdyby? Mijałyśmy miasta małe, wyglądające biednie. Próbowałam odczytać słoweńskie napisy na stacjach. Nasz pierwszy postój był już poza Słowenią, w Zagrzebiu. Jak tam będzie? — myślałam.

Zagrzeb był nijaki, brukowane ulice, drzewa pokryte kurzem, duży prostokątny plac w centrum z kilkoma kawiarniami. Zagrzeb nie był ładny, chociaż nie był brzydki. I nie pomogła tu wiele katedra świętego Stefana (Judy już widziała wiele katedr). Chodziłyśmy po bruku, zostawiając dinary, spocone, złe.

— Czy naprawdę żałujesz? Powiedz, czy żałujesz? — pytałam natarczywie, jak gdyby to stwierdzenie miało coś między nami rozstrzygnąć, jak gdyby w jakiś sposób było mi koniecznie potrzebne. Judy zaprzeczała i wiedziałam, że kłamie. Sącząc turecką kawę, myślała na pewno o Wiedniu. Że, gdyby nie Zagrzeb, byłaby teraz w Wiedniu, w innych lepszych kawiarniach. Dla niej Zagrzeb był brzydki, dla mnie był nijaki, a dla Smiliany?

◆

Smiliana jest profesorem nauk ścisłych na uniwersytecie w Zagrzebiu. Zna tu każde drzewo, każdy kamień.

— Popatrzcie! — mówi — tu przed wojną były tylko pola. Myśmy tu wznieśli fabryki i nowoczesne domy. W tych blokach już za parę miesięcy będą mieszkali ludzie. W oknach zawisną firanki, przed domami zakwitną kwiaty. Na razie puste okna patrzą oczyma bez źrenic. Wokół na wpół wzniesionych budowli czernią się stosy gruzu, rozkopana glina, wapno i cegły. Nie widać tu jeszcze ludzi, nie słychać dzieci. Ale ludzie ci już są, dzieci te już czekają w przepełnionych, ciasnych mieszkaniach. Miasto wybiega w przyszłość, pola cofają się w przeszłość. Smiliana jest dumna ze swego miasta. Dla niej Zagrzeb jest śliczny. Tu chodziła do szkoły, tu przeżyła okupację. Tu, razem z innymi, pomagała sprzątać gruzy, budować nowe domy.

— Wszyscy pracowali, całe klasy z profesorami na czele. Mnie to odpowiadało, przynajmniej się wie, że własnymi rękami...

Zresztą i teraz życie Smiliany wypełnione jest pracą, obowiązki akademickie, długie posiedzenia, własna praca badawcza w laboratorium, na którą, niestety, tak rzadko ma się czas. Jeszcze o czwartej, piątej w nocy pali się mała lampka na stoliku Smiliany, a już o pół do siódmej budzik zrywa ją z łóżka. Wraca późno wieczorem, bardzo zmęczona, ale uśmiechnięta.

— *How was your day? Tell me all about it?*

Smiliana chce wszystko wiedzieć, gdzieśmy były, cośmy jadły, jakie mamy plany. W kuchni znów parzy się kawa, na brzegu popielniczki tli się rozpoczęty papieros. Powoli, z chwili bieżącej, rozmowa schodzi w przeszłość. Wracamy do czasów wojny, jestem znów w Rosji, w Persji, w Indiach. Smiliana słucha uważnie. Leży przed nią stos arkuszy egzaminacyjnych, ale nie chce przerwać.

— Teraz mam czas... dla siebie.

Judy opowiada o Sydney, wielkie piaszczyste plaże, najpiękniejsze na świecie. Chciałaby mieć willę nad morzem, siedziałaby na werandzie słuchając muzyki. Praca? Tak, pracowała, przecież własną pracą zarobiła na tę podróż, ale nie lubi pracy. Praca to zło konieczne, tyle że za nią płacą. Uniwersytet? Nie, Judy nigdy nie chciała studiować. Nauka — to też praca. Po co studiować, jeśli i bez tego można mieć pieniądze.

Smiliana nie wyraża zdziwienia, po prostu słucha. Inny świat... Australię dzielą od Europy nie tylko oceany... Siedzimy tu razem bliskie, a tak dalekie. Ja dźwigam na sobie garb swego emigranctwa i staram się uwierzyć, że go wcale nie mam. A przecież wiem, że prędzej, czy później, każdy ten garb dojrzy — Smiliana w Zagrzebiu, przygodny znajomy w pociągu, przewodnik na wycieczce. Każdy mnie kiedyś spyta: „Czemu nie wracasz do Polski?"

Polska — tyle lat. Położyły się między nami granice, rozlały morza, przekręcono klucz w zamku, czy go kiedyś odnajdę? Mogłabym to pytanie pominąć, ale go nie pominę. Smilianie wszystko powiem. Mówimy o emigrantach, o pogoni za chlebem, o wielkim, cichym żalu, który zawsze powraca. Smiliana kiwa głową. Ona by stąd nie wyjechała, bo zresztą po co? Opuścić swój kraj dla wygód, dla pieniędzy? Czym zresztą są pieniądze?

Czym są pieniądze? Smiliana ich nie ma, ale jest bogata. Judy co wieczór zagląda do książeczki *travellers cheques*. Dnie upływają powoli, każdy dzień — to pozycja w budżecie. Judy liczy dinary.

— Czy myślisz, że Smilianie dać dwie czekolady, czy jedną? Wstyd mi trochę powiedzieć, że chyba dwie. Skąpstwo nie jest cechą miłą. Ale w krajach anglosaskich nikt nie użyłby tego słowa. Tam ludzie nie są „skąpi", tylko są „oszczędni", „znają wartość pieniędzy". Dlatego właśnie mają wille nad morzem, dlatego żyją długo i nie czarną kawą i nie pracują do wczesnych godzin rannych. Inny świat, inni ludzie... Czy Judy zrozumie Smilianę, czy ją potrafi ocenić? Jej dwadzieścia lat nie zna tolerancji, w jej wieku wszystko się wie na pewno. Ludzie są mądrzy, lub głupi. Mądrzy mają pieniądze, głupi nie. To wszyst-

ko. Gościnność jest stratą pieniędzy i jako taka wybiega poza schemat. Czemu Smiliana przyjęła nas do domu, mimo że nas nie znała?

— Jacy oni dziwni — mówi Judy. — Tyle dla nas robią za nic.

◆

W rodzinie Z. panią domu jest Babcia. I wszyscy mówią:

— Babciu, usiądź, babciu, nie chodź sama do sadu. Babciu, czemu nie powiesz? Ja bym przysunęła ci stolik, podała książkę, ja bym poszła do ogrodu po agrest.

Babcia miała parę lat temu atak serca i dawano jej wówczas parę miesięcy życia. Od tego czasu przeszło parę lat, babcia pochyliła się nieco, ale przeżyła termin i żyje dalej. Może dlatego, że kochały ją córki i wnuki, że otoczono ją najtroskliwszą opieką, że jej nie dano umrzeć. A może dlatego, że w sadzie pachniały jabłka, że stare drzewa mówiły o latach przeszłych, kiedy babcia była mała, kiedy także spędzała tu wakacje. Babcia, w cieniu starych drzew, zawieszona ponad przepaścią i wnuki, o potarganych włosach, bosych nogach i śmiejących się oczach, dla których życie jeszcze się nie zaczęło, które dotąd nic nie wiedzą, ani o partyzantach, ani o wojnie, ani o dawnych czasach, kiedy cały Zagrzeb mówił po niemiecku. Babcia mówi biegle tym językiem, ale dała sobie słowo, że nie użyje go nigdy, przy żadnej okazji, nigdy więcej. Dla wnuków niemieckiego już nie ma, przestał istnieć. Wyrósł za to angielski, daleki świat *beatles* i lśniących samochodów.

— Czy pani widziała *beatles?* — pytały mnie nieśmiało łamaną angielszczyzną.

Pomiędzy babcią, a wnukami są córki. Ich życie się nie liczy, wypełnia je bez reszty zaspokajanie potrzeb babci i dzieci. Do podmiejskiej willi zwozi się zakupiony o świcie prowiant. Wieczory spędza się tam, ranki w sklepach, w międzyczasie jest praca. A jeszcze trzeba zawieźć babcię do fryzjera, dzieci na zastrzyk. Malutki samochodzik pracowicie kursuje między willą, a miastem. Droga przy tym jest ciężka, pełna grud i wybojów. Na najgorszym odcinku pasażerowie wysiadają z auta i idą pieszo. W aucie zostaje tylko szofer, stół ping-pongowy, nowa lalka, kosz z żywnością. Auto skacze po wybojach, rozsypują się bułki, stół ping-pongowy, przyczepiony na dachu, niepokojąco zsuwa się na bok, ale z góry kiwa już ręką babcia, wybiegają dzieci.

— Co przywiozłaś? Masz coś dla mnie? Jaka śliczna lalka! A kto to?

Na tarasie przed domem pijemy czarną kawę. Dzieci grają w ping-ponga. Gdzieś w oddali, pod nami, czerni się Zagrzeb.

W lokalnych gazetach, na pierwszych stronach uśmiecha się Gomułka przyjmujący Tita. Wszyscy są dziś w przyjaźni i przyszłość rysuje się jasno. Tak przynajmniej myślą nasze gospodynie.

— Było ciężko. Jest lepiej. Będzie jeszcze lepiej. Naszym dzieciom będzie lepiej niż nam. Przeszły lata głodu i chłodu, nie ma tu już Niemców, partyzantów, krwi. Świeża trawa zarosła ślady. I tylko drzewa szumią o przeszłości.

— Babciu, chodź do domu, już za chłodno na dworze. Nina, włóż sweterek, czas już złożyć ping-pong.

Zamykamy drzwi. Został poza nami jeszcze jeden letni dzień. Fotografie Tity, filiżanki po kawie, szydełkowa robota babci, pozostają zapomniane na stole. Przyniesie je potem służąca, czterstwe dziewczę w *jeans'*ach, które trochę gotuje, trochę bawi się z dziećmi, a najwięcej patrzy w lustro i śpiewa. I ona, tak jak dzieci, właściwie nie ma przeszłości. Ale czy ma przyszłość? Czyją twarz zobaczy w lustrze? Komu będzie gotowała za lat dziesięć, sobie, czy państwu? Służąca w kraju socjalistycznej równości, to przeżytek, jakaś pozostałość po Austrii i cesarstwie. Za lat dziesięć nie będzie tu babci i może nie będzie służącej. Pozostaną dzieci i jabłonie.

◆

Profesorów Es i Zet poznaję w kawiarni. Znów siedzimy na słońcu, pijąc turecką kawę, ale tym razem rozmowa toczy się wokół spraw innych, pozostawiając na boku wojnę i partyzantów. Moje pytania na pewno są standardowe.

— Tak, jest trochę studentów na slawistyce, w większości biorą rosyjski. Nie, nikt nie jeździ do Rosji, nawet o wizę naukową jest trudno. Jest także klasa polskiego, tylko roczny kurs, ale mają go rozszerzyć, wprowadzić literaturę.

Młody wykładowca polskiego mówi biegle, bez śladu obcego akcentu. Uczy od niedawna, jeszcze nie skończył swego doktoratu. O czym pisze tezę? Okazuje się, że o Gombrowiczu, tak, o nim. Szalenie go ceni i lubi. Czy go kiedyś poznał? Nie, ale nawiązał z nim kontakt. Rozmowa schodzi na paryską „Kulturę", która tu dochodzi bez przeszkód. Mówimy o Mieroszewskim, Czapskim, Hostowcu. Padają różne tytuły. Możemy się różnić zdaniami, ale znaleźliśmy płaszczyznę porozumienia. Kontakt uniwersytetu z Polską jest bardzo żywy. Mój rozmówca był w Polsce dwa razy, przez jakiś czas tam studiował. Zagrzeb odwiedzają pisarze. Był tu niedawno Lec. Jego „Myśli nieuczesane" wyszły w tłumaczeniu, cieszą się podobno wielkim powodzeniem. Sztuki Mrożka grano na wielu scenach. Jugosłowiańskie

teatry rewiowe są pod wielkim wpływem polskiej sceny, prawie każdy polski dowcip można po jakimś czasie usłyszeć w Jugosławii. Interesuje mnie recepcja prasowa polskiej literatury; co tu pisano o Mrożku, Lecu? Gdyby te recenzje porównać z recenzjami na Zachodzie? Wydaje mi się, że Lec w Jugosławii jest bardziej zrozumiały, niż np. w Ameryce. W Ameryce jest to szyfr, do którego brak klucza. Dla amerykańskich odbiorców trzeba by te myśli uczesać, może wypomadować.

Rozmowa toczy się gładko, omijając niebezpieczne zakręty. Mówimy pół-żartem, pół-serio, zostawiając wiele myślników. Skaczemy z tematu na temat. Czas ucieka nam spod nóg. Żadnego z tematów nie zdążymy wyczerpać. Nieoczekiwane spotkanie przejdzie bez większych śladów. A może zresztą zostaną jakieś ślady? Bo między nimi, a mną pozostanie Gombrowicz, Mrożek i Lec — nasza wspólna „własność".

◆

Czas ucieka spod stóp, ziemia ucieka spod kół. W pociągu na linii Zagrzeb-Sarajewo jest pełno. Może dlatego, że w Sarajewie rozpoczął się festiwal jugosłowiańskich tańców. Poza tym w poniedziałek jest święto narodowe i ludzie wyjeżdżają na *week-end*. Jeszcze zresztą dlatego, że zaczął się czas urlopów i cała Jugosławia „spływa" ku morzu. Młoda Jugosłowianka, z dwojgiem dzieci jedzie na wakacje do Splitu. Jeszcze całuje męża, wymieniają ostatnie rady, ciepłe słowa, napomnienia:

— Pamiętaj o tym, żebyś gotował w domu i nie jadał na mieście! — prosi go na pożegnanie. — Restauracje są takie drogie! — mówi pod naszym adresem.

Już pociąg rusza. Dzieci przylepiają nosy do szyb. Pozostaje poza nami Zagrzeb — Smiliana nad stosem wypracowań, babcia w cieniu jabłoni, profesor Zet z pracą o Gombrowiczu. Pozostaje poza nami tłum wycieczkowiczów na stacji — kurze nogi w gazecie, spożywane w poczekalni, śliwowica dolewana do piwa. W wagonie zresztą też się pojawiają kurze nogi, chleb z szynką, lemoniada w butelkach, którą otwieramy pilnikiem do paznokci. Wagony restauracyjne są tu podobno rzadkością, ale wspólnie spożyty posiłek też ma swój urok. W naszym przedziale, poza panią z dziećmi, jest dwóch młodych mężczyzn, studentów mechaniki z Sarajewa. Próbujemy nawiązać rozmowę po angielsku. Z Judy nie idzie łatwo, jej australijski akcent nie ułatwia odbioru, natomiast moja „słowiańska" angielszczyzna jest bardziej zrozumiała. Ja zresztą próbuję mówić po serbo-kroacku, wchodzi w to wiele wymownych spojrzeń i gestów, trochę rosyjskiego, trochę polskiego i całość (o dziwo!) jest mniej więcej zrozumiała. Już wiemy wiele o sobie. Mąż naszej znajomej jest oficerem marynarki, ona sama nie pracuje (stwierdza to raczej z dumą). „Mąż zarabia dostatecznie, nie musi". Dzieci są ładne i porządnie ubrane. Próbują mówić z nami po angielsku, ale poza *how do you do* nie wiele mogą powiedzieć.

— Już dwa lata się uczą — ubolewa matka.

Studenci grają w karty. Jeden z nich jest przystojny, wysoki, jasnowłosy. Drugi, wyższy i tęższy, wygląda na Turka. Jeszcze wtedy nie wiemy, że ten przystojny będzie naszym przewodnikiem. Że, wespół z narzeczoną, pokażą nam całe Sarajewo, meczet, rynek, góry. Jeszcze teraz grają w karty, ja rozmawiam z dziećmi, a Judy patrzy w okno i nikt z nas nie wie, że zawrzemy bliższą znajomość, że wymienimy adresy, że będziemy do siebie pisywać. Ta znajomość jest już w potencjale, ale jeszcze nie została zawarta. Ten dzień już się do nas zbliża, ale jeszcze nie nadszedł. Jeszcze mamy w perspektywie długie godziny jazdy, potem duszną, upalną noc na hotelowych łóżkach. Ile znajomości zostaje w potencjale, bliskich, możliwych, a nigdy nie zawartych! Ilu ludzi nas mija, ilu mijamy ludzi, nie patrząc i nie widząc?

I jak sprowokowałam tę przyjaźń? Staliśmy w korytarzu, on z papierosem, patrzyliśmy na pola uprawne, na wieśniaków przy żniwach. Znów wjeżdżaliśmy w góry, raz jeszcze niziny zostały poza nami. Tu i ówdzie bieliły się cerkwie. Nie, on nie był wierzący. Do cerkwi chodzą starzy. On był komunistą.

— *Our governement is the best in the world* — powiedział powoli swoim chwiejnym angielskim.

Judy była zdziwiona. „On — komunistą? To chyba niemożliwe!, on jest taki sympatyczny!" Mówiliśmy o krajach zachodnich. Tak, on by chciał tam pojechać, zobaczyć, ale zostać by nie chciał. Broń Boże!

— *I like my country very much* — oświadczył — „Bardzo lubię swój kraj" — powtórzyłam w myśli. Jakie to proste, a jakie zasadnicze! Bardzo lubię swój kraj; ziemię orną i ziemię nie uprawną, złote zboża na polach i białe plamki cerkwi, do których już nie chodzą ludzie młodzi. Oni wszyscy lubią swój kraj i każdy z nich jedzie do siebie, gdzie ich ktoś przyjmie, przywita. I nawet Judy ma Sydney („złote plaże"), a mnie wypluje samolot, jak paczkę na lotnisku, którego nie umiem nazwać „domem".

Więc chyba dlatego Peter zaproponował, że nam znajdzie hotel. Bo on był u siebie, a my nie. Bo było późno i byłyśmy zmęczone. I chociaż Sarajewo ma tylko dwa tramwaje, które chodzą w kółko, ale cudzoziemki zawsze mogą zbłądzić, zwłaszcza jeśli nie wiedzą dokąd jadą. Tego wieczora Judy była wzruszona. Tak, Jugosłowianie są mili. Kładłyśmy się spać pod dźwięk muzyki.

Na ulicach tańczono. Byłyśmy głodne po czarnej kawie i baraninie z rożna. (Bardzo to egzotyczne, ale lepsza byłaby zupa). Czekał nas nowy dzień, a potem dalsza podróż. Co zjemy na śniadanie? Czy Peter przyjdzie z rana? Czy Sarajewo jest ładne? Czy trudno będzie dostać bilety na autobus do Dubrownika? Z ulicy wdzierała się muzyka. Zapuściłyśmy story. Trzeba spać. Ziemia wciąż uciekała spod kół.

◆

Judy twierdziła wprawdzie, że podróżuje świetnie w każdych warunkach, o każdej porze i każdym środkiem lokomocji (przejechała autostopem zachodnią Europę, poczynając od Norwegii, a kończąc Austrią), ale w Jugosławii już zaraz na wstępie powstały jakieś problemy. Najpierw problem jedzenia — Judy odchorowała jugosłowiańskie kiełbaski, przyjęła niechętnie narodowe mięsne potrawy — „czewapcziczi" i „razniczi" i z miejsca zaczęła tęsknić za angielskim *fish and chips*. W czasie podróży było jeszcze gorzej. Wagonów restauracyjnych nie było. Lokalnej lemoniady Judy pić nie chciała. W szalony upał jechała z suchym gardłem, marząc o „coca cola" i angielskiej herbacie. Nasz prowiant na drogę, kupowany w ostatniej chwili, nie zawsze był dostateczny. Raz miałyśmy chleb bez dodatków, innym razem dodatki... bez chleba. Ja wolałam to pierwsze, Judy — nie. Oświadczyła, że nigdy w życiu nie jadła samego chleba i teraz też nie będzie. Ja pamiętam te czasy, kiedy właśnie „sam" chleb był niedoścignionym marzeniem. Ale nie powiedziałam nic. Nie to nie. Jadłam chleb ze smakiem popijając mlekiem. Byłam nawet rada, że będzie więcej dla mnie. Ale po paru godzinach wchłaniania widoków na głodno Judy zmiękła i zjadła pierwszą kromkę.

Poza jedzeniem były inne problemy. Pociąg trząsł, jechał wolno. Autobusy były niewygodne, starego typu. (Takimi już od dawna nie jeżdżą na Zachodzie). Nie wytrzymałam kiedyś i powiedziałam że co Jugosłowianie znoszą przez całe życie, my możemy znieść w ciągu jednych wakacji. Ale Judy była innego zdania.

— Oni są do tego przyzwyczajeni — powiedziała godnie. Oczywiście! Przyzwyczaili się do trzęsących pociągów, zatłoczonych autobusów. Im kolejki przy kasach na dworcu, czy stanie na korytarzach w pociągu, nie robi różnicy. To inni ludzie. Na świecie jedni ludzie nie jedzą chleba bez masła, a inni mogą żyć bez chleba i bez masła. Już tak jest. Wszystko jest tylko kwestią „przyzwyczajenia".

Poza jedzeniem były inne problemy.

— Oni się pocą — mówiła Judy, marszcząc swój zgrabny nosek. W łazienkach jest brudno.

— A ustęp?

— Tam nie było żadnego ustępu — powiedziała po krótkim postoju w małej muzułmańskiej mieścinie. — Tam była po prostu podłoga i wzniesienie na stopy. Ja w ten sposób nie mogę.

— A jak wolisz? — mówiłem, trochę zirytowana. — Pod drzewem? Takie ustępy mogą być tutaj wszędzie. W niektórych wypadkach trzeba się przyzwyczaić.

Autobus wdzierał się z trudem na wąskie serpentyny. Zostawały pod nami zielone doliny, miasteczka, jak gniazda jaskółcze, uczepione na zboczach. Co Judy wyniesie z tej wyprawy? Czy nigdy nie zapomni o chlebie bez masła?

◆

W Dubrowniku wynajęłyśmy pokój razem... z lokatorem. Lokatora nie było, ale zostały po nim ślady tak widoczne, jak para męskich spodni porzucona na łóżku, dobrze znoszone buty i waliza tak ciężka, żeśmy się gubiły w domysłach: co on tam może wozić? Rzeźby, ceramikę, złoto? Nasza gospodyni upewniała nas wprawdzie, że lokator wkrótce wyjeżdża, ale jeszcze wieczorem stała jego walizka i walały się spodnie. Położyłyśmy się spać pełne wątpliwości: co będzie, jeśli lokator wróci? W pokoju stały wprawdzie cztery łóżka, ale mimo to? Obudziły mnie w nocy głosy. Wysuwając nos spod kołdry zobaczyłam najpierw naszą gospodynię w szlafroku, a obok niej mężczyznę brodatego i niskiego, który wyciągał coś z walizy. Na wszelki wypadek udawałam, że śpię. Nocny najazd wkrótce zresztą się skończył. Przekręcono klucz w zamku. Waliza pozostała.

Następnego rana gospodyni powiedziała, że współlokator wprawdzie nie wyjechał, ale się przeprowadzi. Już noc spędził gdzie indziej, rano weźmie walizkę. Dodała szeptem, że był strasznym pijakiem, że każdej nocy wracał na czworakach, że trzeba było zapalać mu światło i prowadzić do łóżka. Tej pierwszej nocy, kiedy widziałam go grzebiącego w walizce, nie wyglądał pijany. Kim właściwie jest? Co robi? Co kryje w tajemniczej walizce? Na jego szafce nocnej odkryłyśmy numer „Atlantic-Monthly", był więc inteligentny, ale co poza tym? inteligentny pijak?

Spotkałyśmy go jeszcze tego dnia po południu, na przystanku autobusowym. Wydawał się miły. Nie wyglądał na nałogowego pijaka. Judy zaproponowała mu kino i koniec końców znaleźliśmy się wszyscy nad morzem. Dubrownik, brunatny i rdza-

wy, świecił w słońcu. Kwitły oleandry. Siedzieliśmy na schodkach, tuż przy brzegu, grzebiąc stopami w piasku. Mówiliśmy o pogodzie, Dubrowniku, zabytkach, tak jak wszyscy turyści. Powoli pod szum morza, pod zapach oleandrów, pękały pierwsze lody. Mówiliśmy już o sobie, najpierw ogólnie, potem bardziej osobiście. On był z Kalifornii, uczył francuskiego. Kiedy mu się znudziło, sprzedał auto, zwinął manatki i przyjechał do Wiednia... na rok. Teraz właśnie rok mijał, miał już mało pieniędzy, a jeszcze dużo planów. Francuski w *high-school,* na tle dalmatyjskich oleandrów, był tak mało realny! Ale wiedział, że trzeba już wracać, każdy dzień w Dubrowniku tamten moment przybliżał, już gdzieś na horyzoncie, czerniała tamta klasa, tablica, słówka. A chciał być jeszcze w Ohrid, zobaczyć freski na ścianach, chciał wpaść do Grecji, na Korfu, tyle jeszcze chciał...

Dużo później, przy winie, na tarasie zawieszonym nad morzem, poruszyłyśmy tamte sprawy „zasadnicze". Czemu się wyprowadził zostawiając nam swój pokój? Okazało się, że go „wyprowadzono". Po prostu pewnej nocy, po powrocie z miasta, odkrył nas w łóżkach, z czego wynikało, że musiał pokój zwolnić. Domyśla się dlaczego. Poprzedni letnicy ukradli mu pieniądze z portfelu. Wniósł zażalenie. Gospodyni nie chciała tej sprawy poruszać, udawała, że go nie rozumie. Wtedyśmy mu opowiedziały o jego rzekomym pijaństwie, poszukiwaniach łóżka, powrotach na czworakach. Strasznie się z tego śmiał; *What a fantastic lie!* To był wieczór wyjaśnień, jedne po drugich pryskały tajemnice, nawet tajemnica jego ciężkiej walizki. Co w niej woził? Książki, oczywiście książki, i flet (w Wiedniu brał lekcje muzyki).

Mówiliśmy o świecie wielkim, który wołał nas do siebie tysiącem głosów. Nasz znajomy pytał o książki, o Europę wschodnią, chciał w przyszłości odwiedzić Polskę, Rosję. Zaciekawiona spytałam, co go właściwie ciągnęło do tej części świata. Przeskok od literatury francuskiej i gry na flecie do bizantyjskich ikon na południu Jugosławii był tak wielki, że należało jakoś go uzasadnić. Uśmiechnął się, rozkładając ręce wymownym, szerokim gestem.

— *I guess it's my widening horizons* — powiedział.

Oto chyba chodzi, myślałam, żeby horyzonty ciągle się rozszerzały, żeby było w nich miejsce na Polskę i na Jugosławię. Może o to chodzi, żebyśmy poznały profesorów Es i Zet, Smilianę i Charles'a z Kalifornii. Katedrę św. Stefana, pałace w Dubrowniku można obejrzeć na zdjęciach, ludzi — nie. To właśnie stąd wywieziemy obok pamiątek i zdjęć — obraz sylwetek ludzkich, różnorodnych, różnojęzycznych, tych co chcieli nas gościć, tych co chcieli nas lubić i tych, co nas nie chcieli. Z czasem ich imiona i twarze rozpłyną się w pamięci, ale pozostaną jakieś zdania, strzępy rozmów i ogólne wrażenie, jak koloryt dawno widzianego obrazu. Pozostanie Jugosławia, kraj gór i nizin, kraj wielkich kontrastów, gdzie każde miasto różniło się od innych, Zagrzeb od Sarajewa, Sarajewo od Dubrownika. Gdzie poza czarną kawą i przywiązaniem do miejsca wszystko tych ludzi dzieli: wygląd, religia i język. Gdzie każdy z nich skądś pochodzi, ale nikt o sobie nie powiedział, że jest Jugosłowianinem; Smiliana pochodzi z Zagrzebia, Peter z Hercegowiny, inni z Sarajewa. A przecież mimo to coś tych ludzi łączy. *I like my country very much* — powiedział Peter i nie myślał wyłącznie o rodzinnej Hercegowinie.

Nasz ślad zarośnie trawą, przyjdą po nas inni. W tym czasie Judy będzie się opalać na plażach w Sydney, Charles będzie w Kalifornii, a ja — w Toronto. Ale żadne z nas nie zapomni. Smak innego wina, szum innego morza obudzi wspomnienia *a case of widening horizons.*

Irena Danuta BIEŃKOWSKA

Wiersze

Wielka elegia na Johna Donne

John Donne już śpi. Usnęło wszystko wkoło.
Usnęła pościel, rygle, zamki, ściany,
usnęły świece, kredens, szafy, stoły,
obrazy, gwoździe, lampy i dywany.
Usnęło wszystko. Szklanki i karafki,
zegary i fotele, stołki, krzesła,
bielizna, drzwi, farfury, kubki, szafki,
korytarz, schody. Noc jest nieobeszła.
Jest nieobeszła noc. I wszędzie kładzie
swój cień. W papierach jest i w rękopisie,
w jej słowach, w oczach, w kątach i w szufladzie,
w kominku, co popiołem dotąd tli się.
W bucikach i w ubraniu, w mgle zwierciadła,
za łóżkiem, miotłą, nad posadzką śliską,
pod krucyfiksem, w mroku, w prześcieradłach,
w pantoflach, w kuchni. Noc i śpi już wszystko

Śpi wszystko. Okno. Śnieg na szkle się mieni.
Sąsiedni dach obrusem spada stromym.
Jej dach. Sen spływa wolno od kalenic,
okienny krzyż na śmierć skazuje domy.
Usnęły belki, łuki i łańcuchy,
kamienie, progi, kocie łby, ogrody
— nie błyśnie światło, wszędzie spokój głuchy —,
granity, kraty i ozdobne schody.
Usnęły drzwi i klamki i zasuwy,
zatrzaski, klucze w zamkach, noże, miski.
Nikt nie odzywa się i nikt nie czuwa.
Śnieg tylko skrzypi. Sen. I świt nie bliski.

Więzienia śpią już. Snu objęta złudą
śpi waga w sklepie. Śpią zarżnięte wieprze.
Opłotki, domy. Śpią brytany w budach.
W piwnicach mrocznych koty śpią w najlepsze.
Śpią myszy, ludzie. Londyn ciężko usnął.
Żaglowiec w porcie. Fale z brudnym śniegiem
przy jego burtach coraz we śnie plusną,
łącząc się w dali z śpiącym widnokręgiem.
John Donne już śpi. Sen wszędzie się dokonał.
Kredowy brzeg nad morzem usnął pustym.
Śpi cała wyspa, jednym snem zmorzona.
Śpi park, na cztery zatrzaśnięty spusty.
Choiny, sosny, klony, graby, cisy.
Śpią zbocza gór, snem bezmiar łąk zarasta.
W barłogu niedźwiedź. Wilki śpią i lisy.
I śnieg uśpiony w niezgłębionych zaspach.
Usnęły ptaki. Śpiewu ich nie słychać.
Nie słychać wrzasku wron, ni śmiechów sowich.
Ogromna noc. Angielska przestrzeń cicha.
Migoce gwiazda. Mysz w rozterce skrobie.
Usnęło wszystko. Leżą w swoich grobach
umarli. Noc nad nimi niezmierzona.
W szerokich łóżkach żywe śpią osoby.
Jedni samotnie. Inni w żon ramionach.
Usnęło wszystko. Lasy, rzeki, pola.
Zwierzęta, ptaki w śnie zawarły sojusz.
I tylko z niebios pada śnieg powoli.
Ale i tam, nad nami wszyscy śpią już.

Śpią aniołowie. Padół łez i trwogi
całkiem w tym śnie wyleciał im z pamięci.
Gehenna śpi i rajskie śpią rozłogi.
Nie wyjdą z domu w noc tę nawet święci.
I Pan Bóg zasnął. Z swojej wysokości
nie widzi ziemi, jęków jej nie słyszy.
I szatan śpi. Więc wszystkim ludzkim złościom
i zbrodniom także senność towarzyszy.
Śpią Jeźdźcy, z trąbą mocno śpi Archanioł.
W kołysie grzyw usnęły konie dawno.
Cheruby śpią i senny czas przystanął
pod mrocznym stropem u świętego Pawła.

John Donne już śpi. Usnęły rymy, rytmy.
Obrazy, metafory. Nie napotkasz

słów, które nie śpią. Grzechy i modlitwy,
spokojne, ciche, leżą w swoich zwrotkach.
I wiersze są jak bracia w zgodzie czułej
choć szepczą cicho: — Posuń-no się ździebko!
Daleko raj. Ale na dnie szkatuły
złączyły się i jedność im kolebką.
Śpią wszystkie. Jambów śpi surowy gotyk.
Trocheje leżą jak uśpione warty.
I śpią w ich wizji Lety mgliste wody.
I mocno śpi o sławie sen uparty.
Śpią wszystkie nędze. Sen cierpieniu kłamie.
Śpi każdy grzech. I zło i dobro razem.
Prorocy śpią. A śniegu biała zamieć
zgnieść usiłuje każdą czarną skazę.
Usnęło wszystko. Śpią gromady książek.
Lód zapomnienia nad wymowy ogniem.
Śpią tłumy słów i prawda, co je wiąże.
Kajdany śpią. Brzęk tylko nikłych ogniw.
Śpią twardo: Pan Bóg, święci, moc szatana.
Niegodni słudzy. Przyjaciele. Dzieci.
Śnieg tylko pada, śniegiem dal zawiana,
a innych dźwięków nie ma w całym świecie.

Lecz słyszysz — kiedy nadszedł nocny czas ten,
ktoś płacze, kogoś ciężki zdjął niepokój.
Tam ktoś rzucony zimie jest na pastwę.
I płacze. Ktoś się kryje w gęstym mroku.
Cieniutki głos. A jest jak igła ostry.
Samotny brnie po śniegu. Brak mu nitek.
I mglisty chłód na ziemi się rozpostarł
i noc próbuje w niebie zszyć z przedświtem.

„Kto płacze? Ty, aniele, co tej zimy
powrotne kroki mej miłości śledzisz,
aż znowu się spotkamy i ujrzymy..?
Czy ty mnie wołasz?" — Nie ma odpowiedzi.
„Czy wy, cheruby? Chór, dzwoniący srebrem
żałobnych łez wywołał smutku cienie?
Chcecie porzucić naraz swą katedrę
uśpioną? Właśnie wy? To wy? — Milczenie.
„Czy tyżeś, święty Pawle? Prawda, głos twój
surowość nazbyt wielką słowom nadał.
Czyś schylił siwą głowę i po prostu
w płacz uderzyłeś?" — Cisza odpowiada.
„Czy to nie Twoja przesłoniła oczy

dłoń wszechobecna, zanim na mnie runiesz?
Tyżeś, o Panie? Myśl się w nocy mroczy.
Czy to nie płacz Twój na napiętej strunie?"
Milczenie. Cisza. „Tyś to, Gabryjelu,
w swą trąbę zadął? Szczeka ciżba podła.
Jam jeden podniósł wzrok z tak bardzo wielu,
gdy Jeźdźcy koniom nakładają siodła.
Śpią wszyscy. Mrok najgęstszy, gdzie spojrzymy.
Opada niebo. Pędzą z chmur ogary.
O, Gabryjelu, czy to ty, wśród zimy,
sam jeden łkasz na trąbie, we mgle szarej?"

Nie, Johnie, nie, to ja tak gorzko płaczę.
Twa biedna dusza, której ból zadany,
że narzuciła tobie nieopatrznie
uczucia, myśli, ciężkie jak kajdany.
Tyś z tym ciężarem ulatywać umiał
wśród namiętności, grzechów, coraz wyżej.
Tyś wolnym ptakiem był i skrzydłem szumiał
nad swoim ludem, będąc wciąż w pobliżu.
Widziałeś z góry morza, kraje, wszystko.
Dojrzałeś piekło — w sobie i na jawie.
I raj widziałeś. Jak na pośmiewisko
w żądz marnych, w najnędzniejszych żądz oprawie.
Widziałeś: jak ta wyspa ludzkie życie.
Spotkanie miałeś z Oceanu piekłem:
mrok wszędzie, tylko mrok i groźne wycie.
Zbliżyłeś się do Boga i uciekłeś.
Lecz ciężar twój nie puści do tych wyżyn,
skąd, gdy popatrzeć, rzeki, miasta, kraje —
żałosny świat. A gdy spoglądasz niżej,
Ostatni Sąd niestrasznym się wydaje.
Tam ziemski czas nie postępuje krokiem.
Co stamtąd jest — to już jak sen w malignie.
A Pan Bóg — światło z oddalonych okien,
co w mglistą noc podróżnym czasem mignie.
Są pola. Ale pług ich nie poruszył.
Od lat nie ruszył gleby. Od stuleci.
Jedynie ciemna ściana leśnej głuszy
i deszcz, co trawom w tańcu mknie naprzeciw.

Ten drwal najpierwszy, który wjedzie konno
w mrok gęstwy i na sosny szczyt wylazłszy,
w tumanach ujrzy dolin dal ogromną

i odblask ognisk, co się w dali zaszył —
dalekie wszystko... Tu zaś mgła odsłania
zarysy rzeczy, oczom tak przestronnie.
Spokojny kraj, nie słychać psów szczekania
i nikt nie słyszał nigdy głosu dzwonnic.
I pojmie: tylko dal. Ku lasom mrocznym
zawróci konia lejcą swą skórzaną.
A wówczas topór, sanie, otchłań nocy,
ta klacz, on sam — biblijnym snem się staną.

Dlatego gorzko płaczę: to przedwczesna
wyprawa. Wracać mi na dawną drogę.
Nie można iść, dopókim jest cielesna.
Tylko po śmierci tam odlecieć mogę.
Tak. Sama jedna. Ciebie pozostawię
w wilgotnej ziemi. Tego już nie zmienię.
Bo wolno tylko w śnie, a nie na jawie
cieleśnie złączyć nasze rozłączenie.

Lecz wiedz! Gdy płacz mój nieustanny plączę
twe sny, nad nami niebo prószy śniegiem
i zszywa znów tkaninę tych rozłączeń
i szybka igła szyje śnieżnym ściegiem.
John Donne, to gorzko płaczesz ty a nie ja.
Sam jeden leżysz. Śpią zdrętwiałe sprzęty,
gdy śnieżna wali się na dom zawieja,
gdy pada śnieg, nie tu, lecz tam poczęty.

Podobny ptakom, śpi w pośrodku gniazda,
a prostą drogę, wiarę w życie lepsze
zaufał tej, co nad nim stoi — gwiazda,
w tej chwili chmurą przesłonięta. Niechże
śpi, jak ten ptak. Duch jego — nieskażony,
a jeśli w świeckim bycie dość nagrzeszył,
i tak wynosi się jak gniazdo czarnej wrony
ponad szarzyznę gwarnych szpaków rzeszy.
Podobny ptakom, rankiem się obudzi.
W tej chwili sam — pod prześcieradłem białym.
Na razie śnieg i sen w ponocnej złudzie
zszywają lotną duszę z śpiącym ciałem.
Usnęło wszystko. Tylko kilka wierszy
z szczerbatych gąb do zakończenia wzdycha,
iż miłość ziemska — dług poetów pierwszy,
duchowa miłość — krzyk cielesny mnicha.

Na młyn niech woda leci jakikolwiek,
zawsze to samo koło ziarno miele.
Jeśli z innymi życie dzieli człowiek,
któż naszą śmierć zapragnie też podzielić?
Tkanina w dziurach. Ciągną w tępej złości.
To tu, to tam. Więc rwie się coraz szerzej.
I tylko ktoś w niebieskiej wysokości
krawiecką igłę czasem w rękę bierze.
Śpij, Johnie Donne! Śpij, nie dręcz się daremnie!
Podarty kaftan. Mgła się w górze słania.
Może za chwilę wyjrzy z chmury ciemnej
gwiazda, co tyle lat twój świat osłania.

Josif BRODSKIJ

(Przełożył z rosyjskiego Józef ŁOBODOWSKI)

Miód poznania

W Wilnie nakładem wydawnictwa VAGA ukazała się b. interesująca pozycja poetycka. Jest to tom liryków pt. „Pazinimo medus" (Miód poznania), którego autorem jest poeta litewski żydowskiego pochodzenia HIRSAS OSEROVICIUS.

H. Oserovicius urodził się w r. 1908 w Poniewieżu. Po zdobyciu doktoratu praw na Uniwersytecie Kowieńskim, poświęcił się wyłącznie pracy literackiej. Pisać co prawda zaczął już we wczesnej młodości, lecz czas publikacji pierwszych jego wierszy przypada dopiero na rok 1934. Przed wojną wydał tom liryków pt. „O świcie". Podczas wojny drukuje swoje wiersze w prasie, wydawanej przez Żydowski Komitet Antyfaszytowski. Po wojnie wydawnictwo „Der Emes" wydało tom jego poematów i ballad pt. „Zerwane pęta". W r. 1962 „Sowietskij Pisatiel" wydał tom poezji Oserovicius w jęz. rosyjskim — „Mój dobry klon". Poeta jest m.in. stałym i b. płodnym współpracownikiem wychodzącego w Moskwie pisma „Sowietisz Hejmland".

Poezję jego cechują głównie filozoficzne próby uogólniania zjawisk życiowych, oszczędność środków wyrazu i zdyscyplinowanie myślenia poetyckiego. Oto kilka przykładów.

PO WYZWOLENIU

Jak dobrze, że ponury czas już minął
I mogę myśleć: nie chcę o nim myśleć.
Tu panowała taka długa noc,
Że miałeś czas policzyć wszystkie gwiazdy.

RADOŚĆ I SMUTEK

Czy rzeczywiście radość — szczęściem,
Smutek zaś — nieszczęściem jest?
O, nie! Jedno i drugie wciąż pospołu widzę —
I każde z nich jest dobre.
Lecz każde znów jest złe,
Jeżeli ono ciebie,
Nie zaś ty go bierzesz w posiadanie.

POKOLENIA

. . . . . .
Bo wszystko to, o czym myślałeś w życiu —
Jeno przygotowaniem jest.
Codzienna praca, spokój odpoczynku —
Jeno przygotowanie jest.
Wszystkie wysiłki, każdy polot, każda prawda —
Jeno przygotowaniem są.
Wszystko przed tobą,
Wszystko po tobie,
I ty sam —
Jeno przygotowaniem.
Więc po co usiłujesz pojąć wieczność?
Przygotowanie zrozum!

NAJWAŻNIEJSZE

Jeśli inaczej widzisz rzeczy, niż widziałeś, —
To nie jest najważniejsze.
Jeżeli uśmiech wzbudza to, co niegdyś pokochałeś —
To nie jest najważniejsze.

Jeśliś popełniał błędy, co ci wstyd przynoszą, —
To nie jest najważniejsze.

Jeśli nawet wiesz, że to, coś zaczął
Z czasem się zgubi lub wypaczy,
Nawet i to nie najważniejsze.

Bacz jednak i nie twierdź lekce,
Uspakajając swoje serce,
Że najważniejsze rzeczy nie istnieją.

To jest najważniejsze.

ZACZAROWANE KOŁO

O to jest radość —
Czyż nie były smutek?

A czym że smutek —
Czyż to nie smętny duszy krzyk,
Czy nie tęsknota za radością?

Zrozum więc teraz, człeku, co to smutek i co radość...

BEZSILNOŚĆ

Faluje niespokojne morze...
Lecz cóż mi z tego niepokoju,
Jeżeli naprzód dążyć nie pozwala
Zastygły, senny brzeg?

PARADOKS

Mocniejsza skała od człowieka,
Lecz ona tego nie rozumie.
Człowiek rozumie i dlatego
Mocniejszym być od skały umie.

Hirsas OSEROVICIUS

(Z litewskiego przełożył V. VASARIS)

Kraj

Klasa najbardziej niezadowolona

I.

Melchior Wańkowicz nie złożył apelacji i wyrok skazujący go na półtora roku więzienia już się uprawomocnił. Czy istotnie stary pisarz pójdzie do mamra? Zdaje się, że rząd, czy partia, a to w Polsce jest równoznaczne z wymiarem sprawiedliwości, znajdą takie czy inne wyjście, bo u nas przestali lubić okrucieństwa. O Wańkowiczu mówi się jednak ostatnio już mniej, bo aktualne są inne sprawy. Przede wszystkim aresztowano, a później wypuszczono 20 asystentów Uniwersytetu Warszawskiego oskarżając ich o sympatie dla listu 34-ech, organizowanie wiecu uniwersyteckiego deklarującego swą solidarność z intelektualistami i tp. Na czele tych asystentów stał p. Modzelewski, syn byłego ministra spraw zagranicznych komunistycznej Polski. Podobno ten minister, będąc uczniem gimnazjalnym w Częstochowie w 1920, odmówił pójścia do wojska, bo już wtedy był komunistą z przekonania. Tego rodzaju stanowisko nawet u największego przeciwnika politycznego spotka się z szacunkiem. Wdowa po Modzelewskim, pisarka polska, także zwolenniczka listu 34-ech, udała się do Ochaba i zdołała oswobodzić syna z aresztu.

Ci asystenci uniwersyteccy są interesujący, ponieważ chodzi tu o ludzi młodych. Poza tym akcja publicystyczno-policyjna zwraca się przeciwko ludziom starym. Zawistowski i January Grzędziński — dwóch ludzi zbliżonych poglądowo do prof. Tadeusza Kotarbińskiego, owego arcykapłana antyreligijności w Polsce, byli także inkomodowani. Zawistowski znalazł się w szpitalu wariatów, bo przy rewizji znaleziono u niego papier z nagłówkiem: „Instrukcja Nr 8". Dla kogo to była instrukcja nie wiadomo, on sam tłumaczył, że to jest jego sposób zapisywania własnych myśli, a nie żadne działanie organizacyjne. Znaleźli się psychiatrzy, którzy zaproponowali, że odbędą nad nim badania. January Grzędziński, redaktor „Czarne na Białym" przed wojną, lewicowy piłsudczyk, był ciągany na wielokrotne badania w związku z najbardziej prywatnym listem, który napisał do swego przyjaciela w Marokku. W liście tym użył arcyniebezpiecznego zwrotu, mianowicie napisał: „pozdrów ode mnie Jerzego". Oskarżenie twierdziło, że jeśli Jerzy to na pewno Giedroyc, redaktor „Kultury", którego się tutaj obawiają prawie na równi z bombą atomową. Grzędziński żartobliwie odpowiedział, że tu chodzi nie o Giedroycia lecz o Putramenta. — „Przecież Putrament mieszka w Warszawie". — „No tak, ale Giedroyc także nie mieszka w Marokku lecz w Paryżu". Grzędziński jest na wolności, lecz także oskarżony z 23 art. małego kodeksu karnego przewidującego za szkalowanie Polski Ludowej karę od 3 do 15 lat więzienia.

Ale najgłośniej oskarża się najstarszego ze wszystkich, mianowicie poetę Jana Nepomucena Millera. Przed wojną był on ultra lewicowym pisarzem. Teraz oskarżony jest o drukowanie korespondencji w ultra reakcyjnych „Wiadomościach" Grydzewskiego w Londynie, poza tym o złośliwą chęć wydania w Państwowym Instytucie Wydawniczym zbioru esejów pt. „Bez kropek nad i". Tego samego dnia dwa pisma bardzo reprezentacyjne, bo tygodnik „Polityka" i najbardziej czytany dziennik „Życie Warszawy" wystąpiły z atakiem na tego starca. Zarzuca się biednemu Millerowi, że korespondencje swe wysyłał na adres jakiejś pani Katarzyny Dupont do Brukseli, a stamtąd dopiero wysyłano je do Londynu; że jego żona nosiła te artykuły do przepisywaczki, aby nie były wysyłane na maszynie Millera i rzeczy podobne.

Wszystko to jest materiałem policyjno-wywiadowczym. O takich rzeczach wolno jest pisać szanującemu się dziennikarzowi dopiero, kiedy będą ujawnione na sądzie. Ale nowoczesne maniery są inne.

Wypomina się także Millerowi, że otrzymał nagrody literackie od władz Polski Ludowej, a teraz je rzekomo szkaluje. Nagroda literacka uważana jest coś w rodzaju łapówki, którą jeśli się raz weźmie, to już do końca życia trzeba być swemu łaskawcy wiernym, oddanym i posłusznym.

II.

Ale to są takie nerwowe alergie na ciele polskiej inteligencji. Ważniejszy jest stosunek klas społecznych do reżymu komu-

Powyższy artykuł teoretycznie powinien się był ukazać w lutym. Ze względu na to że — jak corocznie — numer styczniowy jest numerem podwójnym, i biorąc pod uwagę ich aktualność, zamieszczamy dwa artykuły Gastona de Cerizay jednocześnie. (Redakcja).

nistycznego w Polsce, a mianowicie następujących klas społecznych: inteligencji, masy włościańskiej, rzemieślników i klasy robotniczej. Z tych klas najwięcej wroga reżymowi, najbardziej nienawidząca samego wyrazu socjalizm, jest niewątpliwie klasa robotnicza.

Teraz powiem kilka słów, które może zdziwią czytelników „Kultury". Otóż uważam, że obecny rząd polski prawie wszystko co robi, robi jak najgorzej, ale przecież jest jedynym możliwym rządem dla państwa posiadającego tego rodzaju sytuację geopolityczną co obecna Polska. To nie komuniści są winni, że nami rządzą: stanowili oni niepozornie mały odsetek w Polsce; — w Polsce przedwojennej mniej było przekonaniowych komunistów niż w Anglii czy Francji. Do władzy doszli oczywiście nie dlatego, że raptem zyskali oparcie w społeczeństwie, lecz dlatego, że Anglia nas najzwyczajniej sprzedała Stalinowi. Nie ma dzisiaj człowieka odpowiedzialnego i poważnego, który by przyjął władzę wtedy, kiedy istnieje rozpołowienie Niemiec, rządy komunistyczne w Czechach i na Węgrzech. Do komunistów polskich odnieść można poniekąd frazes Robespierre'a o Panu Bogu, że gdyby go nie było należałoby go wymyślić. Cóż za szczęście, że znalazł się Gomułka i inni, którzy mimo wszystko są jednak chociażby poniekąd Polakami. Zresztą Gomułka zasługuje na miano żywiciela, bo to on sprzeciwił się socjalizacji wsi. Gdyby panowały u nas kołchozy, Warszawa musiałaby zdechnąć z głodu, tak jak głód panuje w wielkiej ojczyźnie Lenina.

Rząd jest więc nie do zastąpienia w obecnych warunkach. Konflikt chińsko-rosyjski zapowiadał, że coś się zmieni. Nic się na razie nie zmieniło. Również nie zmieniło się nic w polityce Niemiec Zachodnich wobec Polski. Ci Niemcy wołają wciąż o granice z 1937 r. ale tylko dla Niemiec, czyli że rewizja granic ma tylko wynagradzać Niemcy, natomiast Rosja ma dalej panować nad Lwowem i Wilnem. Za mało się podkreśla, że tego rodzaju polityczne stanowisko Niemiec, będąc stanowiskiem rozbiorowym wobec Polaków, jest jednocześnie ofertą przyjaźni wobec Rosji. Pogódźmy się kosztem Polski — stare to hasło niemieckie i rzecz dziwna, że jakieś nowe idee nie mają dostępu do głów niemieckich.

III.

Ale jeśli prawdą jest, że obecny komunistyczny rząd jest nie do zastąpienia, to również prawdą jest, że w kraju nie ma on zwolenników, ale albo zawziętych choć bezsilnych wrogów, albo przynajmniej potencjalnych wrogów. Nie ma... jest to oczywiście wyraz obejmujący olbrzymią większość narodu. Nie ma, to znaczy, że 99,99% obywateli Polski Ludowej nienawidzi tego ustroju. Gomułka i zapewne kilku innych ludzi jest jego zwolennikami, ale i oni uważają, że powinno byłoby być lepiej. Przeinaczaniu tego stanu rzeczy służy prasa, w której dziennikarze piszą akurat odwrotnie, niż mówią w rozmowach prywatnych.

Inteligencja jest niewątpliwie uprzywilejowana, jest warstwą rządzącą, bo chłopi i robotnicy w tej Polsce „Ludowej" nie mają nic do powiedzenia. Inteligencja jest też w znakomitej większości w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Znowu, jeśli ktoś sobie wyobraża, że członkowie tej partii są komunistami z przekonania, to mu powiemy, że jest dzieckiem wierzącym w bociana. Jeśli w Rosji za rządów cesarskich opartych na „czynownictwie" ktoś otrzymywał „czin", to nie znaczyło, że zostawał monarchistą carskim. Członkostwo Partii to jest sytuacja osobista, zwłaszcza ważna dla inteligenta pracującego w biurze. Dlatego nikt się jej nie wyrzeka, a potem śpi na zebraniach partyjnych, o ile oczywiście nie zajmuje się jakimiś partyjnymi intrygami lub pieniężnymi spekulacjami załatwianymi via stosuneczki partyjne.

Inteligencja otrzymuje pensje głodowe. Przychodzi mi do głowy piękne porównanie. Oto w XIX wieku i w początkach XX-go aktorki teatrów paryskich miały także bardzo skąpe wynagrodzenia. Do ról w sztukach współczesnych musiały sobie kupować kosztowne stroje. Nikt jednak nie badał skąd na to biorą pieniądze. Podobnie jest dzisiaj z urzędnikiem państwowym w Polsce. Nie znaczy to, aby każdy brał udział w wielkich aferach w rodzaju mięsnej, celnej, dewizowej i wielu innych, przeważnie albo całkowicie przez prasę przemilczanych, albo bardzo dyskretnie referowanych. Wystarczy spokojniejsze i mniej lukratywne „organizowanie", jak to się nazywa.

A gdyby tego „organizowania" nie było? Najbardziej niemoralnym z paradoksów jest właśnie to, że wszystkim byłoby gorzej. Dobrobyt kraju uzależniony jest w pierwszym rzędzie od szybkości obrotów gospodarczych w samym kraju. Gdyby wszyscy poprzestawali na swoich głodowych pensjach i leżeli na brzuchach, jak Hindusi nad Gangesem, to nędza kraju byłaby jeszcze o wiele nędzniejsza.

Chłop jest dzisiaj warstwą uprzywilejowaną, bo wolno mu korzystać z rezultatów swojej pracy i tymi owocami dowolnie rozporządzać. Ale chłop jest klasą zamkniętą i odrębną. Nie ma nic do powiedzenia w Polsce Ludowej, ale znajduje się pod całkowitym wpływem kościoła i księdza. Politycznie będzie się zachowywał tak, jak mu proboszcz każe. A znowuż kościół, jeśli chodzi o skład kleru, stracił charakter wielostanowy, stał się cał-

kowicie chłopski. Weźmy listę episkopatu w Polsce. Z małymi wyjątkami nazwiska zdecydowanie włościańskie. Skład zarządów Stronnictwa Ludowego za czasów Witosa czy Mikołajczyka nie był tak jednolicie chłopski, jak dzisiaj jest skład episkopatu. Z tego między innymi wynika polityczna siła kościoła. Chłop i ksiądz rozumieją się doskonale.

Napisałem powyżej, że robotnik polski nienawidzi dziś samego wyrazu: „socjalizm". Może byłoby inaczej, gdyby miał do czynienia z socjalizmem reprezentowanym przez dajmy na to, szwedzką partię socjalistyczną. Ale w Polsce socjalizm streścił się do upaństwowienia całej gospodarki. Istnieją Rady Robotnicze przy zakładach fabrycznych, pewna (nie za duża) ilość robotników wchodzi w skład Zjednoczonej Partii Robotniczej... Ale robotnik będący członkiem tych organizacji nie ośmieli się w żadnym wypadku zająknąć się o konieczności jakiejś podwyżki płacy. Byłby to czyn antypaństwowy, godzący w budżet. Przedstawicielstwa robotnicze w państwach tzw. kapitalistycznych służą do obrony interesów robotnika, w Polsce służą do trzymania tego robotnika w ryzie i posłuszeństwie wobec tego hiper-gospodarza i jedynego kapitalisty, którym w tym kraju jest samo państwo.

Robotnik polski jest pracowity, zdolny i przede wszystkim nie jest głupi. Otrzymuje paczki i listy od swoich krewnych z Ameryki lub Niemiec Zachodnich. Wie, że robotnik w krajach kapitalistycznych zarabia więcej i że jednocześnie towar jest tam tańszy. Wyciąga z tego odpowiednie wnioski...

Gaston de CERIZAY

Konwencja międzynarodowa

Spoistość satelitów i ich posłuszeństwo wobec Rosji uległy w ostatnich czasach dużej ewolucji. Rumunia, jak wiadomo, w dziedzinie gospodarczej robi co chce. Czy Polska nie powinna skorzystać z tej okazji i odzyskać choć odrobinę swobody myśli na którą zasługuje, mówiąc górnolotnie, jako naród od wieków kochający wolność nade wszystko.

Na razie drobne fakty na tle szarpaniny o cenzurę, która to szarpanina trwa od styczniowego zeszłorocznego zebrania Związku Literatów, czyli prawie od roku.

Sprawa Wańkowicza dostarcza nie lada sensacji. Po pierwsze napisał do sądu, że zrzeka się apelacji, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie wierzy w wyrok sprawiedliwy. Już po wysłaniu tego pisma uzyskał spotkanie z Gomułką, który go przyjął w dniu 15-go stycznia i rozmawiał dokładnie dwie godziny i kwadrans. O ile wiem, Wańkowicz nikomu nie opowiada szczegółów tej rozmowy ze względów zrozumiałych, zasłaniając się dyskrecją, ale to, że rozmowa była aż tak długa wskazuje jednocześnie, że była kurtuazyjna. Potem ogłoszono w tygodniku „Prawo i Życie" że fotokopia listu Wańkowicza, który był przedmiotem rozprawy sądowej zrobiona była w pomieszczeniu „Free Europe" w Monachium. Ta wiadomość niewątpliwie zainteresuje współpracowników radia monachijskiego i w ten sposób rozwiązana została jedna z tajemnic, o których pisałem w artykule „Trzy zagadki". Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że „Iskry" mają wydać jedną z wstrzymywanych od wydania książek Wańkowicza i że on sam został wezwany na komisję lekarską. Komisja ta orzeknie zapewne, że ten pisarz jest zbyt słabowity aby iść do mamra i w ten sposób sprawa Wańkowicza zostanie zlikwidowana w sposób humanitarny.

Rządzi się w Polsce według rosyjskiej maniery i zasady: „Zachoczu miłuju, zachoczu w baranij rog sognu". Przyjacielska rozmowa szefa państwa z człowiekiem skazanym sądowym wyrokiem pełnomocnym na trzy lata więzienia była ujawnieniem pierwszego oblicza tej zasady, „obłaskawię kogo zachcę". Drugie jej oblicze skrzywiło się w stosunku do Jana Nepomucena Millera. Ten poeta był zawsze lewicowcem, przed wojną był na lewo od PPS. Teraz pod pseudonimem Niemira ogłosił szereg artykułów w londyńskich „Wiadomościach" o stanie rzeczy w kraju. Artykuły były ostre, nie tak jednak ostre jak te, które ukazują się często we Francji w stosunku do rządów generała de Gaulle, lub te które napadały na „rządy sanacyjne" w przedwojennej Polsce. Dopuścił się Niemira szargania świętości. Czy uwierzycie, że o ostatnim dziele Jarosława Iwaszkiewicza wydanym pod triumfalnym tytułem „Sława i chwała" ośmielił się napisać „Sława bez chwały". Okropne!

Niemira nie wysyłał do Londynu swoich korespondencji pocztą, bo wszyscy wiedzą, że wbrew konstytucji poczta jest perlustrowana, lecz miał swoje sposoby, które łatwo zostały przez policję wykryte. Tutaj mam okazję do opowiedzenia doskonałego dowcipu warszawskiego, powstałego pod wpływem ech z Soboru. Tak się na Soborze obficie mówiło o „Braciach Odłączonych", że pod wpływem tego powstało u nas określenie „braci podłączonych" to jest ludzi którzy mają podsłuchiwane telefony,

względnie w inny sposób zorganizowany podsłuch w mieszkaniu.

Za swoje artykuły w prasie emigracyjnej został Miller zaatakowany w prasie warszawskiej. On oczywiście w tej prasie głosu zabrać nie mógł, bo nikt by tego nie umieścił. Zwłaszcza oburzające było to, że Millerowi wypominano, że dostał odznaczenie państwowe i rentę. Młoda brać dziennikarska „wychowana w niewoli, okuta w powiciu" stawia znak równania pomiędzy tym wyróżnieniem, a kupieniem sobie pisarza przez rząd. Zostałeś wyróżniony, więc musisz wywdzięczać się rządowi i pisać tylko to, co rządowi odpowiada. Wyróżnienie w pojęciu tych wieszczów wychowanych w socjaliźmie, to jest coś w rodzaju napiwku, który się daje kelnerowi w restauracji. Jeśli kelner wziął napiwek, to powinien cię obsłużyć uprzejmie, a nie ci grubianić lub wylewać zupę za kołnierz. Takie dokładnie jest przekonanie większości młodych dziennikarzy w Warszawie.

Pana Millera nie tylko wymyślano w gazetach bez prawa odpowiedzi naturalnie. Powołano go także przed sąd koleżeński Związku Literatów widać, aby go wylać ze Związku, ponieważ nie wie jak się naprawdę nazywa socjalistyczno-twórcza epopea Jarosława Iwaszkiewicza. Wreszcie został pociągnięty do odpowiedzialności przed sądem państwowym z art. 23 małego kodeksu karnego, który za „szkalowanie Polski Ludowej" przewiduje karę od trzech do piętnastu lat więzienia bez prawa korzystania z instytucji zawieszenia wykonania kary.

Jednak przed wydaniem wyroku przez sąd, Jan Nepomucen Miller został powiadomiony, że wypłacana mu dotychczas renta została wstrzymana. Sędziwy, wielkich zasług i wielkiego talentu pisarz polski został więc bez żadnych środków do życia, bo przecież drukować mu już nic nie będą.

Tak się przedstawia sytuacja w literaturze polskiej w drugiej połowie stycznia 1965 r.

Ale opozycja niektórych literatów w stosunku do rządu jest dla tego rządu ukąszeniami komara, którego tak łatwo jest przecie odpędzić. Mniej pryncypialnych literatów jakoś się zjedna, bardziej honorowych zamknie do więzienia i tak się skończy. Trzeba tu zdać sobie sprawę, że rząd ma w kraju tylko jednego przeciwnika politycznego, z którym musi się liczyć, co więcej — tu proszę czytelnika o specjalną uwagę — z którym walki swymi siłami nie wygra, lecz ją przegra, z którym walkę może wygrać tylko przy wydatnej pomocy Związku Radzieckiego, a siłą tą jest kościół katolicki.

Nie mam zamiaru przesadzać religijności Polaków. Ale nie chcę jej także nie doceniać, zwłaszcza, że w swym wykładzie będę podkreślał tezę, że nie religijność Polaków, lecz ogólna opozycyjność całego kraju stanowi dziś podstawę politycznej potęgi Kościoła Katolickiego w kraju. Zajmijmy się jednak na razie tą religijnością.

Prześladowanie dzieci przez system szkolny daje wyniki odwrotne. Dzieci może by ziewały na lekcjach religii, ale natomiast masowo uciekają na koloniach letnich na nabożeństwa, kiedy im to jest zakazane. Ciekawe, że w tych nastrojach religijnych uczestniczą bardzo często dzieci dygnitarzy partyjnych, komunistycznych mówców, popisujących się na zgromadzeniach antykościelnymi hasłami.

Jeszcze wyraźniej przegrał rząd ze swoim prześladowaniem chorych w szpitalach. Polak ciężko chory lub umierający lubi patrzeć na krzyż. W szpitalach kazano krzyże zdejmować, wywołało to zatargi ze służbą szpitalną, która w większości wypadków odmawiała wykonywania tych zleceń. Ten opór zrobił swoje, przestraszono się i cofnięto. I krzyże dziś wiszą nad łóżkami chorych jak dawniej.

Nad ludem wiejskim panuje kościół bezapelacyjnie. Można nawet twierdzić, że kler to nie tylko polityczna organizacja, lecz wprost polityczna władza chłopa polskiego. Zresztą, jak już pisałem, episkopat polski składa się z synów chłopskich i to bynajmniej nie jakichś zamożnych gospodarzy, lecz także biedoty wiejskiej.

Ale nie w tym tkwi istota siły kościoła, lecz w czym innym:

Rząd Polski Ludowej w całej pełni stosuje swoją przestarzałą i absurdalną doktrynę gospodarczą. Upaństwowił całe życie ekonomiczne i to nie tylko wielki przemysł, kopalnie czy kredyt, ale w ogóle wszystko do szynków i budek z wodą sodową, do naprawy butów czy pralni kalesonów. To wszystko funkcjonuje tak katastrofalnie, że społeczeństwo prawie w całości ucieka się do nadużyć. Nie o żadne procesy mięsne, skórnicze, cłowe czy dewizowe tu chodzi — każdy funkcjonariusz państwowy popełnia większe lub mniejsze nadużycia. Jest to obrzydliwe moralnie, lecz gospodarczo daje ludziom żyć, daje jakiś obrót, jakąś możliwość wegetacji. Wzbudza jednak powszechne i słuszne niezadowolenie z reżymu, który doprowadził do tego stanu.

Rząd jest komicznie niekonsekwentny. Oto przemówienia na zebraniu, oto artykulasy w gazetach przeładowane są twierdzeniami, że kapitalizm się kończy, a oto nasz system gospodarczy wylizuje wprost wszelką możliwość uzyskania dewiz kapitalistycznych. W samej Warszawie sprzedaje się pewne gatunki wódek za dolary, wszędzie gdzie tylko można postponuje się pieniądz własny, kompromituje się go, a żebrze o pieniądz państw kapitalistycznych.

Robotnik polski jest klasą najbardziej niezadowoloną, najbardziej wyzyskiwaną. W państwach kapitalistycznych organizacje robotnicze służą robotnikom do obrony ich interesów. W Polsce Ludowej organizacje robotnicze służą do trzymania robotnika za mordę, aby nie utyskiwał, nie strajkował, a tylko cieszył się i klaskał. Robotnik polski to dziś prawdziwy *sclavus saltans*.

Wszystko to stwarza stan nieustannego wrzenia i napięcia. Ludzie chcą być ludźmi, żyć jak ludzie, tak jak żyją dziś Polacy w Ameryce lub polscy robotnicy w Niemczech Zachodnich.

Otóż nie ma dziś w Polsce jakiejkolwiek partii politycznej. Wszystko jest zależne od rządu. Jako instytucja swobodna i prowadząca własną politykę jest i pozostał tylko kościół.

Dla stworzenia pomiędzy kościołem a rządem jakiegoś buforu działają organizacje „Pax" i „Znak". Z pewnych względów nie będę o nich pisał, zaznaczając tylko, że zagranica przecenia ideowe różnice pomiędzy tymi dwoma organizacjami, idącymi przecież w dziedzinie politycznej po bardzo podobnych liniach.

W ostatnich czasach istnieje znów możliwość konfliktu pomiędzy rządem a kościołem w sprawie interpretacji konwencji międzynarodowej o zwalczaniu dyskryminacji w dziedzinie oświaty. Nie twierdzę, że konflikt ten jest pewien, ani nawet że się na niego zanosi, twierdzę tylko, że jest po temu możliwość.

Oto jeszcze 15 grudnia 1960, a więc cztery lata temu, podpisano w Paryżu po obradach Konferencji Generalnej Narodów Zjednoczonych powyżej powołaną konwencję.

Widać z miejsca rząd Polski Ludowej spostrzegł, że konwencja ta stwarza mu poważne trudności, skoro tak zwlekał z ratyfikacją. Ale w końcu, po trzech i pół latach namysłu, bo dopiero 13 lipca 1964 r. Rada Państwa oświadcza uroczyście, że konwencja ta jest „przyjęta, ratyfikowana i potwierdzona" oraz przyrzeka, że będzie „niezmiennie zachowana".

Znowuż zwłoka kilku miesięcy, ale wreszcie w „Dzienniku Ustaw" Nr 40 z dnia 17 listopada 1964 konwencja jest ogłoszona wraz z tym uroczystym oświadczeniem Rady Państwa, że będzie „niezmiennie" dotrzymywana.

Otóż konwencja ta posiada art. 5 punkt b, który brzmi jak następuje:

> „Rodzice i w odpowiednich przypadkach prawni opiekunowie powinni mieć możność, po pierwsze — w granicach zakreślonych ustawodawstwem każdego państwa — swobodnego posyłania swoich dzieci nie do państwowych, lecz do innych zakładów nauczania, odpowiadających minimalnym wymaganiom ustalonym, albo zatwierdzonym przez właściwe organy oświatowe i po drugie — zapewnienia religijnego i moralnego wychowania dzieci zgodnie z ich osobistymi przekonaniami; nikomu indywidualnie, ani żadnej grupie osób, jako całości, nie należy narzucać religijnego wychowania niezgodnego z ich przekonaniami".

Innymi słowy Polska Ludowa przyjmując tę konwencję zajmującą się przede wszystkim usunięciem dyskryminacji osób czarnego koloru skóry przy ich przyjmowaniu do szkół, zobowiązała się, że na jej terenie działać będą szkoły nie-państwowe.

Przecież wyraźnie jest powiedziane, że „nie do państwowych lecz do innych zakładów nauczania..."

Ze zdania umieszczonego poprzednio: „w granicach zakreślonych ustawodawstwem każdego państwa" można wywnioskować wszystko co się chce, z wyjątkiem, że to „ustawodawstwa każdego państwa" może zakazać szkolnictwa nie-państwowego. Będą w Polsce amatorzy rozumowania, że ponieważ ustawodawstwo Polski Ludowej dopuściło na 31 milionów mieszkańców tylko sześć szkół średnich nie-państwowych, więc konwencja będzie wykonywana w stosunku do tych sześciu szczątkowych zakładów naukowych.

Nie trzeba chyba dowodzić, że takie rozumowanie jest zupełnie niezgodne z elementarnym rozumowaniem prawniczym.

Pozwolimy sobie tutaj na abstrakcyjny przykład. Wyobraźmy sobie konwencję międzynarodową, która by brzmiała:

> „...w granicach zakreślonych ustawodawstwem każdego kraju młodzież ma prawo korzystania bezpłatnego zarówno z boisk piłki nożnej, jak i kortów tenisowych..."

Oczywiście, że państwo które by taką konwencję podpisało musiałoby dostarczyć swej młodzieży wystarczającej ilości boisk i kortów.

Tylko zawzięta tendencja może zaprzeczyć, że przez podpisanie konwencji o zwalczaniu dyskryminacji w dziedzinie oświaty, państwo Polski Ludowej zgodziło się, że na jego terenie powstaną szkoły nie-państwowe i w ilości odpowiadającej napływowi chętnych do uczęszczania do takich szkół.

Ktoś mi powie: ale to nie zgadza się z zasadniczym ustrojem państwa w którym upaństwowione jest wszystko od góry do dołu. Odpowiadam: w takim razie nie należało podpisywać konwencji. Teraz klamka zapadła.

Napisałem powyżej, że konwencja stwarza możliwość konfliktu pomiędzy kościołem a państwem. Nie znaczy to, abym wzywał do tego konfliktu.

Kościół powinien sobie zdawać sprawę jak naród polski został w ostatnich czasach osłabiony przez najrozmaitsze zrywy.

Państwo musi rozumieć, że walka z kościołem to jest walka przerastająca siły komunizmu polskiego. Aby ją wygrać trzeba jeszcze bardziej uzależnić się od komunizmu radzieckiego. A przecież obecna polityka wszystkich państw satelickich jak gdyby idzie w innym kierunku.

Gaston de CERIZAY

List od przyjaciół

Grudzień, 1964

Drogi Panie,

W poprzednim swoim liście zapowiedzieliśmy, że będziemy Panu, od czasu do czasu przysyłać informacje na temat jak my patrzymy na naszą krajową rzeczywistość, zwłaszcza od strony gospodarczej. Będzie to więc drugi list z tego cyklu; mamy nadzieję, że nie ostatni.

W naszych intencjach na pewno nie leży szkalowanie Polski. Raczej chodzi o to, że jeśli nie możemy wpłynąć na cały szereg niemal niepoczytalnych posunięć od wewnątrz, chcielibyśmy wpływać od zewnątrz. Nie mamy więc nic przeciwko temu, aby fragmenty tego listu ukazały się gdzieś w druku, jeśli oczywiście będą się do druku nadawać. Pragniemy się również zastrzec, że nie zmyślamy niczego, ani też nie „wysypujemy" żadnych tajemnic państwowych. Dane, na których się opieramy i które cytujemy, są zaczerpnięte głównie z naszej prasy i oficjalnych wydawnictw. Urzędem Statystycznym, Komitetem Partyjnym ani niczym podobnym nie jesteśmy, możemy więc mówić tylko o tym, co jest nam i wszystkim dostępne. Oczywiście zanurzeni z uszami w naszą rzeczywistość możemy często poddać korektywie pewne cyfry czy przechwałki. Interpretacja jest nasza. Przecież nie tak dawno zdarzył się wypadek (prawdopodobnie jeden z wielu), gdy urzędnik, funkcjonariusz Głównego Urzędu Statystycznego, opracowujący dane, nadesłane przez jeden z zakładów przemysłowych na południu kraju, dowiedział się przez radio, że właśnie ten zakład, który dopiero opracowywał, dostał już sztandar przechodni, jako ten, który pięknie wykonał plan produkcji i to najlepiej w swoim rejonie. A jak z nadesłanych danych i ich analizy się okazało, plan był daleki do wykonania: brakowało ja-

kieś niewielkie prawie 30%. Albo więc dzieje się zupełna granda, albo też praca zakładów przemysłowych w danym rejonie była tak zła, że gdy przyszło kogoś pochwalić, a to jest zdaniem naszych kierowników, konieczne, jako bodziec dla innych (premie itp.), wybrano ten zakład, bo był jeszcze najlepszy. Tym niemniej faktem jest, że ów urzędnik, szczerze zdumiony i oburzony, przeniósł się przy pierwszej okazji do zupełnie innej pracy. Nie chciał bowiem dalej uprawiać tak niesamowitej l i p y.

Poddamy więc i my pewne cyfry czy zamierzenia planowe analizie i ocenom na podstawie naszej własnej praktyki i doświadczeń.

Cóż mamy w tej chwili najważniejszego na tapecie? Oto plan na lata 1965-1970. Nie będziemy się w tej chwili zajmować analizą dość światoburczych planów rozwoju przemysłu, zastanowimy się nad tym, co być może będzie najtrudniejsze do rozwiązania, a co zadecyduje o tamtych planach. Są to naszym zdaniem trzy zagadnienia:

1. zatrudnienie przyrostu naturalnego, a jak się u nas mówi, wielkiego wyżu demograficznego,
2. baza surowcowa,
3. Rolnictwo.

Sprawa zatrudnienia

Głosi się na prawo i na lewo, że w socjalizmie, w odróżnieniu od kapitalizmu, bezrobocia nie ma i być nie może. Wprawdzie my już w naszej codziennej praktyce na przestrzeni ostatnich dwóch lat wiemy — a pracujemy po różnych fabrykach i w różnych działach przemysłu — że w s z ę d z i e najważniejszym z wielu stosowanych bodźców, mających skłonić robotnika do wydajniejszej pracy, jest dzisiaj to, że robotnik aż nadto dobrze wie, że jeśli nie będzie pracował porządnie, zostanie zwolniony, a „za bramą fabryczną", jak w najlepszych czasach kapitalistycznych, czekają już na jego miejsce amatorzy. Bat świadomości istniejącego już bezrobocia, działa najmocniej ze wszystkich bodźców.

Obliczenia, podobno dość skrupulatne, powiadają, że w ciągu najbliższych pięciu lat m u s i być zatrudnione dodatkowo półtora miliona osób. Inni jednak dodają, że cyfra ta, pomijając już dzisiaj szukających pracy, jest za niska, nadal będzie bowiem trwał duży napływ ludzi ze wsi, pragnących się przenieść do miasta, a nadto wiele kobiet, nie uwzględnianych w oficjalnych obliczeniach, będzie chciało i m u s i a ł o jąć się pracy, aby powiązać koniec z końcem w ciągle pogarszającej się sytuacji materialnej rodziny. Przecież nawet oficjalne, zazwyczaj optymistyczne, wypowiedzi twierdzą tutaj dość otwarcie, że „z wyliczeń planowych jasno wynika, że w ciągu najbliższych pięciu lat stopa życiowa może wzrosnąć tylko w tych rodzinach, w których ktoś z członków rodziny podejmie pracę" i — jak my dodajemy —

potulnie złoży swoje zarobki do wspólnego kotła, nadal gniotąc się we wspólnym mieszkaniu. Jeżeli więc zmuszone warunkami przyjdą, czy zechcą przyjść, do pracy kobiety z tych rodzin, a nadto dalej trwać będzie dopływ rąk roboczych ze wsi, cyfrę tych, którzy m u s z ą być dodatkowo zatrudnieni trzeba podnieść do co najmniej 1.800 tysięcy osób.

Równocześnie i nader stanowczo zapowiada się całemu przemysłowi, że nie będą więcej tolerowane praktyki, kiedy to wzrost produkcji osiągano przez wzrost zatrudnienia. A więc wolno będzie przyjmować do pracy nowych robotników tylko tam, gdzie zostanie zaplanowane i zrealizowane stworzenie nowych miejsc zatrudnienia, nowych stanowisk w przemyśle. Tymczasem koszt stworzenia nowego warsztatu pracy w przemyśle wynosi przeciętnie kilkaset tysięcy złotych, a w górnictwie i na przykład w przędzalnictwie (zwłaszcza cienko-przędnym) do miliona. Nie można więc żywić większych nadziei, że przemysł zdoła wchłonąć zaplanowaną liczbę 600 tysięcy nowych robotników. Dziś już góra zdaje sobie sprawę z trudności na tym odcinku. Szuka więc najrozmaitszych wyjść. Zaczyna się np. gwałtownie lansować tzw. zmianowość. Fabryki winny pracować na dwie lub nawet trzy zmiany, wtedy to samo stanowisko może być obsadzone przez dwie lub nawet trzy osoby. Przemysł, który i tak nie bardzo daje sobie radę z obecnymi planami, broni się jak może przed zapowiedziami tak niezmiernie wzmożonego wysiłku. Gorzej jest jednak z tym, że fabryka, która wczoraj pracowała na jedną zmianę, dziś pracując na trzy, będzie potrzebowała mniej więcej potrójnej ilości surowca i będzie musiała wykonać trzykrotny, w porównaniu z dzisiejszym, plan. Nie mówimy już o koniecznym w naszych warunkach wzroście — i to kolosalnym — administracji. Wzrośnie ilość wypełnianych ankiet, sprawozdań itp. A jak one dziś wyglądają, dość powiedzieć, że gdy pewne Zjednoczenie Przemysłowe opracowało ankietę-metodę obliczania efektów ekonomicznego postępu, okazało się że metoda ta wymaga od podległego Zjednoczeniu Zakładu, wypełnienia sprawozdania, zawierającego 247 rubryk(!). Nadto w planie pierwotnym nie od razu została uwzględniona zmianowość, która dopiero ostatnio pojawiła się jako remedium na niemożność dodatkowego zatrudnienia przez przemysł 600 tys. ludzi (w socjaliźmie nie ma bezrobocia), zatem przewidywana planem pięcioletnim ilość surowców produkowanych czy importowanych została już rozdzielona. Skąd więc wziąć owe dodatkowe surowce dla potrojonych planów produkcji? Ale o tym i gospodarce magazynowej, która też stanowi swego rodzaju barierę, będziemy mówić innym razem. Jeśli nawet owe marzenia o zatrudnieniu przez przemysł dodatkowo 600 tys. osób zostaną jakoś zrealizowane, choćby w drodze dotychczasowej praktyki, a więc przez przyjmowanie robotników ponad planowe liczby, to i tak pozostanie jeszcze przeszło milion ludzi, z którymi trzeba coś zrobić. Ktoś na górze wpadł na myśl: r z e m i o s ł o ! Ba, i chciałabym, zgodnie z doświadczeniem i wymogami życia, i boję się z punktu widzenia socjalistycznego dogmatu. Przecież dotychczas rzemiosło, zwłaszcza prywatne, uważane było za rozsadnik kapitalizmu, za coś co konserwuje i rozwija tendencje kapitalistyczne. Rzemiosło więc w gruncie rzeczy tępiono niemal tak usilnie, jak kościół katolicki. Wszelkimi sposobami. W latach 1960-1963 zlikwidowano 55 tysięcy zakładów rzemieślniczych. Ostatnio zaś zamknięto 14% warsztatów krawieckich i szewskich. Tolerowano dotychczas, i to z wielkimi oporami, warsztaty rzemieślnicze małe, jednoosobowe. Dziś próbuje się zmienić całą dotychczasową politykę i praktykę. Zaczyna się głosić, że warsztaty trzy-czteroosobowe nie prowadzą do uaktywnienia kapitalizmu. Praktyka zresztą wykazała, że jednoosobowy warsztat najczęściej się nie opłaca. Weźmy przykłady: założenie znośnego warsztatu reperacji telewizji musi kosztować 140 tysięcy złotych i więcej, radiowego — ponad 100 tysięcy. Jeśli zatrudnione są w nim trzy albo i cztery osoby, warsztat może szybko wywiązywać się z podjętych robót i jakoś się amortyzuje — jeśli jedna — warsztat nie daje sobie rady i po pewnym czasie upada. W rezultacie, mimo ciągłych i uporczywych skarg ludności a często i przemysłu na brak warsztatów rzemieślniczych i usług, rzemiosło było faktycznie w stanie likwidacji. Do tego jednak, aby zmiana na tym odcinku udała się jako tako, trzeba przezwyciężyć dotychczasowe nawyki, praktyki i dotychczasowy sposób myślenia. Co się bowiem dzieje w rzemiośle aż do dzisiaj?

Rzemieślnik, zwłaszcza prywatny, podlega najrozmaitszym dyskryminacjom. Z reguły nie przydziela się mu lokalu na warsztat, nawet jeśli dotychczasowe warsztaty znajdują się w domach, które podlegają wyburzeniu i których mieszkańcy dostają w zamian nowe lokale. Z reguły też uniemożliwia się rzemieślnikom zdobycie lokalu w spółdzielni. Nie przyjmuje się ani ich pieniędzy, jako wkładów, ani ich samych na członków spółdzielni. Za posiadany lokal rzemieślnik musi płacić o wiele drożej niż każdy inny obywatel. Nawet opłaty za korzystanie z posiadanego radioaparatu są dla rzemieślnika wyższe. Nie dopuszcza się ich do korzystania z ratalnej sprzedaży, tak że szereg rzeczy rzemieślnik musi nabywać przez podstawione osoby, co po wykryciu traktowane jest jako nadużycie. Z reguły nie przydziela się im prawa nabycia surowca. Na tym tle odbywają się jakby polowania z nagonką. Daje się rzemieślnikowi zamówienie i czeka się chytrze, jak on się z tego wywiąże, gdy zamówienie przyjął. Kiedy zaś rzemieślnik postara się jakimiś drogami o kable, żelazo, śrubki itp., wytacza mu się sprawę: skąd i jakim sposobem? Tzw. paragony, tj. kwity na zakupiony w sklepie towar, nie są wtedy brane pod uwagę jako dowody legalnego nabycia materiału. I oczywiście w najlepszym razie, duży karny domiar do podatku, co zabija wszelką rentowność warsztatu. Warsztat się zamyka. Wszystkie przepisy i ustawy z reguły interpretowane są na niekorzyść rzemieślnika. Patrzy się bowiem na niego, jako na tego, który na każdym kroku popełnia przestępstwo, względnie innych zachęca do popełnienia przestępstwa np. do sprzedania mu nie-

prawnie towaru, surowca itp. Każdy usługowy stosunek rzemieślnika do jakiejś instytucji naraża tę instytucję na podejrzenia, że ludzie w niej pracujący, zwrócili się do niego z tym lub owym, bo dostali łapówkę. Zilustrujmy to na przykładach: pewna fabryka musi zakupić łożyska kulkowe, produkowane nie seryjnie; a więc albo sprowadzić z zagranicy — termin dostawy 9 miesięcy, albo zamówić w jakiejś krajowej fabryce — termin dostawy 12 miesięcy, albo wreszcie zwrócić się do rzemieślnika, który podejmuje się zadania z terminem trzymiesięcznym. Szkoła podstawowa musi przeprowadzić remont w terminie dwóch miesięcy. Przedsiębiorstwo państwowe podejmuje się to zrobić w trzy miesiące, a rzemieślnik — w sześć tygodni. Jak się Panu zdaje, jak postępuje tutaj kierownik zakładu przemysłowego czy szkoły? Oto, aby uniknąć podejrzeń, niedomówień, wzmożonych i arogancko podejrzliwych kontroli, wybiera dla świętego spokoju ofertę najmniej korzystną. Odnowienie jednego pokoju kosztuje u rzemieślnika o 300 złotych taniej, niż w przedsiębiorstwie państwowym. Nie do wiary, prawda? My rozumiemy, że dla was to jest nie do wiary i dlatego opiszemy szczegółowiej jeszcze jeden przykład, nad którym nawet dość szeroko i z oburzeniem rozwodziła się nasza prasa.

Centralny Dom Towarowy — w skrócie CDT. Otóż znalazł się kierownik CDT który postanowił wyjść na spotkanie p o p y t o w i (o popycie będzie jeszcze mowa w jednym z następnych listów przy okazji cen i zysku zakładów przemysłowych). Zauważywszy więc, że w kierowanym przezeń CDT nie ma wielu towarów, o które się ludzie ciągle dopytują, a na które więc byłby popyt, a nadto przekonawszy się że żaden przemysł czy zakład państwowy nie chce sobie tym głowy zawracać, postanowił sięgnąć do rzemieślników. W rezultacie pod koniec roku asortyment towarów w CDT wzrósł o jakieś 10 tysięcy nowych artykułów. I handel szedł i klienci byli zadowoleni. Ba, ale u nas są dogmatycy a nadto niepodzielnie króluje obsesja nadużyć. „Oczywiście kupują u prywaciarzy, a nie w uspołecznionym przemyśle, bo zarabiają na tym ekstra i na pewno tamci im dają łapówki". Co było robić? Kierownik CDT stworzył więc niezmiernie biurokratyczny system kontroli w dziedzinie zarówno udzielania zamówień rzemieślnikom jak i przyjmowania od nich towaru: 1. zaopatrzeniowiec, 2. sekcja skupu, 3. komisja jakości towaru, 4. stołeczna komisja cen, 5. komisja odbiorcza, 6. magazyn, 7. stoisko. Każda z tych instancji mogła towar czy zamówienie zakwestionować. Zdawało się, że w ten sposób zapobiegnie się podejrzeniom o jakieś łapówki. Przecież przekupić cały ten łańcuch kontroli było chyba niesposób. Mimo to złośliwe uwagi trwały i w rezultacie zjechała do CDT specjalna komisja, która szukała nadużyć przez okrągłe 5 miesięcy. Kierownik CDT do protokołu Komisji dał obszerne i dobrze umotywowane wyjaśnienie. Nikomu żadnej winy nie udowodniono, nikt nie ucierpiał, nikogo nie zwolniono. Kazano jednak, aby CDT zaopatrywał się w szereg artykułów głównie w przemyśle uspołecznionym,

mimo, że ten na przykład w dziale krawatów, żyrandoli itp. nie ma dostatecznej rozmaitości i co gorsze jakości. W rezultacie ucierpieli klienci. Zakupy CDT u rzemieślników spadły z blisko 40 milionów do siedmiu, a asortyment towarów o dobrych kilka tysięcy różnych artykułów. A co przemysł uspołeczniony? Cóż, dużym zakładom ani w głowie zajmować się produkcją drobiazgów (np. dziecinna konfekcja wszelkiego gatunku) a gdy CDT się upiera, niektóre zakłady wolą, bo im się pono bardziej opłaci, płacić kary wadialne, niż realizować zapotrzebowanie CDT. W rezultacie, po dłuższej walce CDT przestał się przejmować. Sprzedaje to, co dostaje od około 250 uspołecznionych dostawców i nie ma kłopotu zajmowania się przeszło 4 tysiącami rzemieślników. Oczywiście szereg dobrze rozwijających się warsztatów upadło. I trzeba dodać rzecz bardzo ważną: tutaj żaden najlepszy nawet planista nie poradzi. Nie jest bowiem w stanie uwzględnić w swoim planowaniu tych wszystkich wahań i obaw i tych trudności, które w naszych warunkach rządzą zarówno kierownikiem zakładu, który szuka łożysk kulkowych, kierownikiem szkoły, gdzie potrzebny jest terminowy remont i wreszcie dziś już mającym ciężkie doświadczenia kierownikiem CDT. Zmuszeni są iść po linii najmniejszego oporu, choćby w gruncie rzeczy najkosztowniejszej. Oto są dogmatyczne warunki obiektywne, które wypaczają i niszczą wszelkie subiektywne wysiłki, pomysły i chęci.

Od starych doświadczonych rzemieślników wymaga się państwowych egzaminów na mistrzów, czeladników itp. W pewnym mieście doskonały zegarmistrz, zbyt stary aby poddawać się często zresztą szykanującym egzaminom na mistrza, został pozbawiony prawa prowadzenia warsztatu reperacyjnego. W rezultacie w mieście nie ma dobrego zegarmistrza i wszyscy, nie wyłączając przedstawicieli władz, które przeciwko niemu ów werdykt wydały, noszą nadal zegarki do naprawy do tego samego zegarmistrza, który wykonuje to prywatnie. I śmiać się chce i płakać.

Rzemieślnicy nie są objęci ubezpieczeniami społecznymi: a więc nie mają prawa do rent inwalidzkich, starczych, czy zasiłków chorobowych. Nie są również objęci służbą zdrowia *(Życie Gospodarcze* z dnia 13 maja 1964 Nr 18/659). Rady Narodowe okładają warsztaty rzemieślnicze podatkami w sposób najbardziej arbitralny, a gdy mają dziury w budżetach, próbują je łatać niczym nieuzasadnionymi domiarami do podatków. W rezultacie nie tylko niszczą warsztaty jeszcze istniejące, ale co ważniejsza kładą tamę dalszemu rozwojowi rzemiosła. Młodzież przecież zdecydowanie nie chce iść do tego tak dyskryminowanego działu pracy. Na tym tle nadzieje wypowiadane w planie pięcioletnim, że „rzemiosło ma i musi odegrać główną rolę w dziedzinie rozładowania zatrudnienia" — a my mówimy wprost bezrobocia — są co najmniej iluzoryczne. Trzeba by nie tylko ogromnej ilości mądrych ustaw, które by zmieniły dotychczasowy stan rzeczy, ale też i takich które by rozwiązywały zagadnienie zao-

patrzenia rzemiosła w lokale, surowce, zniosły wszystkie dyskryminacje w porównaniu z pracownikami instytucji uspołecznionych. A nade wszystko, i co wydaje się nam najtrudniejsze, trzeba by przezwyciężyć wykształcony przez lat dwadzieścia klimat podejrzeń i nienawiści do rzemiosła jako potencjalnego kapitalisty. Przedtem na większe rozładowanie poprzez rzemiosło zatrudnienia owych przeszło miliona osób liczyć nie sposób. Nieopłacalnych warsztatów nie utrzymają najlepsze nawet zarządzenia i uchwały. A nawet do tych lepszych zarządzeń i uchwał jeszcze daleko.

Nie wydaje się więc nam prawdopodobne, aby gospodarka polska mogła w ciągu najbliższych pięciu lat zatrudnić dodatkowo 1.500 czy 1.800 tysięcy osób.

Niektóre aspekty drenażu i akumulacji środków finansowych

Ale wyobraźmy sobie, że owe marzenia się zrealizowały. Wpada się znów nosem w błoto. Przecież ci wszyscy nowozatrudnieni ludzie nie pobiegną ze swoimi zarobkami do PKO, aby je tam złożyć na książeczki. Będą chcieli i będą musieli je wydać. Na co? Oto zagadnienie przed którym stanie przemysł i handel polski. Skąd wziąć tyle towaru, aby móc zdrenować te sumy, które nowozatrudnieni będą zarabiać? Ktoś, pisząc na ten temat w prasie polskiej obliczał, że ponieważ przeciętny zarobek wynosi 2 tys. złotych miesięcznie, więc pod koniec pięciolatki trzeba by dostarczać na rynek dodatkowo rozmaitych towarów i dóbr za jakieś 3 miliardy złotych miesięcznie. Oczywiście przesadzał, przede wszystkim w zarobkach. Gdzie jest ta przeciętna 2000 złotych? Chyba ze wszystkimi „dodatkami" robionymi mniej lub więcej legalnie na lewo i na prawo. Słusznie bowiem mówi się w Polsce, że choć bardzo wielu ludzi zarabia po 1000 i mniej złotych miesięcznie, nikt z tego nie żyje, bo wyżyć by nie mógł. Każdy robi co może, handluje, pracuje jako rzemieślnik (jeśli coś umie) na pracach prywatnych poza fabryką, w której pracuje normalnie (odnawia mieszkania, reperuje radia, drzwi, okna itd.). Damy Panu jeden konkretny przykład, jednego z wielu sposobów dorabiania. Był tu na przykład latem ub. roku Pana znajomy. Autem i to dość pakownym. Objechał dziesiątki, ba może setki miasteczek; w rzeczywistości całą Polskę. I benzyna nie kosztowała go ani grosza. Ani grosza! Jakim sposobem? Prostym. Jest masa ludzi, którzy podróżują po Polsce w poszukiwaniu lepszych czy dodatkowych zarobków. Każdy szofer, gdy jedzie w jakąś podróż, ma pełno amatorów na podwiezienie. Płaci się 100 i 200 złotych „od łebka" w zależności od odległości. Takich „łebków" Pana znajomy miał pełno i nigdy też nie jechał sam. Nadto benzynę dostawał zawsze i w najlepszym gatunku. To już należało do obowiązków tych „łebków", aby wiedzieć gdzie i jak benzynę nabyć. Oni zaś, obeznani z naszymi warunkami, dawali sobie z tym doskonale radę. Kupował

więc benzynę za pośrednictwem tych łebków w wojsku, policji, w garażach specjalnego przeznaczenia. I zawsze i lepszą i tańszą, niż w garażach normalnych. On zarabiał, bo jeździł darmo; oni i inni zarabiali na pośrednictwie, sprzedaży itp. Babka z szaletu niedaleko kolejki na Kasprowy zarabia dodatkowo nabywając wcześniej pewną ilość biletów na kolejkę. A że na kolejce tłok jest wielki i biletów w ciągu dnia brak, odsprzedaje je po trochę wyższej cenie. Itd. Itd. I dzieje się tak że nie wiadomo, gdzie się zaczyna a gdzie kończy nadużycie.

W każdym razie czy ci nowozatrudnieni będą zarabiać mniej czy więcej, wielka masa towarowa będzie niezbędna. I kiedy się uważnie przegląda plany pięcioletnie można przyjść do przekonania, że kierowników naszej gospodarki mniej zajmuje sprawa dostarczenia towarów nowej rzeszy robotników, niż sprawa drenażu tych sum zarobionych z rynku i sprawa akumulacji środków kapitałowych tak, aby starczyło na wypłaty.

Przede wszystkim w najbliższej pięciolatce poważnie wzrosną ceny zarówno na produkty żywnościowe jak i na inne towary powszechnego użytku. Dla was mogłoby się to wydawać normalne. Większy popyt, brak towarów, więc i ceny wyższe. Tak, ale my nie jesteśmy przecież kapitalistycznym państwem, gdy więc wszystko jest znacjonalizowane, czy jak się u nas nie wiadomo dlaczego mówi wstydliwie „uspołecznione" i o cenach decyduje państwo a nie prawo popytu i podaży, zdawałoby się że to prawo grać nie powinno, chyba u prywatnych spekulantów. Ale gra, bo jak zaspokoić czy ograniczyć głód towarowy, jak i którędy zakumulować potężne środki na wypłaty nie tylko zarobków ale i na różne planowane przedsięwzięcia? U nas wszystko się robi wstydliwie. Cen więc rzekomo się nie podnosi, a tylko zmienia się towar na lepszy, a więc droższy. Był chleb zwyczajny i kosztował ileś tam. Potem przyszedł chleb nazywany na przykład „wiejski", o kilka groszy droższy, a tamten zwyczajny znikł. Następnie znów wymyślono jakąś nazwę, znów droższego chleba i znów ten tańszy znikł. Masz, towarzyszu, chleb lepszy więc droższy. A on: tylko droższy a nie lepszy, a tamtego gorszego i tańszego nie ma. Kiedy jednak nasze czynniki decydujące widzą się przyciśnięte do muru, wtedy otwarcie podwyższają ceny towarów, plotąc przy tym najrozmaitsze banialuki na usprawiedliwienie. Tak więc na przykład:

cena alkoholu w r. 1963 w porównaniu z r. 1959 wzrosła o	40%
cena mięsa i przetworów mięsnych odpowiednio o	31%
cena mleka i przetworów oraz cena jaj o	30%
cena odzieży pono tylko o	4%
cena opału, nafty, zapałek o	20%

Są to dane oficjalne, które prawdziwe zwyżki starają się kryć lub rozwodnić. A w gruncie rzeczy podrożały wszystkie produkty żywnościowe i towary w o wiele większym stopniu. W tej chwili nie będziemy się o to spierać i układać budżetu rodziny,

choć o to się również pokusimy w przyszłości. Dziś możemy tylko prorokować, że ceny w najbliższych latach pójdą wydatnie w górę. Nie darmo plany nie zapowiadają poprawy stopy życiowej a tylko namawiają, aby rodziny pędziły swoich członków do pracy. Inaczej będzie źle. A będzie źle, bo o pracę będzie coraz trudniej.

Drugim środkiem drenażu i akumulacji środków finansowych będzie budownictwo mieszkaniowe. W tej dziedzinie, podobnie jak w rzemiośle, usiłuje się zmienić dotychczasową politykę. Państwo zatem wyrzeka się swojej dotychczasowej roli dostarczenia wszystkim znośnych mieszkań. Budownictwo mieszkań będzie w lwiej części przerzucone na budownictwo spółdzielcze. Państwo, jak na razie i ciągle w teorii, zachowuje dla siebie tylko rolę interwencyjną. A mianowicie ma dostarczać mieszkań tylko rodzinom, znajdującym się w szczególnie trudnych warunkach finansowych, mieszkańcom budynków wyburzanych oraz dla fachowej kadry, przenoszonej z miejsca na miejsce.

Co to znaczy trudne warunki finansowe? Dolna granica nie jest wyraźnie podawana, ale wiadomo, że nawet ludzie, a raczej rodziny zarabiające mniej niż 1000 zł. na osobę, państwowego mieszkania już nie dostaną i będą musieli iść do spółdzielni. W ten sposób planiści spodziewają się, że gdy w r. 1965 udział spółdzielczości w ogólnej kwocie budowy mieszkań osiągnie 20%, to już w roku 1970 udział ten ma osiągnąć 55-60%. Mimo to kwestia zmniejszenia zagęszczenia w mieszkaniach, jak mówi plan, jest jeszcze wizją dalekiej przyszłości. To przerzucenie budowy mieszkań na spółdzielczość ma (tak mówi plan) oprzeć gospodarkę mieszkaniową o zdrowe podstawy, przywrócić prawo wartości (popatrz, popatrz) w gospodarce mieszkaniowej i, (co szczególnie ważne) uwolnić państwo od nadmiernych wydatków na budowę mieszkań jak i na ich eksploatację (utrzymywanie w należytym porządku). Mimo dogmatycznych zapewnień, że w socjaliźmie państwo będzie robić wszystko, okazało się jednak, że pewne zadania są ponad siły socjalistycznej gospodarki. Koszty eksploatacji i konserwacji budynków rosną nadspodziewanie szybko (dla naszych planistów, którzy tej prostej rzeczy nie potrafili przewidzieć i zapewniali, że państwo da sobie ze wszystkim radę). Gdy w roku 1960 państwo wydało na konserwację i eksploatację budynków mieszkalnych 2.196 milionów złotych, to w r. 1961 cyfra ta wzrosła do 2.592 milionów zł. w r. 1962 — do 2.715 milionów złotych. I tak crescendo. A jak te budynki mieszkalne są konserwowane, na przykład w Warszawie, która w przygniatającej części składa się z budynków nowych, można się przekonać, gdy się wejdzie na podwórza domów lub na klatki schodowe. Robi się straszno, jak to wszystko niszczeje i jak porasta, obdrapane, brudem. W niedługim zaś czasie przyszłoby do tego, że na konserwację i eksploatację trzeba by wydawać więcej niż na samo budownictwo mieszkaniowe, które i tak w porównaniu z innymi państwami europejskimi

wlecze się w ogonie. Przecież nawet plan na najbliższe pięć lat (1965-1970) opiewa na zaledwie 2.200 tys. izb, co w przeliczeniu na bardzo skromne mieszkania dwu i pół izbowe daje zaledwie jakieś 890 tys. mieszkań. Porównajmy to z socjalistycznymi trudnościami konieczności zatrudnienia w tym samym okresie dodatkowo 1.800 tys. osób, które prawdopodobnie zechciałyby założyć rodziny i zdobyć dla nich mieszkania.

Pamiętajmy przy tym, że plan postanawia przejść na budownictwo tzw. standartowe i to zarówno w sektorze państwowym jak i spółdzielczym. To znaczy, że nowe mieszkanie będzie zaopatrzone tylko w elektryczność, kanalizację i ustęp. Mówi się na pociechę, że teoretycznie powierzchnia mieszkania ma być tak obliczona, aby przyszły użytkownik czy, jak w spółdzielni, właściciel mógł sobie dobudować prysznic, ewent. łazienkę i może szafy w ścianach. Na takie spółdzielcze mieszkania państwo ma udzielać hojnych pożyczek. Wpłata początkowa, a więc kapitał własny przyszłego lokatora-właściciela musi wynieść najmniej 20 tys. złotych (skąd?). Koszt mieszkania 100 tys. złotych. Dalsze utrzymanie ma być przerzucone bez reszty na właściciela-lokatora.

Aby ten plan zrealizować spółdzielczość musiałaby wydrenować z ludności przeszło 8,5 miliarda złotych. I to jest bodaj zadanie najważniejsze. Gdyby plan został zrealizowany 1/3 ludności w miastach musiałaby pokryć dużą część kosztów budowy a następnie całkowite koszty utrzymania swoich mieszkań, a tylko 2/3 korzystałoby nadal z mieszkań tanich z tym, że ta pierwsza cyfra miałaby tendencje rosnącą a druga malejącą. Taki odwrót od socjalistycznej własności do niemal prywatnej. Ryzyko niewielkie, bo w przyszłości jedną ustawą, narzuconą przez KC partii można będzie tych wszystkich właścicieli mieszkań wydziedziczyć. A dziś na razie zysk duży, bo poważne odciążenie państwa od kosztów budowy a co najważniejsza eksploatacji mieszkań, drenaż i akumulacja środków finansowych.

Czy uda się ten drenaż zrealizować? Naszym zdaniem, nie. Przede wszystkim dlatego, że nasi planiści, jak zawsze, nie podają cyfr realnych. Oto czynsz będzie musiał być o wiele wyższy w związku z powszechnie wzrastającą drożyzną a więc i drożyzną wszelkich materiałów budowlanych. Podobnie, jeśli państwo będzie się upierało, aby konserwację domów przeprowadzały uspołecznione spółdzielnie rzemieślnicze o nadmiernie rozwiniętej administracji i tendencji do „tu-mi-wisizmu", koszty remontów itp. będą również bez porównania wyższe, niż się teoretycznie przewiduje. Ponadto planiści nasi nie biorą pod uwagę, że rodzina naprzód musi się zadłużyć na początkową wpłatę owych 20 tys. czy więcej złotych, a następnie dalej zaciągać długi (choćby ratalne) na urządzenie mieszkania itp. Wszystko to razem spowoduje, jak oblicza jeden z naszych publicystów gospodarczych, że wydatek miesięczny rodziny w nowym mieszkaniu wyniesie przez dobrych kilka lat przeszło 1000 zł. W rezultacie przygniatająca część potencjalnych amatorów na

owe mieszkania będzie musiała z owego luksusu zrezygnować. Wraz z tym zawali się plan zatrudnienia. A bardzo na to zatrudnienie wielu tysięcy ludzi przy budowie nowych domów się liczy. Nadto spółdzielcze budownictwo mieszkaniowe miało pokryć przynajmniej 15% ogólnego ogólnopaństwowego funduszu płac. (Już z tego widać na jakie rozmiary zatrudnienia tutaj liczono). Dodajmy do tego jeszcze jeden ważny moment, którego nasi planiści uwzględnić nie mogą: obsesję nadużyć. Jeśli się więc znajdzie amator na mieszkanie i przyniesie owe potrzebne 20 tys. złotych, zarówno on jak i jego pożyczkodawcy będą musieli gęsto tłumaczyć: skąd pieniążki, skąd?

Obsesja nadużyć.

Ta obsesja nadużyć jest szczególnym rysem charakterystycznym obecnego okresu. Niewątpliwie wykryto ostatnio szereg poważnych afer. Pisze się zresztą w prasie o tych tylko, o których wiadomości jakoś przeniknęły zagranicę i ta zagranica zaczęła o nich mówić. Jeszcze jeden dowód, jak bardzo nam często pomaga to, co wy o nas piszecie. Ale, mój Boże, nadużycia są wszędzie, niemniejsze w świecie kapitalistycznym niż socjalistycznym. Nigdzie jednak nie ma tej manii prześladowczej, tej właśnie obsesji, która pcha ludzi do tego, że częstokroć wolą ponosić większe koszty, wolą budować i produkować o wiele gorzej niżby mogli, i w dodatku o wiele kosztowniej, byle by tylko nie być wplątanym już nie w samo nadużycie, ale w podejrzenie o nadużycie. Bo przecież podejrzewa się obecnie wszystkich i wszystko. Każdy w najlepszej wierze uczyniony krok, każde najmniejsze posunięcie w najlepszym państwowym i narodowym interesie, jeśli choć o włos odbiega od wymyślonych przez planistów założeń, już jest podejrzane, już staje się przyczyną dochodzeń i żerem nader aroganckich komisji i inspekcji.

Ta obsesja idzie od góry. Jakbyśmy widzieli tych ludzi, którzy dziś o losach naszych decydują, jak zeszedłszy się w zaciszu narady partyjnej na „najwyższym szczeblu", skąd żadne wiadomości nie mają prawa przenikać do ogółu — patrzą na siebie ze zdumieniem i z równym zdumieniem zadają sobie nawzajem pytania: „Jak i z czego ci wszyscy robotnicy, urzędnicy itp. żyją?". Przecież muszą zdawać sobie sprawę, że sytuacja przytłaczającej części ludności jest taka, że istotnie tylko zdumienie może ogarniać na myśl, że ludność żyje, coś je, jakoś się ubiera.

Przypomina się fragment z jednej z opowieści Sołżenicyna, kiedy to ludność osady, położonej na eksploatowanych przez państwo torfowiskach i wśród ogromnych lasów, nie może dostać ani torfu ani drzewa na opał, bo wszystko jest tak rozplanowane, że odchodzi dokądś indziej. Cóż pozostaje tej ludności,

zwłaszcza wśród srogiej rosyjskiej zimy? Kraść. I ludność kradnie, jak umie.

Otóż wydaje się nam, że gdy zejdą się ci nasi panowie, w których ręku leży obecnie rozkazodawstwo w dziedzinie planowania, a z których żaden nie umiałby uczciwie wyżyć z zarobków przeciętnego robotnika, że ci panowie zdają sobie sprawę z nad wyraz ciężkiego położenia robotnika i urzędnika, że zdając sobie sprawę, równocześnie nie mogą wyjść z podziwu i zrozumieć jakimi sposobami ten robotnik i urzędnik wiąże koniec z końcem. „A więc kradną, nic innego tylko kradną". I ta opinia idzie od samej góry aż do samego dołu, do najniższych komórek partyjnych i państwowych. Wykryte czy ujawnione afery dotyczą najczęściej ludzi, którzy kraść nie musieli, aby ze swoich zarobków czy dochodów wyżyć. Cóż więc mówić o tych, którzy z normalnych dochodów wyżyć absolutnie nie mogą. I tak powstaje opinia i przeświadczenie pełne cynizmu i szyderstwa z szeregowego pracownika, który z reguły zarabia poniżej możliwości pokrycia elementarnych potrzeb, opinia w której k a ż d y człowiek jest podejrzewany. Nadużycia uważa się za chorobę tak nagminną i poważną, że trzeba ją leczyć gwałtownymi środkami. I zaczyna się leczyć inspekcjami, dochodzeniami, komisjami. Leczy się nie syfilis, który toczy organizm, a tylko krosty, które ten syfilis wyrzuca na zewnątrz. Nie próbuje się zmienić nierealnych planów tak, aby uczynić życie ludzi znośniejszym, tylko nieustannie się planuje jak tu usprawnić kontrolę, aby kradzieże uniemożliwić. Rozbudowa na przykład personelu Państwowej Inspekcji Handlowej (w skrócie PIH) idzie na miarę astronomiczną. Mniemamy, że tutaj plan zatrudnienia został przekroczony z ogromną nadwyżką. Usiłuje się przy tym stosować system najwyższego zakonspirowania, jak w jakiejś tajnej mafii. Bo przecież podejrzewany jest k a ż d y, nawet więc ten inspektor, który posyłany jest na kontrolę. Potworzono tajne czwórki czy piątki. Gdzieś w głębokich czeluściach tej olbrzymiej machiny w tajnym gabinecie zasiada nad mapą strategiczną (na przykład plan rozmieszczenia w mieście sklepów) taki jeden z głównych macherów od kontroli. W pewnym momencie wyznacza na tej mapie punkty „a t a k u" — sklepy, które mają być poddane inspekcji. Wtedy dopiero wzywa odpowiedniego kierownika czwórki czy piątki i w wielkiej tajemnicy wyjawia mu adresy sklepów, które ten ze swoją ekipą ma zinspekcjonować. Nigdy wcześniej, bo a nuż ten kierownik porozumiałby się z kierownikiem sklepu, uprzedził o mającej się odbyć kontroli. Po podaniu adresów nakazuje mu natychmiast udać się z ową czwórką czy piątką na inspekcję, przy czym podwładnym ludziom nie wolno mu mówić, dokąd się pod jego kierunkiem udają. Za ekipą posyła się człowieka, który ma sprawdzić czy cała ta grupa szturmowa udała się wprost na miejsce wskazane, czy ktoś na przykład nie wstępował do budki telefonicznej. Nalot odbywa się znowu bardzo konspiracyjnie. Grupa wchodzi do sklepu pojedynczo, jako zwykli klien-

ci. Każdy nabywa jakiś towar i dopiero po zapłaceniu w kasie i następnie odpowiednim wylegitymowaniu się każe personelowi sklepu jeszcze raz zważyć towar, skalkulować ceny. Biada, jeśli są jakieś drobne choćby różnice. Potem zaczyna się szperanie po całym sklepie: pod ladami, w magazynie i td. „A co to za mięso? A to personel sobie odłożył, bo je zakupuje dla siebie. Proszę o książkę, czy to już jest wpisane jako zakup personelu? Jeszcze nie wpisane?". Nadużycie lub przygotowanie nadużycia. Biada kierownikowi... I nic nie pomagają żadne tłumaczenia, że praca, że klienci, że jeszcze nie było czasu. Nic. Każdy jest podejrzany, każdy kradnie czy usiłuje ukraść! Tak cynicznie zdecydowano na górze. I teraz już Pan się chyba nie dziwi kierownikowi szkoły, czy zakładu przemysłowego, że ten powiada: „Niech się pali, niech się wali, a ja oddam robotę temu, co może spartaczy i drogo weźmie, ale będę poza wszelkimi podejrzeniami". Tak wychowuje społeczeństwo nasza socjalistyczna rzeczywistość.

◆

No na razie dość. Następnym razem o surowcach dla przemysłu na lata 1965-1970 i o gospodarce rolnej, która ma pod koniec 1970 roku kompletnie wyeliminować import zbóż, podczas gdy dzisiaj co trzeci bochenek chleba zjadany w Polsce wypiekany jest właśnie ze zbóż importowanych, czy wprost darowanych nam przez Amerykę. A jednocześnie eksport PRL stoi właściwie na przetworach rolnych i jest gwatownie rozbudowywany.

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

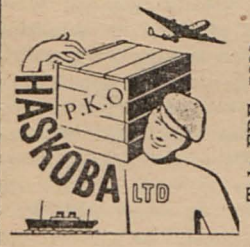

Tel: FRE. 7888

$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Archiwum polityczne

Kronika angielska

CHURCHILL

Tacy ludzie jak Churchill przeczą determinizmowi historycznemu. Lloyd George na miejscu Churchilla byłby skapitulował.

W czerwcu 1940 roku w Rumunii doszło nas przemówienie Churchilla wygłoszone w Izbie Gmin:

> *We shall not flag or fail. We shall go on to the end. We shall fight in France, we shall fight on the seas and oceans, we shall fight growing confidence and growing strength in the air. We shall defend our island, whatever the cost may be. We shall fight on the beaches, we shall fight on the landing-grounds, we shall fight in the fields and in the streets, we shall fight in the hills. We shall never surrender.*

Przyznaję, że czytałem wówczas te słowa ze sceptycyzmem i nieufnością. Nasi przywódcy również mówili, że nie oddadzą ani płaszcza ani guzika. Po wrześniu 1939 r. stałem się alergiczny na oratorską politykę.

Dziś z historycznej perspektywy należy stwierdzić, że talent literacko-krasomówczy Churchilla stanowił jeden z głównych elementów jego przywódczego geniuszu. Jego słowa w najczarniejszym okresie 1940-41 — wydobyły z Brytyjczyków zalety, których sami w normalnych czasach nigdy by sobie nie przypisali. Talent literacki, kunszt żywego słowa byłego reportera i dziennikarza — stały się w chwili śmiertelnego zagrożenia jedną z głównych broni Wielkiej Brytanii.

Churchill był pisarzem i malarzem — miał poczucie formy, barwy i efektu. Lecz tajemnicą jego wielkości jest autentyzm. W momentach przełomu Historia mierzy przywódców swoim łokciem. Ci, którzy nie dorośli do historycznej miary idą na śmietnik. Churchill autentycznie był tym, którym winien był być. Był mężem stanu na miarę światowego kryzysu.

Jest rzeczą zdumiewającą jak w epoce dywizji pancernych i olbrzymich sił lotniczych — na biegu wydarzeń mógł zaważyć jeden człowiek. I jest jeszcze dziwniejsze jak wiele może zawdzięczać naród jednemu człowiekowi, który jako przywódca dorósł do swego zadania.

CYBERNETYKA I POLITYKA

Był czas, że ludzi torturowano za pogląd że mężczyzna ma tyle samo żeber co kobieta. Ewa została stworzona z żebra Adama — stąd wniosek, że Adam (i wszyscy mężczyźni) muszą mieć o jedno żebro mniej niż reprezentantki płci pięknej. To wszystko działo się w epoce medycyny ideologicznej. Cechą zasadniczą tak medycyny ideologicznej jak i gospodarki ideologicznej jest jednokierunkowość. Wydawałoby się, że nic prostszego jak policzyć żebra i ustalić ich cyfrę zarówno u kobiety jak i u mężczyzny. W średniowieczu tego rodzaju ćwiczenia anatomiczne były zabronione, bo chodziło o dogmaty a nie o fakty.

W Rosji Sowieckiej przez długi czas odrzucano teorię względności Einsteina ponieważ powyższa teoria nie pokrywa się z tym co na temat materii i szybkości powiedzieli Engels i Lenin.

Engels i Lenin nie byli fizykami ani matematykami. Gdyby żyli współcześnie nie byliby w możności zgłębić teorii Einsteina ponieważ o plusach czy minusach tej teorii dyskutować mogą tylko specjaliści obznajomieni z wyższą matematyką.

Lecz to wszystko jest bez znaczenia ponieważ partia „uzbrojona w oręż marksizmu i leninizmu" jest nieomylna.

Dogmat nieomylności, w jakimkolwiek wydaniu, zachodniemu człowiekowi wydaje się tak komiczny, że skłonni jesteśmy uważać go za wytwór nadgorliwych propagandzistów. Tak jednak nie było. W minionym okresie ideologicznej fizyki, ideologicznej matematyki, ideologicznej biologii — przywódcy partyjni uważali marksizm za „super-wiedzę", za uniwersalną syntezę, której nieomylności nie wolno poddawać w wątpliwość.

Proszę o chwilę skupienia. W ustroju demokratycznym obserwujemy system podwójnej komunikacji. Rządzący komunikują się z rządzonymi i rządzeni z rządzącymi. Wola rządzonych wpływa na decyzję rządzących. W ustroju totalnym komunikacja jest jednokierunkowa. Istnieją tylko rozkazodawca i rozkazobiorcy.

Obiektywne badanie naukowe cechuje również pewnego rodzaju „demokratyzm". Polega on na systemie podwójnej komunikacji pomiędzy badaczem a przedmiotem badania. Założenie czy hipoteza badacza ulegają przemianom często radykalnym — na skutek świadectwa faktów, które „komunikuje" przedmiot badany.

W nauce ideologicznej pomiędzy badaczem a przedmiotem badania nie ma podwójnej komunikacji, ponieważ badacz nie jest zainteresowany prawdą tylko potwierdzeniem dogmatycznego założenia.

Dlaczego zastanawiamy się nad kompleksem tych zagadnień, które z polityką wydają się mieć związek niezmiernie luźny?

Fizycy, biologowie i matematycy sowieccy odegrali większą rolę w ewolucji doktryny komunistycznej niż wszyscy pisarze, literaci i poeci. W wielu wypadkach wykazali wielką odwagę i siłę charakteru. Przeprowadzili „rewolucję cybernetyczną", która będzie miała — być może — decydujące znaczenie w dalszym rozwoju Związku Sowieckiego.

Szkic niniejszy oparty jest w znacznej mierze (choć nie wyłącznie) na dziele George'a Paloczi-Horvath pt. „The Facts Rebel: The Future of Russia and the West" — (Secker & Warburg, 1964). Jednak za wnioski, które przedstawiam w końcowych ustępach niniejszego artykułu nie ponosi odpowiedzialności żaden z cytowanych autorów, lecz wyłącznie niżej podpisany.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z faktu, że Hiroszima i Nagasaki stanowią punkt zwrotny w rozwoju komunizmu sowieckiego. W roku 1940 Sowiecka Akademia Nauk wyłoniła specjalny komitet do badania problemów uranu. Badania atomowe prowadzone przez komitet były daleko posunięte. Lecz Stalin pod wpływem ideologicznych doradców stracił nagle zainteresowanie dla spraw atomowych. Ideolodzy utrzymywali bowiem, że pewne teorie fizyki atomowej są niezgodne z pewnikami dialektycznego materializmu. Jeżeli coś jest niezgodne z dialektycznym materializmem nie może być prawdziwe. Cofnięto subwencje, a fizyków i matematyków odkomenderowano do innych zajęć.

Doskonała sieć szpiegowska zorganizowana przez Berię zasypywała centralę moskiewską informacjami dotyczącymi postępu prac atomowych na Zachodzie. Klaus Fuchs, Allan Nunn May, Greenglass i dziesiątki innych przekazywali Berii szczegółowe materiały, lecz w Sowietach nikt nie zużytkował tych bezcennych wiadomości. W opinii ideologów partyjnych to wszystko były bezsensowne mrzonki burżuazyjnych pseudo-naukowców.

Nawet w roku 1945 w Poczdamie, gdy Truman powiedział Stalinowi, że być może Japonię zmusi się do kapitulacji bombami atomowymi — dyktator sowiecki pokiwał głową dając do zrozumienia, że jemu nikt nie „sprzeda" tego rodzaju *story*.

Wybuch atomowy w Hiroszimie i Nagasaki wykazał z przerażającą jasnością, że dogmat nieomylności partii doprowadzić może Związek Sowiecki nad brzeg przepaści. Okazało się również, że burżuazyjna fizyka choć niezgodna w pewnych wypadkach z dogmatami dialektycznego materializmu — jest władna w oparciu o swe „heretyckie" teorie produkować bronie, które jednego dnia przekształciły radykalnie światową równowagę sił na niekorzyść Związku Sowieckiego.

Jak powszechnie wiadomo sytuację uratował Beria. NKWD miało nie tylko łagry, fabryki lecz również i własne laboratoria. W owych laboratoriach pracowali uczeni niemieccy, rosyjscy i innych narodowości. Co więcej uczeni ci korzystali z daleko większej swobody niż ich koledzy przebywający na wolności. Beria nie był ani ideologiem ani dogmatykiem i było mu całkowicie obojętne czy Einstein lub Heisenberg są zgodni w swych teoriach z dialektycznym materializmem. Uczeni-więźniowie byli chronieni przez NKWD przed partią i jej naukowymi nadzorcami. Z polecenia Berii otrzymywali wszystkie materiały szpiegowskie z zagranicy oraz pisma, periodyki i literaturę naukową z Zachodu, która była niedostępna dla uczonych sowieckich przebywających na wolności.

Na odcinku nauk ścisłych po Hiroszimie i Nagasaki dokonała się nieodwracalna przemiana. Nawet najwięksi dogmatycy zrozumieli, że od Hiroszimy wykładnikiem potęgi będą w pierwszym rzędzie bronie atomowe. Produkcja broni nuklearnych wymaga zespołu uczonych najwyższej klasy, którzy — jak wykazało doświadczenie — pracować mogą wydatnie tylko w atmosferze całkowitej wolności naukowej.

Fizyka atomowa stanowi dział wiedzy specjalistycznej i dzięki temu izolowany. Zupełnie innym zagadnieniem jest cybernetyka, której wachlarz zainteresowań jest olbrzymi: od „mózgów elektronowych" po bio-

logię — od zagadnień przemysłu po problemy socjologii. Aparatczycy zwietrzyli natychmiast, że cybernetyka może z czasem stać się „super-nauką" i zdetronizować dialektyczny materializm, który jako „nieomylna synteza" zawiódł katastrofalnie.

W cybernetyce istotną rolę odgrywa tzw. *feed-back*. Ludzie, zwierzęta, pewne typy maszyn są kierowane nie tylko informacjami dotyczącymi zamierzonej czynności lecz również informacjami o aktualnej sytuacji. Człowiek, który płynie łodzią do punktu „A" — jest kierowany nie tylko swoim zamiarem dotarcia do celu, lecz również na jego decyzje wpływają każdorazowe uderzenie fali i każdorazowy podmuch wiatru. To co nazywamy prawidłowym funkcjonowaniem lub rozsądnym postępowaniem — (zależnie od tego czy mówimy o maszynie czy o organiźmie) — w znacznej mierze polega na stopniu przystosowania się do rzeczywistości. Skuteczne działanie tak człowieka jak i maszyny — musi być oparte na ustawicznej, dwustronnej komunikacji z rzeczywistością, z otoczeniem. Oczywiście nie ma mowy o dwustronnej komunikacji tam, gdzie ignoruje się rzeczywistość dla celów ideologicznych, jak na przykład w rolnictwie sowieckim.

Organizmy żywe, mózgi elektronowe, kombinaty przemysłowe, a nawet grupy społeczne — cybernetyka traktuje jako „systemy funkcjonalne". Owe „systemy" nie mogłyby ani istnieć ani prawidłowo funkcjonować gdyby nie otrzymywały stale informacji mówiących o ich aktualnej działalności. Drogą porównań i analiz cybernetyka wykrywa wspólne cechy charakterystyczne tych tak różnych systemów, a nawet wspólne im wszystkim zasady ogólne.

W roku 1953, już po śmierci Stalina pisano w Sowietach dosłownie, że „cybernetyka jest jedną z pseudo-nauk wymyślonych przez współczesny imperializm i upadnie nawet przed definitywnym rozkładem imperializmu". („Woprosy Fiłozofii", 1953. Nr 5.).

W trzy lata później w roku 1956 — zostało utworzone w Moskwie Ministerstwo Automatyzacji, a cybernetyka otrzymała pełne prawo obywatelstwa. Wszystkie prace prof. Wienera, twórcy cybernetyki, zostały przełożone na język rosyjski. W obrębie owych trzech lat naukowcy sowieccy dokonali prawdziwej rewolucji.

Dlaczego zwycięstwo cybernetyki jest tak istotne?

Jedna z podstawowych zasad cybernetyki głosi, że każdy system biologiczny czy społeczny by żyć i przetrwać — musi być ustawicznie informowany o realnych skutkach własnej działalności. Owe informacje o realnej sytuacji stanowić muszą główny element decyzji dotyczącej dalszej akcji.

Cybernetyka jest czystym racjonalizmem i stanowi antytezę wszelkiego dogmatyzmu. Podejście cybernetyczne wyłącza operowanie teoriami i wątpliwymi „pewnikami" sprzed stulecia.

Ideałem komunistycznym jest „socjalizm naukowy". W praktyce okazuje się jednak, że bazą naukową socjalizmu nie może być skompromitowany materializm dialektyczny. Ową bazą naukową mogłaby być cybernetyka w najszerszym pojęciu tego terminu. Wówczas jednak socjalizm byłby niewątpliwie naukowy lecz nie byłby komunistyczny.

Wszystko co jest w Sowietach nowoczesne, dwudziestowieczne — wyjęte jest spod dyktatury ideologicznej dogmatyki. Każdy krok na drodze ku modernizacji stanowi równocześnie klęskę ideologii.

W Związku Sowieckim modernizacji opierają się archaiczne sfery działalności ludzkiej, do których należą niewątpliwie rolnictwo i literatura. Ludzie uprawiają ziemię i piszą poematy od tysięcy lat. Można się dopatrzyć historycznej ironii w fakcie, że dziś rolnictwo i humanistyka to są ostatne bastiony rządzone przez ideologów. Ideolodzy utracili nauki ścisłe i technologię i to przesądzi o ich losie.

Ktoś powie w tym miejscu, że ideolodzy de facto niczego nie utracili, gdyż fabryki są nadal znacjonalizowane, robotnicy pozbawieni prawa strajku itd. Politrucy utracili nauki ścisłe i technologię, gdyż wyrównanie choćby w przybliżeniu — poziomu ze Stanami Zjednoczonymi wymagało odstępstwa od dogmatów dialektycznego materializmu i przyjęcia „burżuazyjnych" teorii naukowych.

W Związku Sowieckim nikt dziś nie wątpi, że potęga i dobrobyt zależne są bezpośrednio od nauki. Co roku w szkołach średnich odbywają się konkursy, których celem jest wyłowienie talentów matematycznych. Talent matematyczny objawia się bardzo wcześnie. Rok rocznie około 300 chłopców o wybitnych zdolnościach matematycznych przenosi się do szkół specjalnych. W ten sposób wyodrębnia się z szarej masy elitę technokratyczno-naukową. Tak oto urzeczywistnia się częściowo przepowiednia twórcy cybernetyki prof. Wienera, który w jednej ze swych prac napisał, że w epoce pełnej automatyzacji na zatrudnienie będą liczyć mogli tylko najzdolniejsi.

Obecne pokolenie czołowych uczonych sowieckich w większości należy do kadry pionierskiej. To są ludzie, którzy wyzwolili po długiej walce nauki ścisłe spod dyktatury ideologicznej. Następne pokolenie naukowców i technokratów zdobytą wolność uważać będzie za rzecz naturalną i zwyczajną. W nadchodzącej epoce automatyzacji i cybernetyki — aparatczycy typu Chruszczowa czy Gomułki staną się rażącym anachronizmem. To są specjaliści od „drętwej mowy", którzy nie znając się na niczym mówią o wszystkim. I mówią zwykle po kilka godzin.

Przemiany ewolucyjne o których mówiliśmy powyżej — mają olbrzymie znaczenie. Nie podzielam jednak zdania tych sowietologów, którzy sądzą, że cywilizacja naukowa zredukuje kiedyś różnice pomiędzy Sowietami a Zachodem do nieszkodliwego minimum.

Spójrzmy na Amerykę i Zachód oczyma młodego wykształconego technokraty sowieckiego. Ów młody człowiek doskonale wie, że materializm dialektyczny jest doktryną przebrzmiałą. Gotów jest przyjąć z Zachodu całą technologię i zaakceptować wszystkie teorie bez względu na ich stosunek do dialektycznego materializmu — pod warunkiem, że w praktyce okażą się pożyteczne. Lecz model ustrojowy to jest zupełnie inne zagadnienie.

Dla technokraty sowieckiego model ustrojowy jest maszyną do robienia polityki. Dla menadżera amerykańskiego model ustrojowy jest komfortowym „otoczeniem".

Podstawy filozoficzne ideologii mogą być częściowo anachronistyczne lub błędne — lecz nawet w fasadowej formie ideologia ułatwia formułowanie daleko-falowych celów. I z tej przyczyny skłonny jestem przypuszczać, że komunizm jako ustrój przeżyje upadek dialektycznego materializmu jako filozofii.

Rosjanie wzięli od nas cybernetykę lecz co poza technologią mamy im do zaoferowania? Nie możemy Rosji oferować re-chrystianizacji bo wpierw re-chrystianizację musielibyśmy przeprowadzić u siebie. Odsądzamy materia-

lizm dialektyczny od czci i wiary lecz jaki inny system filozoficzny mamy do zaofiarowania?

Oczywiście mamy do zaoferowania wszystkie błogosławieństwa demokracji. Spójrzmy jednak na zachodnią demokrację oczyma owego młodego technokraty sowieckiego, którego wspomniałem powyżej. Ów obiecujący młodzieniec — być może swój pogląd sformułowałby następująco: demokracja to są rządy większości. W każdym społeczeństwie większość jest konformistyczna, bierna, konserwatywna i stanowi kulę u nogi dynamicznej, postępowej elity. W systemie zachodnim rząd poddany jest społeczeństwu — w systemie sowieckim społeczeństwo poddane jest rządowi.

Przed kilku tygodniami w „Prawdzie" ukazał się wstępny artykuł poświęcony literaturze i sztuce. „Prawda" potępia krytycyzm i pesymizm pewnych utworów literackich i nawołuje by pisarze nie ograniczali się do opisywania negatywnych stron życia sowieckiego lecz produkowali utwory tchnące wiarą w komunizm.

Aparatczycy w stosunku do literatury i humanistyki popełniają ten sam błąd, który w przeszłości popełniali w stosunku do nauk ścisłych. W tej sprawie nie chodzi ani o literaturę rozrachunkową, ani o wiersze Josifa Brodzkiego, ani o „sztukę dla sztuki". Istotą zagadnienia i w tym wypadku jest walka o postawę racjonalną.

Wolność przez wielkie „W" i literatura przez wielkie „L" nie będą stanowiły centralnych problemów w epoce ku której zmierzamy. Automatyzacja (w Ameryce przybywa 10 tysięcy zautomatyzowanych fabryk rocznie) rodzi nowe problemy o olbrzymim zasięgu. Podobnie jak nie jesteśmy przygotowani do obrony przed bombardowaniami atomowymi — tak nie jesteśmy również przygotowani do rozwiązywania zagadnień wywołanych automatyzacją. Na skutek automatyzacji przybywa w Ameryce milion bezrobotnych rocznie. Specjaliści oceniają, że ogólna cyfra bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych w roku 1967 osiągnie 7%.

Prawdopodobnie w najbliższych dwu dekadach ulegną pełnej automatyzacji jedna trzecia przemysłu amerykańskiego, połowa biur administracyjnych i jedna czwarta rolnictwa.

Automatyzacja już w początkowej fazie wywołała konflikt pomiędzy rządem, przemysłem a naukowcami. Przyjęcie cybernetycznego podejścia narzuconego przez naukowców umożliwiło rozwiązywanie kolejnych problemów. Jest oczywiste, że epoka w którą wchodzimy wymaga reform we wszystkich niemal dziedzinach życia. Wymaga również nowej mentalności.

W Ameryce istnieje cały szereg instytucji — choćby wymienić dla przykładu: „Centre for Study of Demokratic Institutions", które przeprowadzają i finansują badania społeczne we wszystkich kierunkach. Owa socjologiczna wiwisekcja — bo tak należy to określić — odbywa się jawnie, ponieważ wyniki badań są publikowane. Żaden sowiecki propagandzista nie napisał tak krytycznych uwag o społeczeństwie amerykańskim jak autorzy, których prace wydał cytowany instytut. Jest rzeczą powszechnie znaną, że propaganda sowiecka czerpie oburącz z tych źródeł, bo w ten sposób można — powiedzmy dla przykładu — przedstawić cywilizację amerykańską jako dekadenckie społeczeństwo „połykaczy barbituratów" i równocześnie powołać się na doktora Rathnera i instytucję, która wydała jego pracę. Takich przykładów można by zacytować dziesiątki.

Jest nie do pomyślenia by tego typu centrum badań społecznych mogło powstać w Związku Sowieckim. Weźmy taki fenomen jak stalinizm. W całym bloku wschodnim nie ukazała się ani jedna obiektywna praca na ten temat.

Literatura, dziennikarstwo, publicystyka — mogą być źródłem informacji. Mogą stanowić dla badacza bezcenne tło umożliwiające ocenę materiału faktycznego we właściwej perspektywie. Lecz ani następcy Chruszczowa ani Gomułka i jego aparat nie chcą być obiektywnie informowani.

Podkreślam jeszcze raz. W tej sprawie nie chodzi o wolność słowa czy zielone światła dla takiego czy innego kierunku literackiego. Państwo totalistyczne może się obejść bez wolności słowa i bez wielkiej literatury. Lecz w epoce w którą wkraczamy nowoczesne państwo nie będzie mogło się obejść bez obiektywnych informacji. Czy jest rzeczą możliwą mieć wszechstronne, obiektywne tzn. a-ideologiczne informacje w kraju w którym nie istnieje wolność słowa? W mojej opinii — nie.

Aparatczykom zorientowanym we współczesnej problematyce (są i tacy) wydaje się, że można mieć a-dogmatyczną naukę, zautomatyzowany przemysł, komputery, cybernetykę i równocześnie społeczeństwo ideologicznie stotalizowane.

Trudno się dziwić aparatczykom. Pragną utrzymać się przy władzy i mogą argumentować, że ustrój komunistyczny per saldo jest wielkim sukcesem. Wykazał również dużą odporność. Ustrój komunistyczny istnieje w Rosji niemal od pół wieku. W okresie owych 50 lat państwa europejskie (z nielicznymi wyjątkami) zmieniały ustroje jak rękawiczki.

Fakt, że materializm dialektyczny w swej ortodoksyjnej formie nie jest do pogodzenia z pewnymi aspektami nowoczesnej fizyki czy z podejściem cybernetycznym — nie przesądza (argumentują aparatczycy) o wartości i przydatności marksizmu jako ideologii społecznej.

Czy istotnie tak jest?

Podstawą ideologii nie może być fałszywa filozofia. Jeżeli ortodoksyjny materializm dialektyczny jest nie do pogodzenia z pewnymi istotnymi aspektami nauk ścisłych, nie powinien być wykładany w szkołach. Młodemu chłopcu wbijają do głowy w komsomole rozmaite „prawdy" i „pewniki", które uzna za prostackie fałsze gdy wyląduje na wydziale fizyki jednego z uniwersytetów. Na dalszą metę nic tak nie podrywa zaufania do autorytetu partii jak fasadowość ideologii.

Przyjdzie chwila, że aparatczycy-werbaliści dawnego stylu skapitulują i... wymrą. W Sowietach rośnie wpływ naukowców podobnie jak w Stanach Zjednoczonych. Chcąc dotrzymać kroku Ameryce Związek Sowiecki będzie musiał w najbliższych dekadach rozbudowywać kadry nie aparatczyków-werbalistów lecz scjentystów. W miarę postępu automatyzacji, w miarę upowszechniania się komputorów i scjentyficznej nowoczesnej aparatury róść będzie autorytet naukowców, którzy powoli narzucą cybernetyczne podejście i mentalność nie tylko partii lecz i oświeconym warstwom społeczeństwa. Nie obędzie się bez konfliktów lecz zwycięstwo scjentystów w dalszej ewolucyjnej perspektywie wydaje się przesądzone.

W 80-ciu a może nawet w 90-ciu wypadkach na sto scjentystom sowieckim nic nie zależy na tym by Jewtuszenko mógł pisać buntownicze wiersze, a Iliczyn mógł malować abstrakcyjne obrazy. Nikt z tych panów nie marzy o wyborach, parlamentach czy prezydentach. Przeciwnie, z punktu widzenia naukowców ustabilizowana i trwała władza wydaje się najkorzystniejsza.

Gigantyczne projekty naukowo-technologiczne jak lot na księżyc, czy zautomatyzowanie wielkich obszarów przemysłowych — wymagają ciągłości kierownictwa politycznego i regularnych wpływów ze skarbu państwa przez dziesiątki lat. W kraju w którym konserwatyści odwołują projekty uchwalone przez socjalistów i na odwrót — nowoczesna technologia nie ma warunków rozwoju.

Scjentyści nie będą domagali się wolności słowa dla literatów, ani nie będą kruszyć kopii w obronie humanistów. Będą natomiast walczyli o niezależność nauki i prawo do wszechstronnej, rzeczowej informacji. Scjentyści wykorzystają z czasem swój autorytet by narzucić racjonalistyczne podejście do zagadnień i to zarówno w sferze technologii jak i w sferze społecznej.

Automatyzacja nie jest cywilizacją „robotów". To jest całkowicie mylny, choć szeroko rozpowszechniony, pogląd. W rzeczywistości, automatyzacja jest systemem stanowiącym antytezę cywilizacji „robotów". Do kierowania maszynami i „robotami" wystarczali inżynierowie i mechanicy, którzy nigdy nie odnawiali swych dyplomów. Wiedza zdobyta na politechnikach wystarczała im na całe życie. W epoce automatyzacji na kluczowych stanowiskach inżynierów dawnego stylu zastąpią scjentyści, którzy reprezentują, nie tylko wiedzę nabytą lecz i twórczą, badawczą.

Pełna automatyzacja wymagać będzie olbrzymiego postępu tak w płaszczyźnie powszechnego kształcenia jak i studiów uniwersyteckich. Zarówno w Ameryce jak i w Sowietach zapotrzebowanie na scjentystów rośnie z każdym miesiącem i oba państwa inwestują olbrzymie sumy w kształcenie nowych kadr naukowców.

Postęp automatyzacji otworzy na oścież drzwi przed najzdolniejszymi. Krąg elity ulegnie poszerzeniu.

Postawa cybernetyczna nie prowadzi prostą drogą do demokracji. Nie jest natomiast do pogodzenia z ortodoksyjnym marksizmem. Zachód mógłby wpłynąć wydatnie na ewolucję sowieckiej myśli filozoficznej gdyby sam posiadał jakąś filozofię. Na ogół obywamy się zarówno bez religii jak i bez filozofii, — lecz są narody, zwłaszcza wielkie narody Wschodu, które przywiązują wagę do religijnej, względnie filozoficznej nadbudowy. To są problemy o wielkim praktycznym znaczeniu. Tylko w ramach ogólnej teorii można sformułować nadrzędny cel. Polityka nie produkuje celów — odwrotnie cele produkują politykę. Tam gdzie nie ma celu — nie ma i polityki. Nasza polityka jest nie tylko defensywna lecz czysto negatywna. Naszym *jedynym celem* jest by nasi przeciwnicy *nie osiągnęli swojego celu.*

Stany Zjednoczone, które są kolebką nowej epoki, ojczyzną fizyki atomowej, automatyzacji i cybernetyki — muszą mieć nie tylko strategię globalną lecz i ideę systemu globalnego.

Jedno bowiem należy uznać za pewne. Upadek ortodoksyjnego, dialektycznego materializmu nie przyniesie z sobą bankructwa lecz przeciwnie — może komunizm w przyszłości uczynić niepomiernie bardziej atrakcyjnym.

Niniejszy artykuł służy do zilustrowania tylko jednej tezy. Większość sowietologów reprezentuje pogląd że komunizm upadnie, uwikłany we własnych sprzecznościach, lub przekształci się w taki lub inny system socjaldemokratyczny. Tak w pierwszym jak i w drugim wypadku Rosja przestanie być problemem i groźbą dla całego świata. Możliwe jest jednak i inne rozwiązanie. Komunizm biorąc z Zachodu wszystko co najlepsze będzie ewoluował, przekształcał się i unowocześniał, nie tracąc nic ze swojej politycznej dynamiki.

Łatwo było walczyć z neo-stalinizmem, łatwo było wykpiwać homeryckie boje Chruszczowa z abstrakcjonistami. Lecz za lat 20 czy 30 zmodernizowany, zracjonalizowany komunizm — kierowany przez młode pokolenie scjentystów i technokratów — może stanowić stokroć groźniejszą alternatywę i propozycję niż dziś.

W najbliższych dekadach Rosjanie mogą przeredagować filozoficzne podstawy marksizmu, zliberalizować a nawet w pewnej mierze zdemokratyzować ustrój — lecz nie zrezygnują łatwo ze swej odrębności w stosunku do Zachodu ani ze swej globalnej koncepcji.

Globalnej koncepcji przeciwstawić można tylko globalną koncepcję. Lecz wpierw trzeba ją mieć.

POLEMIKI

Ewolucjonizm reprezentowany przez „Kulturę" zwalczają obie polskie ortodoksje polityczne: krajowa i emigracyjna. Moją książkę napiętnowali zarówno oficjalni publicyści krajowi jak i oficjalni publicyści emigracyjni.

Ów dziwny sojusz pomiędzy dogmatykami komunistycznymi a dogmatykami emigracyjnymi umacnia mnie w przekonaniu, że w naszej koncepcji musi być źdźbło słuszności — inaczej konserwatyści komunistyczni i konserwatyści emigracyjni nie wykazaliby tak budującej solidarności.

Aleksander Bregman jest znanym pisarzem politycznym, zasłużonym w przeszłości dla sprawy polskiej na emigracji. Po wystąpieniach różnych panów na ostatnim Zjeździe Związku Dziennikarzy należy to stwierdzić z całym naciskiem.

Jako naczelny publicysta oficjalnego „Dziennika Polskiego" Bregman reprezentuje linię konserwatywnej „góry" emigracyjnej.

Bywają wypadki, że i konserwatyści miewają rację lecz tylko wówczas gdy są w zgodzie z logiką i z faktami.

Na łamach „Dziennika Polskiego" Bregman ogłosił artykuł o mojej książce. Omówienie jest zgodne z konserwatywną linią lecz jest na noże z logiką i z faktami.

Owe błędy logiczne są tak oczywiste, że jest czymś żenującym obnażać je publicznie. Bregman jednak może się pocieszyć faktem, że oficjalni publicyści nie muszą mieć racji — muszą natomiast być w zgodzie z polityką mocodawców.

Ustrój komunistyczny istnieje w Rosji niemal od 50 lat. W porównaniu z ustrojami innych państw europejskich komunizm w Rosji wykazał zdumiewającą trwałość. Bregman przyznaje, że bez wojny komunizmu w Rosji nie dałoby się obalić. Równocześnie jednak wysuwa pogląd, że komunizm można zlikwidować w Polsce. W jaki sposób? Na to pytanie Bregman nie daje odpowiedzi.

O ile stopniowa ewolucja i liberalizacja jest programem skromnym lecz realnym — o tyle każda próba obalenia komunizmu siłą skończyłaby się prawdopodobnie interwencją sowiecką. Bregmanowi nic jednak nie zależy na logice — pragnie natomiast wykazać, że jest *plus royaliste que le roi.* Reytanowskim gestem rozdziera szaty i obwieszcza: „My, emigracja

polityczna, możemy sobie stawiać za cel jedynie likwidację komunizmu a nie jego ewolucję".

Likwidacja komunizmu... w Związku Sowieckim, w Polsce, w Czechosłowacji, w Rumunii, w Niemczech Wschodnich, na Węgrzech i w Chinach. Kto ma tego dokonać? Rada Trzech wspomagana przez Bregmana?

W Stanach Zjednoczonych o likwidacji komunizmu mówią tylko reprezentanci tzw. *lunatic fringe*, nieliczna grupka fanatyków i obłąkańców. Ów wyszydzony slogan *lunatic fringe* o likwidacji komunizmu — Bregman akceptuje jako polityczny program polskiej emigracji. Gratulujemy!

„Lunatycy" amerykańscy na swoją obronę mogą powiedzieć, że są obywatelami najpotężniejszego mocarstwa świata, które za cenę setek milionów ofiar — być może byłoby władne zlikwidować komunizm. Lecz emigracyjny *lunatic fringe* nie ma niczego na swoją obronę.

Jak się raz weźmie rozbrat ze zdrowym rozsądkiem — zatraca się nie tylko zmysł humoru lecz i poczucie własnego komizmu. Jako wzór ustrojowy dla Polski Bregman proponuje m.in. Grecję. Gdy Stanisław Mackiewicz wrócił do kraju myślałem, że opuścił nas ostatni monarchista. Widzę, że się pomyliłem.

W mojej książce stwierdziłem, że w Polsce nie ma powrotu do kapitalizmu. Bregman cytuje to zdanie w formie pytajnej: „Czy w Polsce nie ma powrotu do kapitalizmu?" I odpowiada: „Nie wiem".

W jaki sposób moglibyśmy wrócić do kapitalizmu? Trzeba by tytuły własności zakładów przemysłowych, fabryk, majątków ziemskich i tp. przenieść na prywatnych kapitalistów. Chętnych neo-kapitalistów na emigracji by nie brakło — lecz w przeciwieństwie do Bregmana przyjmuję za pewnik, że żaden rząd polski nie odważyłby się na podjęcie takiej operacji. I żaden polski sejm nie uchwaliłby odnośnej ustawy. Lecz Bregman „nie wie" i uważa, że bezpieczniej nie odcinać się definitywnie od kapitalizmu.

Wróćmy jednak do kwestii podstawowej: Ewolucjonizm czy likwidacjonizm?

Brytyjska definicja głosi, że na politykę składają się dwa elementy: siła i wpływ *(power and influence)*. Emigracja nie dysponuje siłą, wobec czego swój program dostosować musi do możliwości oddziaływania. Ewolucjonizm jest tego typu programem.

Recenzent mojej książki twierdzi jednak: „Ale, znowu, emigracja mieć na tę ewolucję wpływu nie może". (Interpunkcja i składnia Bregmana).

Jeżeli nie *power* i jeżeli nie *influence* — *to co?*

Jeżeli nie dysponujemy siłą i jak twierdzi Bregman, nie możemy wywierać wpływu — to w gruncie rzeczy nie możemy uprawiać żadnej polityki.

Twierdzenie, że Zachód nie wpływa na ewolucję doktryny komunistycznej jest dowodem ignorancji. Tylko *lunatic fringe* w jakimkolwiek wydaniu nie wywiera wpływu nigdzie i na nikogo.

W mojej książce i w wielu artykułach publikowanych na łamach „Kultury" — starałem się naszkicować perspektywy ewolucjonizmu. Proponuję by Bregman napisał małą książeczkę pt. „Likwidacjonizm". Jeżeli celem emigracji politycznej nie jest ewolucja lecz likwidacja komunizmu — mamy prawo domagać się od publicysty obozu likwidatorów by nam wyjaśnił jak należy to zrobić. Czekamy.

◆

„Ewolucjonizm" wywołał znaczną reakcję w prasie krajowej. Nie licząc broszury Janusza Kolczyńskiego (nakład 10 tysięcy), poświęconej napaściom na „Kulturę" i RWE, mojej książce poświęcony jest agencyjny artykuł Henryka Kujawskiego, który ukazał się w wielu pismach. Oprócz tego zaszczycili mnie dłuższymi omówieniami Wł. Machejek w krakowskim „Życiu Literackim", anonimowy autor na łamach warszawskiej „Kultury" oraz J. Rakowski w „Sztandarze Młodych".

O ile Bregman politykę w stosunku do Rosji zarysowaną w „Ewolucjoniźmie" pominął milczeniem — o tyle krytycy partyjni niemal całą uwagę skupili na tej sprawie.

Głosy prasy krajowej potwierdzają tezę, którą wysunąłem w jednym z poprzednich artykułów, że emigracyjni „likwidatorzy" de facto popierają Gomułkę. Gomułka i cały jego aparat prasowo-propagandowy starają się utrwalić w społeczeństwie przekonanie, że reformy nie są potrzebne a ci, którzy głoszą konieczność ulepszenia socjalizmu identyfikują się z agenturami obcych interesów.

Punkt drugi dotyczy Rosji. Obóz likwidatorów stojąc na stanowisku legalizmu granic z 1939 r. na wschodzie — znajduje się teoretycznie w stanie „wojny" ze Związkiem Sowieckim. Ułatwia to Gomułce głoszenie tezy, że jego grupa posiada wyłączny monopol w stosunku do polityki polsko-rosyjskiej. „Rewizjoniści" są rozproszeni, Natolin skompromitowany wystąpieniami pro-chińskimi, a emigracja polityczna jest w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim. W takim układzie, jedyny zbawca-realista to Gomułka.

Niezłomność sama w sobie nie jest ani cnotą ani zaletą. W połączeniu z brakiem rozeznania politycznego staje się katastrofalną wadą.

LONDYŃCZYK

O religii bez namaszczenia

Bomby, prezerwatywy, żonaci księża

Jak daleko powinien się Kościół posunąć w potępieniu broni nuklearnych? Czy może dostosować do nowoczesnych warunków swe tradycyjne wskazania w sprawie regulacji urodzeń? I zmienić obecne przepisy o celibacie kapłanów? — W niewielkiej książeczce*, pięknie łącząc znajomość przedmiotu ze zwięzłością i werwę z roztropnością, te trzy „palące pytania" stawia Henri Fesquet, znany czytelnikom „Le Monde" z kronik religijno-kościelnych, które od 1950 r. prowadzi na łamach tego dziennika, oraz autor dwu książek o nader wdzięcznych tytułach: „Katolicyzm, religia przyszłości?" („Le Catholicisme, religion de demain?", wyd. Grasset) i „Kwiatki Jana XXIII" („Les Fioretti du bon Pape Jean", wyd. Fayard). Ta druga zwłaszcza, zbiór *obiter dicta* i anegdot o Janie XXIII, cieszy się wielką poczytnością.

Z trzech postawionych pytań, których porządek nie jest przypadkowy, najważniejsze jest pierwsze. Nad drugim i trzecim niewierzący mogą wzruszyć ramionami. To są wewnętrzne sprawy katolików. Nie-katolik może powiedzieć: Samiście się spętali, sami się martwcie, jak się z tego wyplątać. Ale pierwsze pytanie dotyczy wszystkich. Nad wszystkimi wisi miecz atomowy. W każdej chwili spaść może na chrzczone i niechrzczone głowy. Na setki milionów głów. Fesquet przypomina dość chyba kompetentną opinię MacNamary, że już w początkowej fazie wojny nuklearnej, zanim byłby czas się zastanowić nad podjęciem rokowań o zawieszenie broni, zginęłoby trzysta milionów Europejczyków i po sto milionów Amerykanów i mieszkańców Związku Sowieckiego. Komu to nie wystarcza, niech doda niezliczone ofiary degeneracji w dalszych pokoleniach.

Wobec grozy i okrucieństwa katastrofy nuklearnej, nawet ostatnia wojna światowa zmalałaby do rozmiarów potyczki. To już nie jest zmiana stopnia, lecz samej natury wojny. Czy nie pora

* Henri Fesquet: *Trois questions brulantes à Rome*, wyd. Bernard Grasset, Paryż 1964, str. 137 i 4 nl.

więc wsadzić do lamusa czcigodną, odwieczną doktrynę katolicką o „sprawiedliwej wojnie obronnej"? Czy może być *sprawiedliwa* jakakolwiek wojna, która *systematycznie* zniszczy setki milionów całkowicie *niewinnych* istot ludzkich? „Kupa popiołu nie jest wolnością" — tym, co domagają się użycia broni nuklearnych w obronie wolności, odparł nie żaden podejrzany pacyfista, lecz milioner teksaski, który zasiada obecnie w Białym Domie.

Co powiedzą o nas, o naszych przywódcach politycznych i duchowych, o naszych kościołach — nieszczęsne niedobitki wojny nuklearnej, jeśli do niej dojdzie? Czy zrobiliśmy wszystko, aby jej zapobiec? Fesquet przytacza 112 paragraf encykliki „Pacem in Terris", jako stosunkowo najbardziej kategoryczne dotąd potępienie zbrojeń nuklearnych i nawoływanie do „równoległego", „równoczesnego", „uzgodnionego" i „skutecznie kontrolowanego" rozbrojenia. Pięknie, jeśli świat posłucha papieża i przedstawicieli innych wyznań, którzy wydali wiele podobnych oświadczeń — i do wojny nie dojdzie. Lecz gdyby miało do niej dojść, czy potomność uzna te „platoniczne", nie dostatecznie szczegółowe ostrzeżenia za wystarczające?

Kościół, zdaniem francuskiego publicysty katolickiego, nie miał dotąd odwagi potępić wszelkiej wojny nuklearnej, a więc także obronnej, stwierdzić, że nie tylko użycie, ale i wyrób, i gromadzenie broni nuklearnych jest niemoralne, zakazać wiernym uczestniczenia w przygotowaniach do takiej wojny, napiętnować głowy chrześcijańskich mocarstw atomowych (Trumana, Kennedy'ego, Johnsona, De Gaulla wymienia Fesquet pół żartem, pomija Eisenhowera i — rycersko — królową Elżbietę!) jako „jawnogrzeszników". Zapewne, swada go tu trochę ponosi, niemniej jednak racje etyczne za jednostronnym rozbrojeniem Zachodu trudno z punktu widzenia chrześcijańskiego odeprzeć. Jeśli Kościół pierwszych wieków mógł siłą duchową zwyciężyć prześladujące go imperium pogańskie, dlaczego z łaską Bożą nie miałby odnieść podobnego tryumfu nad światowym imperium komunistycznym, gdyby skutkiem jednostronnego rozbrojenia komunizm zapanował politycznie nad całym światem?

Mimo wszystko w tym miejscu rozchodzę się z autorem. Nie dlatego, abym uważał, że wymordowanie i skazanie na straszliwe cierpienia setek milionów ludzi jest „mniejszym złem" od skazania ich na życie — a wielu na męczeństwo — w świecie komunistycznym, lecz dlatego, że nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się spieszyć z samobójczą decyzją jednostronnego rozbrojenia, skoro istnieją zupełnie realne możliwości takiego rozbrojenia, do jakiego nawoływał Jan XXIII. Zgadzam się jednak, że obowiązkiem chrześcijan jest dążyć do niego o wiele energiczniej, wymusić na przywódcach obu bloków zerwanie z komedią genewskich rokowań, powiedzieć im z całą stanowczością: dosyć gierek dyplomatycznych, kluczenia, matactwa, bo...

Bo co? Tu jest właśnie pole dla heroicznego pacyfizmu chrześcijańskiego. Powiedzmy sobie najpierw uczciwie (po szczegóły

odsyłam do „Czy świat ma przyszłość?" Bertranda Russella), że nie tylko Sowiety są odpowiedzialne za załamanie się dotychczasowych planów powszechnego rozbrojenia. Zachód też nie jest wolny od pokusy przeciągania sprawy do — hipotetycznego — czasu uzyskania jakimś technicznym cudem miażdżącej przewagi nuklearnej, która by pozwoliła dyktować warunki. Gdyby bezstronny autorytet moralny, jak papież, orzekł w takim wypadku, że to nasza, zachodnia strona zaczyna kluczyć, chrześcijanie powinni wywrzeć wtedy na swe rządy nacisk, nie cofając się nawet przed odmową posłuszeństwa obywatelskiego w stylu Gandhiego

Wiadomo jednak, że przede wszystkim, najperfidniej wykręcają się od rozbrojenia (kontrolowanego) Sowiety. A rząd sowiecki — powie wielu — nie podlega naciskowi swych obywateli, nawet gdyby chcieli oni taki nacisk wywrzeć. Nie wiem, czy odpowiada to całkowicie rzeczywistości. Ludność Sowietów, podobnie jak my nie chce wojny i boi się jej, choć jest znacznie gorzej poinformowana o jej grozie. Amerykańskie audycje radiowe w języku rosyjskim powinny tej sprawie poświęcić o wiele więcej miejsca niż udowadnianiu wyższości ustroju kapitalistycznego nad komunistycznym. Jest to tylko jedna z wielu możliwości oddziaływania na opinię sowiecką. Odpowiednio oświecona i nastawiona, nie byłaby bezsilna wobec swych władców. Nikt wprawdzie na większą skalę nie próbował „biernego oporu" wobec państwa totalnego (na małą skalę udało się to Duńczykom, w stosunku do hitlerowskiego okupanta, jak to opisuje m.in. Hannah Arendt) — nigdzie jednak nie jest powiedziane, że to jest niemożliwe.

◆

Fesquet, i nie on pierwszy, boleje nad gorszącym kontrastem pomiędzy szczegółową, pedantyczną katolicką etyką seksualną a ogólnikowością „teologii wojny". Spraw seksualnych dotyczy drugi i trzeci szkic książki. Autor omawia je z punktu widzenia „katolika rygorystycznie posłusznego Kościołowi", co jednak nie zwalnia go od samodzielnego myślenia o regulacji urodzeń i celibacie kapłanów. Trafnie i mądrze rozróżnia pomiędzy „wyrokowaniem" na te tematy a swobodnym ich dyskutowaniem.

Wychodząc z powszechnie już uznanej zasady, że małżeństwo chrześcijańskie winno mieć nie maksymalną, lecz optymalną ilość dzieci Fesquet w kilku mocnych słowach przedstawia tragedię wielu nadmiernie obciążonych potomstwem małżeństw, skazanych na zawodną metodę rytmu lub — jak powiada — „barbarzyńską radę" całkowitej abstynencji. Referuje i obszernie przytacza w przypisach poglądy katolickich „rewizjonistów", szczególnie szeroko omawiając głośne wystąpienia byłego arcybiskupa Bombaju Robertsa, który otwarcie stwierdził, że rozumowe argumenty za zakazem używania mechanicznych i chemicznych środków kontracepcyjnych nie przemawiają mu do przekonania. Wspomina o poglądzie, że katolickie zasady nieprzeszkadzania naturze powinno się odnosić raczej do całości pożycia małżeńskiego niż do każdego poszczególnego aktu obcowania płciowego. Mówi o różnicy zdań wśród teologów w moralnej ocenie pigułki regulującej cykl owulacyjny i — zbyt krótko, jak sądzę — zatrzymuje się nad tym, co moim zdaniem jest największą nadzieją pomyślnego rozwikłania bolesnego problemu, a mianowicie nad możliwościami nauki, która już niedługo powinna dojść do praktycznie niezawodnego przepowiadania okresu „niebezpiecznego" tj. tego, gdy kobieta może zajść w ciążę. Okres ten w cyklu miesięcznym jest bardzo krótki i już prymitywny na razie środek mierzenia temperatury wydatnie zwiększył „bezpieczeństwo" metody okresowej abstynencji. Gdyby na dalsze badania w tym obiecującym kierunku poświęcić setną część inteligencji i środków wkładanych w doskonalenie śmiercionośnych broni — zagadnienie, jakże ważne również w obliczu „eksplozji populacyjnej", dawno byłoby rozwiązane!

Sobór watykański zajął się na razie sprawą dopuszczenia żonatych do diakonatu, co skłania śmielszych nowatorów do zastanowienia się nad rewizją zasady celibatu kapłanów. Wprawdzie episkopat francuski odżegnał się od możliwości zmian w tej dziedzinie, niemniej jednak mnożą się głosy biorące taką możliwość pod uwagę. Byłaby ona pożądana z wielu względów: brak kapłanów, liczne, gorszące wypadki łamania celibatu lub psychicznego załamania się księży, których powołania nie były dość autentyczne, którzy przedwcześnie dokonali wyboru stanu, którzy przeliczyli się z własnymi siłami. Jest o tyle realna, że celibat nie jest dogmatem, ani nie opiera się na objawieniu i nie obowiązywał w pierwszych wiekach chrześcijaństwa („Ma tedy biskup być nienaganny, mąż jednej żony... w domu swym rządny, mający dzieci karne i czyste" — pisał św. Paweł do Tymoteusza). Wschodnie kościoły unickie, jak greko-katolicy, wyświęcają żonatych na księży.

Fesquet jest za przyjęciem tej zasady dwu rodzajów kapłaństwa przez cały Kościół katolicki. Z naciskiem przy tym, wymownie i przekonywująco, broni celibatu dla tych kapłanów, którzy po dostatecznej rozwadze wybiorą wyższą kategorię kapłaństwa, związaną ślubem absolutnej czystości. Wyrzeczenie się radości życia rodzinnego dla większej radości całkowitego oddania się Bogu zawsze pozostanie wysokim ideałem ewangelicznym, niezrozumiałym tylko „dla ludzi pozbawionych wyobraźni".

◆

Czy wszystkie trzy „palące kwestie" Fesqueta należy zaliczyć do najbardziej palących? Nie sądzę. Są one może najbardziej dziennikarsko aktualne, zajmujące, ale nie najbardziej istotne, poza pierwszą. Drugie i trzecie pytanie zastąpiłbym innymi:

Ilu jest chrześcijan na świecie?

Co to znaczy, że katolicyzm jest „jedyną prawdziwą religią"?

W pierwszym pytaniu nie chodzi mi o cyfry statystyczne. Kardynał Bea, cytowany przez Fesqueta, rzucił liczbę: miliard (chrześcijan wszystkich wyznań). Lecz wśród tylu ochrzczonych ilu jest prawdziwych chrześcijan? To znaczy ilu — w stałej, szczerej, zrozumianej intencji, choć niekoniecznie w ułomnym działaniu — jest a) całkowicie, bez zastrzeżeń zadowolonych ze swego osobistego losu, jaki im przypadł z woli Bożej? i b) nastawionych na chwałę Bożą jako jedyny, wyłączny cel wszystkiego, co robią i zamierzają?

Być takim chrześcijaninem — to doskonałość, świętość. Ale chcieć być takim, to najskromniejsze minimum.

Drugie pytanie wiąże się o tyle z pierwszym, że wśród wyznawców innych wielkich religij jest prawdopodobnie nie mniej ludzi uznających to minimum niż wśród chrześcijan. Palącą sprawą — zwłaszcza w epoce osłabienia hegemonii rasy białej — jest zaliczenie ich do Kościoła „niewidzialnego" i wyraźne stwierdzenie, że doktryna o jedynej prawdziwej wierze nie oznacza, że inne są fałszywe.

Pierwszą kwestię Fesqueta, dotyczącą pacyfizmu i „non-violence" (nie mamy polskiego odpowiednika, bo sama myśl jest nam dziwnie obca i egzotyczna) należałoby rozszerzyć i objąć nią nie tylko sprawę rozbrojenia nuklearnego. Dożyliśmy czasów, gdy „non-violence" coraz oczywiściej staje się już nie najlepszą, ale jedyną skuteczną bronią w walce o sprawiedliwość społeczną, ekonomiczną, rasową.

„Upowszechnić non-violence i w niej, przez nią i dla niej przeszkształcić świat, oto zadanie chrześcijanina" — pisze ks. Hervé Chaigne w szkicu o Gandhim, w „Esprit" z lipca 1960 r. — „Mówić: to niemożliwe — znaczy wyrzec się chrześcijaństwa; mówić: trudne, to nie rozstawać się z realizmem; powiedzieć: możliwe — oznacza wiarę w łaskę i życie w nadziei".

Michał CHMIELOWIEC

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Najnowsza historia Polski

Pamiętniki amb. Majskiego

W znanym miesięczniku sowieckim NOWYJ MIR, w nrze 12 z grudnia 1964, który wyszedł niedawno, ukazał się fragment wspomnień, I.M. Majskiego, b. posła sowieckiego w Londynie z okresu drugiej połowy 1941 r. Cytujemy z niego dwa ustępy, dotyczące spraw polskich:

W połowie lipca otrzymałem z Moskwy instrukcję, by najszybciej zawrzeć układy o wzajemnej wojskowej pomocy, na wzór układu sowiecko-angielskiego, z emigracyjnymi rządami Czechosłowacji i Polski, które rezydowały wówczas w Londynie. Natychmiast się do tego zabrałem.

Zawarcie układu z Czechosłowacją poszło szybko i łatwo, gdyż ludzie stojący na czele rządu czechosłowackiego rozumieli jego konieczność i chętnie szli nam na rękę. W rezultacie już 18 lipca sowiecko-czechosłowacki układ wojennej pomocy został podpisany w londyńskim poselstwie sowieckim.

Przeciwnie zaś, zawarcie układu z Polską przychodziło z wielkimi trudnościami i komplikacjami gdyż członkowie rządu polskiego odnosili się do ZSSR wrogo i traktowali układ jako gorzką pigułkę, której niestety nie można było uniknąć. Z tego powodu moje rokowania z przedstawicielami rządu polskiego niejednokrotnie wisiały na włosku. Koniec końców udało się jednak doprowadzić je do pomyślnego zakończenia i 30 lipca polsko-sowiecki układ został podpisany w gabinecie Edena.

Treść obu paktów mało różniła się od treści anglo-sowieckiego układu z 12 lipca. Jednakowoż pakty z Czechosłowacją i Polską w niektórych punktach różniły się z powodów wynikających logicznie ze specyficznego położenia obu krajów i ich obywateli. Najważniejszą różnicą była zgoda na formowanie na terytorium ZSSR czeskich i polskich Sił Zbrojnych, złożonych z obywateli obu tych państw, którzy z różnych powodów w tym momencie znaleźli się w obrębie granic ZSSR. Ta zgoda w dalszej przyszłości była praktycznie zrealizowana.

. . . . . .

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

(W grudniu 1941 r. Eden udał się w towarzystwie Majskiego do Moskwy celem rokowań ze Stalinem).

Pertraktacje rozpoczęły się 16 grudnia, na drugi dzień po przybyciu Edena do Moskwy. Toczyły się one na Kremlu. W ten sposób wątpliwości Churchilla co do miejsca rokowań zostały zdementowane przez fakty. ZSSR reprezentowali Stalin i Mołotow, uczestniczyłem również i ja; pełniłem obowiązki tłumacza. Anglię reprezentowali Eden i Cadogan. Brał udział także Cripps, który prowadził protokół pertraktacji. Czasami zjawiał się generał Ney.

Przed rozpoczęciem posiedzenia Stalin wyjął z kieszeni projekt naszej propozycji i zapytał się mnie:

— Jak myślicie czy Anglicy to przyjmą?

Szybko przeczytałem kilka arkusików napisanych na maszynie. Były to projekty dwóch umów. Pierwszy miał charakter umowy o wzajemnej pomocy między obydwoma państwami zarówno w czasie wojny jak i po jej zakończeniu. Miał on zastąpić pakt o wzajemnej pomocy z 12 lipca 1941 roku który był zawarty tylko na okres wojny. Drugi projekt dotyczył powojennego porządku na świecie. Zasadniczo przewidywał on odbudowanie Jugosławii, Austrii, Czechosłowacji i Grecji w ich przedwojennych granicach, a także oddanie Polsce Wschodnich Prus i wydzielenie jednego okręgu z terytorium Prus. Układ określał dalej granice z 1941 roku dla ZSSR (to jest z włączeniem do ZSSR Estonii, Łotwy, Litwy, Zachodniej Ukrainy i Białorusi) oraz prawa Anglii do posiadania niezbędnych dla jej bezpieczeństwa baz we Francji, Belgii, Holandii, Danii i Norwegii.

Zapoznawszy się z tekstem odpowiedziałem Stalinowi:

— Przypuszczam, że te projekty mogą być podstawą rokowań z Anglikami. Niewątpliwie z ich strony będą zastrzeżenia i poprawki do niektórych punktów, ale dojście do porozumienia nie będzie przedstawiało specjalnych trudności.

Mój prognostyk potwierdził się już na pierwszym posiedzeniu obu stron. Wysłuchawszy naszych propozycji Eden powiedział, że w zasadzie wydają mu się one do przyjęcia, ale że rezerwuje sobie prawo wniesienia do nich zmian i poprawek.

. . . . . .

W duchu konstatowałem z zadowoleniem, że poważnych różnic jak gdyby nie było i że jest możliwe podpisanie albo, w najgorszym razie, parafowanie obydwóch umów. Jednakże gdzieś w głębi świadomości krył się robaczek zwątpienia: czyżby tak wszystko miało pójść gładko?

Moje wątpliwości sprawdziły się bardzo szybko. Po niewielkiej przerwie Stalin wyjął nagle z kieszeni mały arkusik papieru i zwracając się do Edena powiedział:

— Przypuszczam, że Pan nie będzie miał zastrzeżeń jeżeli do naszego porozumienia o powojennym porządku świata dołączymy ze swej strony ten niewielki protokół.

Było to dla mnie całkowitą niespodzianką. Projektu protokółu Stalin przed posiedzeniem nam nie pokazał i nawet nie uprzedził mnie o jego istnieniu. Szybko przeczytałem położony na stół dokument. Był on krótki i przewidywał natychmiastowe uznanie przez Anglię sowieckich granic z 1941 roku.

Treść protokółu nie wzbudzała we mnie żadnych zastrzeżeń. Jednakże taktycznie przedstawienie go w tym momencie wydało mi się poważnym błędem. Było mi dobrze wiadome, że Anglicy w zasadzie nie chcą podejmować jakichkolwiek decyzji przed zakończeniem wojny. Tym bardziej, że

Roosevelt miał ich kategoryczne zapewnienie, że nic nie zrobią w tym kierunku bez uprzedniego uzgodnienia z USA. Amerykanie w tym okresie nie uznawali sowieckich granic z 1941 roku, a specjalnie nie uznawali *powrotu* krajów bałtyckich do ZSSR. W tych warunkach cały manewr z protokółem był całkowicie beznadziejny.

. . . . . .

Gdy tylko Eden zapoznał się z tekstem protokółu od razu oświadczył, że rząd brytyjski nie może go w tej chwili podpisać i szczegółowo to uzasadniał, kładąc specjalny nacisk na stanowisko USA w sprawie granic. Stalin zaczął dyskutować i próbował przekonać angielskiego ministra spraw zagranicznych, ale bez rezultatu. Obie strony opuściły drugie posiedzenie w złym humorze. 18 grudnia miało miejsce kolejne posiedzenie, na którym kontynuowano dyskusję o układach i o protokóle. Anglicy dawali do zrozumienia, że są gotowi prowadzić pertraktacje, i mają nadzieję na uzyskanie zgody na oba układy, ale jeśli chodzi o protokół to nie zmienili ani na jotę swego stanowiska. Ze swej strony Stalin oświadczył, że bez protokółu układy nie mogą być podpisane. Powstała sytuacja bez wyjścia. Stalinowi udało się jedynie uzyskać obietnicę Edena, że przekaże sporne zagadnienia do rozpatrzenia brytyjskiemu gabinetowi, a także rządom brytyjskich dominiów. Eden nie wykluczał również możliwości konsultacji z rządem USA.

Week-end

Kwiecień 1943 był przyjemny. Siedzieliśmy przed barakiem w Oflagu II D Gross-Born i wygrzewali na słońcu kości i chude mięśnie ścierpnięte przydługim wysiadywaniem Ojczyzny. Od radiowego głośnika przybiegł zdyszany Zdziś ze smutną sensacją, ogłoszoną przez Goebbelsa, że w Katyniu znaleziono masowe groby polskich oficerów.

Na drugi dzień zawezwano mnie i Klebana do oflagowej Abwehry i polecono spakować się do wyjazdu.

— Gdzie?

— Dowiecie się później!

Wyjazdy z obozu w „nieznane" kończyły się czasem wypuszczeniem jeńca na wolność przez komin, z zachowania się jednak Niemców wywróżyliśmy sobie, że prawdopodobnie nic nam nie grozi.

Po drodze w Nieznane zawieziono nas do Oberkomendanta Oflagów i Stalagów — rozrzuconych po Ziemiach nieco później Odzyskanych — na audiencję. Byliśmy pod lekkim rau-

szem. Budynek, w którym on urzędował nie był otoczony kolczastym drutem, w oknach nie było krat, jakieś „fijołki" puszczały się na rabatce, i w „oberlufcie" gwizdały wiatry wolności. Pilnował nas wprawdzie szkop z krucicą, ale że ćmiąc nasze Camele z amerykańskiej paczki starał się być nieobecny, traktowaliśmy go jak dopust Boży i uśmiechaliśmy się ku radosnej przyszłości. Po chwili zjawił się adiutant w ostrogach i szarmanckim ruchem zaprosił w głąb. Idąc za tymi źle skrojonymi bryczesami i butami nie od „Hiszpańskiego", myślałem, że za chwilę zobaczę jakiegoś typowego reprezentanta III-ego Reichu, podstrzyżonego „nulką" z kępką na czubku jak „Gestapo Müller", lub perkate stworzenie z wąsikami i loczkiem à la Führer — dużo führerów z wąsa i loka plątało się wtedy po Rzeszy — a tu tymczasem podniósł się zza gdańskiego biurka staropolski Hindenburg zaczesany na „jeża", który zamiast Ritterkreuz pod grdyką miał zwykły Eisernes Kreuz.

Ekscelencja ramol oparł siną pięść o blat, spod nastroszonych brwi spojrzał nam groźnie w oczy i... nie wiedział co ma zrobić z tym fantem, który trzymał w ręku. Tłumacz Ukrainiec, usłużnie zgiętym paluszkiem o mandaryńskim paznokciu skierował w końcu uwagę „gaga" na karteluszek ze spisaną mową. Emeryt łypnął, przylepił mowę do oka i wydukał: — „Nie pytajcie gdzie jedziecie, bo nie powiem. Tak. Nie powiem! Dowiecie się w Berlinie. W Berlinie się dowiecie! A jak po drodze będziecie uciekać — w tym miejscu się zacukał, łypnął na mowę, i dokończył — *Es wird geschossen!*" Co tłumacz przełożył: *„Będzie strzelano"*.

W Szczecinie dołączono nas do kilku kolegów z innych Oflagów, wśród których to gefangenów generałem był Chmurowicz, zaś podpułkownikiem Stefan Mossor. Sznelcug miał spóźnienie, ale do Berlina zdążyliśmy na wieczorny alarm, i do siedziby Feldpolizei dobrnęliśmy po omacku. Przywitał nas chlebem i solą (skrzynie francuskich sardynek skonfiskowanych siostrzycy przynieśli dopiero po północy) przedstawiciel O.K.W. *(Oberkomando der Wehrmacht)* i podkreśliwszy, że jesteśmy delegatami polskich Oflagów oświadczył, że raniutko pofruniemy do Smoleńska, by w Katyniu przekonać się na własne oczy, że Führer jest cacy, zaś generalissimus — be. Na to Chmurowicz, że on bardzo chętnie, ale nie samolotem, bo wprawdzie nic się nie boi, skądże znowu, jeno ma szmery w sercu i prosi o pociąg. Na to Okawu, że numer z pociągiem nie przejdzie gdyż *Alle Räder müssen rollen für Sieg,* i że jeśli Herr General ma *Hertzschmertzen* to się go ciupasem odstawi z powrotem do Woldenberga... i się go odstawiło.

W międzyczasie, ustami najstarszego z pozostałych, czyli Mossora, powiedzieliśmy trzęsąc portkami, że co do tych „delegatów" to koledzy nas nie wybrali, poza tym, od kiedy to wozi się delegatów pod pistoletem by nie zwiali, i że wobec tego wszystkiego wracamy za druty. Okawu zesztywniał i powiada: — Mam rozkaz odstawić was do Smoleńska.

— Ha, trudno! — mruknąłem, bo paliłem się do tej wycieczki jak nie wiedzieć co — *Befel ist Befel*... Odstawiaj!

Jadąc rano na lotnisko stwierdziłem, że wbrew komunikatom B.B.C., które łapaliśmy w IID na radio zamurowane w piecu, Berlin nie był zrównany z ziemią. Naliczyłem pięć zbombardowanych kamienic.

Po kilku godzinach nudnego lotu — ciężki transportowiec Ju 52 leciał wolno jak krowa — siedliśmy ze ściśniętym i stęsknionym sercem na Okęciu. Dolali benzyny i... *Drang nach Osten.*

Od polskiej granicy zaczęło samolotem kiwać i Delegacja pojechała do rygi, a za jej przewodem eskortujący nas Niemcy. Siedział przede mną zgarbiony podoficer, z rozpiętego futerału wyzierała mu kolba „Waltera". Wystarczyło rękę wyciągnąć i...??!!

Jednym z delegatów Waldenberga był prokurator z Katowic, ale lotnik rezerwy, który przed wojną latał podobno na „Karasiach", ale chyba w śmietanie. Dostał w paczce z U.K. od kolegi z RAF'u nowy mundurek i wyglądał jak delegat Dywizjonu 303. Planowałem posadzić go za kierownicą i poprosić o kierunek — Skandynawia, stwierdziwszy jednak, że prokurator Ikar ma cytrynowy odcień — zrezygnowałem. Przyszło mi stosunkowo łatwo bo: a) nieco się bałem, b) nie wiedziałem czy wystarczy benzyny, c) miałem uzasadnioną nadzieję, że Niemcy pokazawszy Katyń zorganizują nam komfortową „ucieczkę" do Szwecji, żeby naoczni świadkowie rozgłosili *Urbi & Orbi*... Ale szkopy to naród *Wasserkopfów.* Nic nie zorganizowali.

Smoleńsk wyglądał nieszczególnie. Jak Warszawa pod koniec 1944. W środku tego rumowiska stał nietknięty gmach. — Niezbadane są wyrokie Boskie — sławna na całą Smoleńszczyznę rezydencja N.K.W.D., odziedziczona przez *Feldpolizei,* gdzie zabukowano nam apartamenty z widokiem na lej po *Luftminie.*

Po jakimś czasie zjawił się „Opiekun Grobów", oberżandarm Jeschonek z napęczniałą teczką i oświadczył, że Katyń to nie żadna tajemnica Mayerlingu, że wszystko zostało dokładnie zbadane, raz na zawsze udowodnione i, że kto nie wierzy, z tych oto dokumentów... W tym miejscu światło zgasło, syreny zawy-

ły i armata z długą lufą ustawiona pod bokiem zaczęła grzać w niebo. Delegacja wyczerpana przeżyciami podróży pokładła się spać, ja zaś z Ikarem, który wrócił do formy, zabrałem się przy chybotliwym świetle kaganków łojowych — ciekaw jestem z kogo oni ten łój wytopili? — do kopiowania listy nazwisk zidentyfikowanych Biedaków. „Dokumentami" się nie interesowałem.

Koło północy poczułem parcie. Wyszedłem na korytarz... N i k o g o?! *Na so was?!* Zszedłem na parter. W szyjce od butelki *„Liebfrauenmilcha"* krzywa świeca, na stole rozłożony rozmamłany szkop pod gazem, który negliżując obecność jeńca (dyscyplina upada! — pomyślałem — Dobrze jest. Im gorzej tym lepiej!) segregował fotosy swoich *top-lecc „Oficirsmatraccen"* i podśpiewywał: *Die eine in Havannah, Die andre in Hawai, und auch in Nagasaki tra ti ta Butter fly.*

— Panie *Ubermensch,* gdzie tu wychodek?

— Gdziekolwiek.

Na so was? Wyszedłem na ulicę „Hitler Strasse". Odetchnąłem głęboko i westchnąłem jak Zagłoba: *„Wolnym jest!"* Wolnym jest, ale właściwie to nie bardzo, no bo po Władywostok Beriowszczyzna, zaś na kierunek Abendlandów Himmler. Gdzie pójdziesz szary człowiecze?

Śliczna to była noc, wiosenna. Księżyc, ckliwe podmuchy, ziemia przeorana granatami pachniała cumaryną, a na horyzoncie łyskało się na pogodę bombami. Z dala zaś, jak szmer Babiogórskiego potoka, dochodziło gulgotanie armat, gdyż „skracano front". Dawno nie czułem się taki zadowolony z życia miłego. Odbijało mi się wprawdzie sardynkami, które stanowiły nasz *Eintopfgericht,* ale te artyleryjskie gruchania rozlewały się rozkoszą po kościach. Ja tu sobie spaceruję „w rozpiętym palcie" po romantycznych ruinach do miesiąca, zaś o miedzę nasi Odwieczni wypruwają sobie flaki. Brawo chłopcy! Byle jak najdłużej.

Nacieszywszy się wolnością postanowiłem wrócić do niewoli na przełaj. Doszedłszy pod bramę kwatery, zatrzymałem się i zadumałem. Ten ponury gmach rzucający długi cień na moją i moich przyszłość, był odrażający. Należało zaprotestować. Rozpiąłem portki i chciałem obsikać Historię. Potem zapaliłem „szperę" Camelem, wymacałem łóżko, nakryłem się śmierdzącym i sztywnym od ropy kocem — dranie pożyczyły dla Delegacji koce z polowego szpitala.

Po śniadaniu (sardynki) pojechaliśmy — poprzez stacyjkę Gniezdowo, na którą podobno dowożono Biedaków w niewielkich grupach, żeby Stachanowcy z N.K.W.D. mogli nadążyć w mordowaniu — na miejsce katyńskich grobów. Oczekiwali nas niemieccy oficerowie i profesor medycyny sądowej z Wrocławia, Butz, który — wbrew twierdzeniu, że „jak sama nazwa wskazuje" — okazał się inteligentnym szkopem. Poza tym byli tam radiowcy, kinooperatorzy i świadkowie w kożuchach, do których przesłuchiwania zabrał się z pasją Mossor.

Mnie ci świadkowie, jak i wczorajsze dokumenty, mało interesowali. Zaciekawili mnie natomiast nakręcający nas i pstrykujący, do których zwróciłem się z uprzejmą prośbą:

— Oddajcie rolki!

— Figa z makiem.

— Oddajcie, bo wracam na piechotę do IID.

Usłyszał to Okawu, stropił się, i dał nam „oficerskie słowo honoru", że zdjęcia robione są dla wojskowego archiwum. O ile mi wiadomo, słowa dotrzymał.

W pewnej chwili tego przelewania z pustego w próżne, dano nam znać, że przyjechała z Warszawy delegacja P.C.K., czy R.G.O. — nie pamiętam. Przywitaliśmy się chłodno. Nie wiedzieliśmy co zacz? Może jacy *Volksdeutsche?* Oni zapewne myśleli o nas to samo, i potoczyła się rodaków rozmowa — jak by Katyń nie istniał — o pogodzie i zagadnieniach bieżących.

◆

Nie będę powtarzał smutnych i znanych szczegółów masowego mordu. Szkicuję na marginesie Katynia, i wspomnę tylko moje amatorskie „badania".

A więc, że groby odkryli w 1942 polscy robotnicy „zatrudnieni" przez organizację Todta. Postawili na miejscu krzyż i donieśli Niemcom. Dlaczego dopiero w rok później Niemcy zrobili rumor? Czy Hitler miał zamiar dogadać się wtedy ze Stalinem i nie chciał by Katyń ewentualnym pertraktacjom podbijał nogi?

Niemcy ogłaszając Katyń wiedzieli ilu polskich oficerów „zagubiło się" w Rosji. Zrobili w grobach *„sztich"* próby, stwierdzili, że leżą nie setki lecz tysiące, i mistrz reklamy Goebbels się zagalopował i podał jedenaście tysięcy. Odkrywki ujawniły, że jest ich znacznie mniej. „Optymiści" szacowali na sześć tysięcy, „pesymiści" na cztery. Gdzie reszta? Oni g d z i e ś tu muszą być! I szkopy ryli po lesie gdzie tylko były młodniaki, gdyż Stalin miał zwyczaj obsadzać masowe groby ofiar — drzewkami, żeby było nie wiadomo i ładnie. Pracowano na trzy szychty, ale brakujących tysięcy nie znaleziono. Znaleziono natomiast coś — dla oskarżenia — cenniejszego, mianowicie znacz-

nie starsze masowe groby Rosjan z okresu „rozkułaczania" i oczyszczania Raju Proletariatu z „wrogich elementów".

Las bowiem na Kozich Górkach był egzekucyjnym terenem NKWD, które miało na ładnej polanie swój Dom Wypoczynkowy, gdzie spracowani mordercy urządzali sobie — jak mi Jeschonek z lubością powiedział — orgie!

◆

Zaczęliśmy zwiedzać teren. Na łące ułożono wedle rangi wydobyte i zidentyfikowane zwłoki. Na prawym skrzydle generał Smorawiński, obok generał Bohatyrowicz... w sumie około dwustu.

Potem przeglądnęliśmy „muzeum" znalezionych przy zwłokach przedmiotów: medaliki, ryngrafy, ordery, pułkowe odznaki, listy od rodzin i notesy zapiski-pamiętniki urywające się w miesiącach marzec—kwiecień 1940. Jeden pisany był jeszcze na stacji Gniezdowo, czyli niedługo przed strzałem.

Wrażenie osobiste? No cóż?! Kostnica czy prosektorium na dużą skalę, więc laboratoryjna obojętność wobec zwłok. Ale nie wobec ich ostatnich chwil, kwadransów, a może godzin, w których spostrzegli, że nie o zwolnienie do domów chodzi, jak im powiedziano. Taaak. Te ich ostatnie chwile!

◆

Smutne to było przeraźliwie, ale i drażniące. Jeden bandyta, który to zrobił — odszedł, drugi ubrał się w skórę owcy i tłumaczy, że jest niewinny. Po pewnym czasie odłączyłem się od towarzystwa i poszedłem przed siebie. Nad terenem unosił się słodki odór rozkładających się ciał, których w jednym z grobów było dwanaście warstw. Inny, położony w mokrawej dolinie, wypełniony był zupą z trupów.

Kto to zrobił?

Jeśli przed jesienią 1941 — Stalin. Później — Hitler. Jak ustalić datę?

Wszedłem do grobu, gdzie Biedacy mieli powiązane na plecach ręce grubym sznurkiem — zapewne się bronili — i, żeby stwierdzić czy nie zamordowano ich niedawno — wykopałem, a właściwie wyrąbałem kilofem zwłoki szczepione z innymi. Tak. Leżą tu długo. Ale od kiedy?

Machinalnie odkręciłem z przegubów nieboszczyka sznurek i przypadkowo zwróciłem uwagę na korzenie rosnącej przy grobie sosny, które wpełzły w warstwę ziemi przykrywającej zwłoki

i przy odkrywce zostały odcięte. Bezmyślnie i nie wiedząc po co wziąłem taki kawałek korzenia w rękę, gapię się na niego, oglądam pasemka wzrostu, i powoli, powoli zaczyna mi świtać w głowie. Jeśli Stalin... korzenie miały trzy sezony pełnego wzrostu: 1940, 41, 42. Jeśli Hitler... jeden: 1942. Te korzenie rosły na pewno co najmniej dwa sezony!

— Co pan widzi w tym ciekawego?

Nad grobem stoi Jeschonek.

— Mniejsza z tym. Ale, panie J., jesteśmy sami, niech mi pan powie, co pan naprawdę o tym sądzi? Zdaje pan sobie chyba sprawę, że ci pańscy świadkowie i dokumenty nie przedstawiają dla mnie wartości.

Jeschonek się zamyślił, podniósł z ziemi wojskowy guzik z polskim orzełkiem i huśtając go na dłoni zatoczył ręką półkole; i wskazując na wałęsające się strzępy sowieckich gazet etc. błysnął zielonymi oczami, uśmiechnął się i wycedził: — Ręczę panu, że gdybyśMy to zrobili, ta robota byłaby całkiem inaczej wykonana! Ten ironiczny uśmiech speca z powodu dyletanckiej „roboty", był dla mnie bezcennym przyczynkiem.

Swoją drogą, że trzeba tu trochę usprawiedliwić „dyletancką robotę" Stalina. Podpisując rozkaz likwidacyjny nie przypuszczał, że ktokolwiek inny prócz jego niewolników będzie kiedykolwiek kopał w Kozich Górkach. Ale „Historia", do której się modlił zrobiła mu *practical joke'a*. Bywa.

W międzyczasie Niemcy zawieźli Mossora w głąb lasu do wspomnianych starych grobów. Pułkownik powiedział mi po powrocie, że spoczywający w nich Rosjanie mieli powiązane ręce identycznym sznurkiem, jak ten który mu pokazałem.

Na zakończenie zaproszono nas do oficerskiego kasyna na bankiet. Myślałem, że na konto Katynia objem się za wszystkie głodne lata. Sowieciarz, wiedzący, że najłatwiej trafić do serca przez dwunastnicę, na pewno zorganizowałby na ich miejscu pierwszorzędną *party*. A ci, dali nam „pel" kartofle czyli ziemniaki umundurowane i do tego s.o.s., mięsny baber. I tępaki myślały, że po takim „posiłku" — trudno to było nazwać obiadem — skłonni będziemy do kolaboracji. Cóż za naiwny *Volk?!*

W czasie zapijania tego popielatą lurą z jęczmienia osłodzoną melasą, przysiadł się do nas szef propagandy na froncie północnym, Hagen. Ciekaw jestem czy to ten sam Hagen, którego po zamachu w 1944 Führer powiesił?

Hagen był błyskotliwy i nie owijał w bawełnę. Front — powiada — trzeszczy. Robimy — powiada — *„Igelstellungi"*. Źle jest!

— Aaa, to nie dobrze. Ale cóż poradzisz, co?

— Nic prostszego — powiada. Albo wy z nami, albo ten *Schweinehund uncle Joe* napoi czołgi w Atlantyku i Polska, która Jeszcze nie całkiem Zginęła — wasi chłopcy z A.K. to *naughty boys* — zginie tym razem na Wieki Wieków...

— Amen.

— Więc?

W odpowiedzi zaśpiewaliśmy znaną ludową piosenkę: „Dzisiaj już jest za późno, czas miniony nie wróci..." i polecieliśmy z powrotem do Berlina.

Jadąc z lotniska na kwaterę do przezacnej *Feldpolizei,* naliczyłem sześć zbombardowanych kamienic, czyli, że w międzyczasie doszluzowała jedna. Jeśli w tym tempie pójdzie — powiadam do Ikara — to wyjdziemy z niewoli łysi i z siwymi brodami. Na szczęście Historia dodała później gazu i zostawiła Berlin w takim stanie, w jakim chciałem go zastać.

Wchodząc na kwaterę mieliśmy miny „poślednie", nie ulegało bowiem wątpliwości, że zaczną nas tu teraz łaskotać i bawić się z nami w Czarnego Luda. Ale przywitanie było urocze:

— Jakżeż nam miło... że znowu mamy zaszczyt gościć Delegatów Najjaśniejszej, z którą mieliśmy wprawdzie w 39-ym nieporozumienie — ale co było, a nie jest... tym bardziej, że tu chodzi przecież proszę panów o Obronę Polski! Nie o nas, nie o nas. Ale może panowie zdrożeni i chcieliby sobie uciąć szlumerka? Choć z drugiej strony Rzesza... etc. etc. Cały świat wisi na waszych ustach, które przez radio... i na artykułach, Deklaracjach... o tu inkaust i pergamin, a może lepiej „Olivetti"? Co?

A my jak katarynka, że nie jesteśmy delegatami, że nikogo nie reprezentujemy, bo koledzy nas nie wybrali, że konwencja haska, że o radiowych mowach mowy nie ma i że się pisać nie będzie! I tak zeszło do kolacji (sardynki).

Na drugi dzień zabrali się do naszej primabaleriny Mossora, który podobno napisał kiedyś jakieś „Moje Boje", które oni przeczytali i twierdzili, że Clausewitz to szczeniak w porównaniu. Mossorek oblizał się z lubością ale nie popuścił, za co, w około pięć lat później, odwdzięczył mu się Stalin. Zrobił go generałem, a kiedy ryba połknęła przynętę, skazał go w procesie Tatara-Tabora na 15 lat więzienia.

Trzeciego krytycznego dnia, dla dodania sobie i delegacji odwagi, założyłem się z Ikarem o bifa, że nie grozi nam Sachsenhausen czy Mauthausen i, że nawet jak nic z nas nie wycisną, odeślą z powrotem do Oflagów, bo i tak opłacą się im koszta w te i we wte, gdyż cicho siedzieć nie będziemy i

przez następne 20 lat przytrzymywać będziemy za guzik uciekających słuchaczy i każdą rozmowę zaczynać jak Hitler w Reichstagu, od: *Als Ich, Im Jahre...* 1943 byłem w Katyniu.

Niemiłe to były godziny wyczekiwania, wymagające zaparcia się siebie, poświęcenia się za Ojczyznę i tym podobnych środków nasennych, antybiotyków, używanych ze skutkiem od dziecka.

Koło południa Niemcy przypuścili ostatni szturm, od tyłu. Nasze wysoko umieszczone i zakratowane okno wychodziło na zamknięte podwórze gmachu *Feldpolizei.* Zjawił się pod oknem — niby w tajemnicy — granatowy własowiec, poskoczył, uczepił się krat i wisząc jak Prometeusz nad przepaścią zaczął nam gwałtownie tłumaczyć, że *Lux ex Oriente* to wcale nie jest *Lux* i, że on nie odda jednego Własowa nawet za pięć Wand Wasilewskich. Początkowo żal mi go było, gdyż podobnie jak my, znalazł się on z tysiącami pobratymców *between the devil and deep sea.* Ale jak watażka zaczął nam reklamować Adolfa, straciliśmy cierpliwość. Poliglota Mossor przygadał mu po sowiecku, ja zaś wygrzebałem z pamięci „Ogniem i Mieczem" i mu dogadałem.

Mołojec odpadł. Niemcy nareszcie wrzasnęli — *Rrrauss!* I odesłali nas do obozów.

Kiedy znowu znalazłem się za drutami tego szabrawego IID, pod opiekuńczymi skrzydłami Canarisowej Abwehry, poczułem się tak miło i bezpiecznie jak w Raju Gefangenów.

Stanisław GOSTKOWSKI

Nowość

TOM CVIII BIBLIOTEKI "KULTURY"

SERIA "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT SIÓDMY

zawiera m.in. prace:

T. Katelbacha: *Akt pierwszy dramatu*
płk. F. Kalinowskiego: *Legenda lotnicza w świetle historii*
F. Mantla: *Fragmenty wspomnień*
Rolanda: *Partyzantka na Wileńszczyźnie*

Str. 240 Cena F. 15 (22 sh.; $ 3)

Kronika kulturalna

Raport o stanie kultury polskiej w Londynie

Londyn 8. luty 1965

Do Redaktora „Kultury" w Paryżu

Cz. Dobek napisał na zakończenie swego cyklu artykułów o funduszach polskich w Londynie: „Jedną z firm, mieszczących się obecnie w dawnym „Orle Białym" jest biuro specjalistów-doradców dla przedsiębiorstw upadających, albo będących w trudnościach. Polskie fundusze zetknęły się z tymi specjalistami za późno[1]*".*

Do tego stwierdzenia można by wnieść poprawkę, że nie zetknęły się one nawet mimo sprzedaży „Orła". Zetknięcie spowodował dopiero Pan, proponując mi opracowanie tematu kultury polskiej w Londynie. Tak się bowiem złożyło, że z zawodu jestem konsultantem od spraw zarządzania (management consultant), *a więc takim specjalistą o jakim mówi p. Dobek.*

Przesyłam RAPORT O STANIE KULTURY POLSKIEJ W LONDYNIE. Temat traktowałem w miarę potrzeby zawodowo, czego symbolem jest tytuł, jaki dałem memu opracowaniu. Ogólnie jednak „potrzebą" było dla mnie zainteresowanie przeciętnego czytelnika, a nie techniczne problemy poszczególnych decyzjobiorców. Stąd ogólna forma publicystyczna. Tym niemniej ostateczna ocena sytuacji bieżącej i zalecenia na przyszłość wynikają z analizy szczegółów technicznych, robionej w duchu obiektywnym i po zaznajomieniu się z opiniami wielu osób zainteresowanych.

Z poważaniem

Bohdan BRODZIŃSKI

1. „Kultura" Nr 201/2, str. 181

RAPORT O STANIE KULTURY POLSKIEJ W LONDYNIE

Polski Londyn liczy około 30.000 mieszkańców (dokładnych statystyk nie ma, szacunki wahają się od 20 do 50 tysięcy w zależności od tego jakie kategorie osób zalicza się do „Polaków" i w zależności od przyjętych granic Londynu). W mieście tym, rozłożonym na obszarze około 1.000 km², znajdują się:

— biblioteki: Polska, Polskiego Ośrodka Naukowego, Instytutu Sikorskiego; centrala bibliotek ruchomych; wypożyczalnia książek przy Polskiej YMCA, przy Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów i przy Tow. Pomocy Polakom;

— instytuty badawcze: Historyczny im. gen. Sikorskiego, Najnowszej Historii Polskiej im. marsz. Piłsudskiego, Wiedzy Wojskowej, Badania Zagadnień Krajowych, Spraw Międzynarodowych, Socjologiczny, Wschodni „Reduta", Studium Polski Podziemnej, Towarzystwo Historyczne, Towarzystwo Naukowe;

— muzeum i archiwa przy Instytucie Sikorskiego;

— szkoły wyższe: Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych;

— prasa: jeden dziennik, jeden tygodnik literacki, dwa miesięczniki, pewna ilość periodyków politycznych o różnej częstotliwości wychodzenia;

— ośrodki wydawnictw książkowych, zarówno prywatne jak i nie-prywatne, wydające w sumie rocznie około 50 książek z różnych dziedzin oraz większą ilość różnego rodzaju broszur;

— teatr dla dorosłych, dysponujący salą teatralną w „Ognisku Polskim" oraz teatr dla dzieci „Syrena".

Wspomniane ośrodki wydawnicze są tworami dość nieprecyzowanymi. W niektórych wypadkach w charakterze „wydawcy" występuje któraś z instytucji należących do innej kategorii (np. Instytut Sikorskiego), niekiedy wydawcą jest prywatny drukarz, który inwestuje swoją pracę w publikację, kiedy indziej za różnymi pseudo-wydawcami stoi dyspozytor finansowy w postaci Komitetu Wolnej Europy. Ze względu na jej nikły związek z meritum zagadnienia, sprawa ośrodków wydawniczych nie będzie już poruszana w dalszej części niniejszego omówienia.

Z powyższego wyliczenia narzuca się zasadniczy wniosek: nawet gdyby polski Londyn był miastem samoistnym, to jego wielkość nie usprawiedliwia tak dużego rozbudowania instytucji kulturalnych. Rozpiętość między bazą a nadbudową staje się rażąca, jeśli uwzględni się fakt, że Polacy londyńscy są także mieszkańcami Londynu, metropolii o wyjątkowym potencjale kulturalnym. Ten rozrost polskich organizacji kulturalnych wynika z faktu historycznego jakim było istnienie rządu polskiego w Londynie w latach 1940-45. Szczególną rolę odegrały tu procesy związane z likwidacją tego rządu w 1945 r. Duże sumy pieniędzy zostały wtedy wycofane z rachunków państwowych i przekazane osobom prywatnym z przeznaczeniem na określone cele; wśród celów tych figurowała również i kultura. Ogólnie biorąc,

podstawą ogromnej większości londyńskich instytucji kulturalnych są dawne fundusze państwowe.

Znaczna ilość instytucji wymienionych powyżej nie prowadzi już żadnej działalności i nie odgrywa żadnej roli w dziedzinie kulturalnej, aczkolwiek niektóre z nich dysponują pewnym potencjałem w formie kapitału (zazwyczaj dom). Z drugiej strony należy wymienić organizacje — jak Ognisko lub Stowarzyszenie Lotników — które, nie będąc instytucjami kulturalnymi, jednak działalność taką prowadzą. Przy przyjęciu kryterium działalności oficjalne tytuły organizacji stają się mniej istotne, a zasadniczego charakteru nabierają pewne określone adresy, których ilość sprowadza się do siedmiu, a mianowicie:

1. Dom przy 9, Princes Gdns., gdzie mieści się Biblioteka Polska; sala zebrań tego domu służy na cele odczytowe wielu przygodnym użytkownikom, w pokoikach na górnych piętrach mieszczą się biura różnych organizacji.

2. Instytut Sikorskiego, będący siedzibą muzeum i biblioteki a którego sala zebrań i pokoje biurowe służą celom jak w p. 1 powyżej.

3. Polski Ośrodek Naukowy, dysponujący wartościową biblioteką podręczną; tu znajduje się również centrala bibliotek ruchomych, obsługująca prowincję.

4. „Ognisko", które posiada jedyną na polskim terenie salę teatralną i którego klub jest popularnym miejscem spotkań Polaków.

5. YMCA, prowadząca dość szeroko zakrojoną działalność (odczyty, stałe wycieczki po muzeach, filmy, lekcje tańców, biblioteka) w oparciu o własny dom.

6. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów posiada — poza cieszącym się sporą frekwencją klubem — bibliotekę i salę zebrań.

7. Stowarzyszenie Lotników Polskich — klub i sala zebrań.

Przegląd wymienionych lokali prowadzi do szeregu wniosków. Uderza, że organizacje te znajdują się w tym samym rejonie geograficznym, stosują się więc jak gdyby do praw rządzących lokalizacją przedsiębiorstw konkurencyjnych (księgarze na Charing Cross Road, krawcy na Saville Row, polskie kluby na Kensingtonie). Uderza konkurencyjność organizacji kombatanckich (SPK i Lotnicy, dawniej dochodził do tego jeszcze oddzielny dom Marynarzy[2]). Jeszcze bardziej dziwi rozdział bibliotek. Biblioteki YMCA czy SPK można tu pominąć, gdyż w działalności obu instytucji grają rolę minimalną. Jednak fizyczny rozdział między biblioteką Polską a biblioteką Polskiego Ośrodka Naukowego musiał mieć duże i to ujemne skutki społeczne. Biblioteki te służyły kiedyś różnym celom, ale już od około piętnastu lat różnica ta nie istnieje; mimo to ewentualny badacz spraw polskich ciągle stoi przed zniechęcającym faktem, że materiały do

2. Pełna lista polskich organizacji znajduje się w artykułach Cz. Dobka (por. „Kultura" nry 5, 6, 7/8 z r. 1964).

jego studiów mogą być albo w jednej albo w drugiej bibliotece, przy czym godziny urzędowania obu bibliotek są różne. Fakt, który normalnie budziłby największe obiekcje, mianowicie niepotrzebny koszt utrzymywania dwóch bibliotek tam, gdzie z trudem doszukać się można popytu na jedną, jest tu bez znaczenia; zostanie to wyjaśnione poniżej.

Wymienione instytucje są z reguły nieprzystosowane do obsługiwania nawet umiarkowanie dużych zastępów publiczności. Brak „przestrzeni cyrkulacyjnej" w postaci hallów, westybuli itp., brak urządzeń sanitarnych.

Grupa siedmiu wymienionych organizacji składa się z dwóch pod-grup: pierwsze trzy tworzą pod-grupę organizacji z zasady naukowych, następne cztery — organizacji społecznych. Charakterystyczne jest zazębianie się funkcji. Organizacje naukowe porzucają postawę „szklanej góry" i kładą nacisk na działalność kulturalną w szerokim zakresie — udostępnianie książek, odczyty o charakterze ogólnym; organizacje społeczne wychodzą poza ramy czystej działalności klubowej (restauracja, bar kawiarnia, klub brydżowy) i wchodzą na teren kulturalny, prowadząc — jak Ognisko — salę teatralną, czy udostępniając — jak pozostałe organizacje — swoje sale na odczyty i tp. Staje się jasne, że w warunkach emigracyjnych nie może być nauki w sensie abstrakcyjnego odcięcia się od społeczeństwa, gdyż nie ma wystarczająco dużego środowiska naukowego, które mogłoby żyć życiem samodzielnym. Z drugiej strony organizacje społeczne muszą również zdawać sobie sprawę, że ich istnienie zależy od utrzymania kultury polskiej.

Odkrycie, że kultura polska może żyć tylko w związku ze społeczeństwem jest dla wielu osób stosunkowo nowe. W przeszłości panowała tendencja do ucieczki na odludzie. Przyczyną tego było w pierwszym rzędzie istnienie wspomnianych już funduszy po-państwowych. Jednostki czy grupy, na które spłynęła złota manna, nie miały ani ochoty ani potrzeby kontaktowania się ze społeczeństwem, bo z tym łączyła się konieczność wyliczania się i przedstawiania swej działalności do oceny.

Drugą przyczyną były różne możliwości utrzymania. W chwili obecnej źródła dochodu omawianych instytucji przedstawiają się następująco:

1. Biblioteka Polska otrzymuje lokal od organizacji polskiej (PUCAL), poza tym jest na utrzymaniu administracji angielskiej. Jej budżet, w wysokości około 10.000 funtów, przyznawany jest z roku na rok w ramach budżetu ministerstwa oświaty; w uchwalaniu tego budżetu nie działa żaden automatyzm a co za tym idzie może on być dowolnie zmniejszony, czy nawet w ogóle zlikwidowany. Dlatego okres przed zamknięciem roku finansowego (początek kwietnia) jest zawsze okresem kryzysowym. Z tym zastrzeżeniem Biblioteka Polska jest jedyną instytucją polską pracującą normalnie, tzn. dysponującą pełno-płatnym personelem i spełniającą w zamian pełnowartościową służbę społeczną.

2. Instytut Sikorskiego ma zapewnione pomieszczenie we własnym domu. Inne wydatki pokrywane są z dotacji Komitetu Wolnej Europy (1.800 funtów rocznie) oraz z opłat organizacji członkowskich i ofiar społeczeństwa (1.600 funtów rocznie). Należy podkreślić, że w kategorii „ofiar społeczeństwa" na czołowym miejscu znajdują się „regularne miesięczne donacje[3] od gen. Andersa, którego biura mieszczą się w budynku Instytutu. Wynika z tego, że Instytut czerpie dochód z wynajmu swoich pomieszczeń.

3. Polski Ośrodek Naukowy otrzymywał do 1960 r. subsudium od angielskiego ministerstwa oświaty w wysokości 2.000 funtów rocznie. Obecnie zasiłek ten nie jest wypłacany, a za podstawę utrzymania Ośrodka służą: dochód z własnego domu (ok. 2.500 funtów rocznie), subsydium z Komitetu Wolnej Europy (900 funtów rocznie) i donacje społeczeństwa (wpłaty z tego tytułu wynoszą ok. 1.000 funtów rocznie).

4. Ognisko utrzymuje się z działalności klubowej.

5. YMCA poza głównym dochodem z działalności klubowej (restauracja, hostel) otrzymuje również pewną pomoc od organizacji międzynarodowej.

6 i 7. Działalność organizacji kombatanckich leży w płaszczyźnie innej niż obecnie omawiana; organizacje te uważają za wskazane i korzystne prowadzić i — przypuszczalnie — subsydiować akcję kulturalną.

W powyższym zestawieniu charakterystyczna jest nikłość środków utrzymujących polską kulturę na emigracji. Stalin powiedział w 1945 r., że mógłby całą kulturę polską jednym pociągiem wysłać na Syberię. Tu widać, że całą kulturę emigracyjną można by utrzymać za pensję jednego dyrektora przedsiębiorstwa.

Drugą cechą tego zestawienia jest dominująca rola czynnika rządowego (angielskiego) przy małej roli polskiego czynnika społecznego. Fakt ten tłumaczy anomalię dwóch bibliotek na odcinku jednego kilometra: skoro Anglicy płacili za dwie biblioteki, to były dwie; gdyby płacili za trzecią, to też by się znalazła (Kombatanci dali na przemiał 20.000 książek. Biblioteka Polska ma kilkanaście tysięcy niepotrzebnych egzemplarzy). Natomiast „zapotrzebowanie społeczne" nie grało tu większej roli. Samo zjawisko interwencji państwa jest w pełni zrozumiałe. W Anglii działa system wysokich podatków i wysokich świadczeń socjalnych. W takim systemie obywatel ma po pierwsze mniej pieniędzy do dyspozycji, a po drugie rozwija się w nim przekonanie, że rząd powinien zaspakajać jego potrzeby „zbiorowe". Na ogół rząd z zobowiązania tego wywiązuje się sumiennie. Odnosi się to również do potrzeb bardziej egzotycznych, takich do jakich należą potrzeby Polaków. Szkoły żydowskie czy sportowe kluby irlandzkie w różnych formach korzystają z pomocy władz czy to centralnych, czy samorządowych.

3. Powtórzone za raportem zarządu Inst. Sikorskiego za r. 1963/4

Nie byłoby więc niczym nienormalnym gdyby rząd wspierał — minimalnym zresztą kosztem — instytucję czy instytucje które działają dla dobra licznej grupy obywateli. Nienormalne jest natomiast rozumowanie odwrotne i przyjmowanie tego rodzaju akcji za coś wyjątkowego, za prywatny fawor jakiegoś urzędnika. Błędne jest również stawianie tego zagadnienia w płaszczyźnie międzynarodowej, co do tej pory było praktyką strony polskiej. Trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że ewentualne targi toczą się w ogólnych ramach jednego państwa i jednego społeczeństwa. Polacy w Wielkiej Brytanii to tacy sami Brytyjczycy, którzy chcą utrzymania niektórych polskich instytucji. Wszystko co wychodzi poza to jest brakiem rozeznania i przynosi więcej szkody niż pożytku. Równie błędne są opinie, że:

— rozmowy między Polakami w Anglii a rządem angielskim należy prowadzić na szczeblu ambasadorskim i tylko przy udziale zasłużonych lordów, którzy w 1945 roku protestowali przeciwko Jałcie;

— Polacy w Anglii mają niepohamowaną ochotę do stworzenia sobie oddzielnego rządu, który byłby w pełni konkurencyjny w stosunku do rządu J.K.M.;

— wszelkie polskie akcje organizacyjne muszą mieć charakter tymczasowy, bo Polacy twardo siedzą na walizkach czekając na moment, gdy upadek komunizmu w Polsce pozwoli im na powrót;

— w kraju demokratycznym można występować imieniem społeczeństwa bez porozumienia się z tym społeczeństwem.

Z drugiej strony łatwo zrozumieć wstrzemięźliwość polskiego czynnika społecznego w stosunku do wszelkich akcji organizowanych odgórnie. Ciąży tu niesławna przeszłość polskich funduszów państwowych. Szczęśliwcy, którym udało się dopaść złotego runa nie spieszyli do dzielenia się odpowiedzialnością za nie ze społeczeństwem. Szybkość z jaką fundusze te wychodziły poza zasięg jakiejkolwiek kontroli publicznej wyrobiła w społeczeństwie głębokie i przesadne przekonanie, że „działacze" to defraudanci. Demoralizacja nie ograniczała się zresztą do administratorów funduszów po-rządowych, ale szerzyła się wszędzie, gdzie tylko zdołano zebrać jakąś sumę pieniędzy społecznych.

Dla celów niniejszego omówienia wystarczy wymienić dwa ostateczne skutki okresu likwidacji funduszów społecznych. Pierwszym z nich jest degradująca fragmentaryzacja polskiego życia organizacyjnego. Poczucie degradacji wynika nie tylko z fikcyjności, z niemoralnej niemal pustości kryjącej się pod wieloma szumnymi szyldami, ale również z materialnych warunków, w jakich żyje dziś, po dwudziestu latach, większość organizacji. Drugim skutkiem to alienacja mas. Masy odżegnują się od działaczy, przywódców, organizacji, głoszą abstynencję od płacenia, członkostwa, korzystania, uczestniczenia. Stąd nieraz mylne wrażenie, że masy te nie istnieją. Wbrew pochopnie wygłaszanym uogólnieniom, są przekonywujące dowody na to, że społeczeń-

stwo polskie istnieje. Perspektywy na przyszłość również nie są złe. Wskazówką w tej dziedzinie mogą być ilości kandydatów zdających maturę z języka polskiego w szkołach angielskich. Jako przykład posłużyć tu mogą statystyki egzaminacyjne uniwersytetu londyńskiego. We wczesnych latach pięćdziesiątych język polski brało średnio około 80 kandydatów rocznie. Następne lata przynoszą stały i gwałtowny spadek do poziomu pięciu kandydatów rocznie. Obecnie zaznacza się nowy polski wyż demograficzny (160 kandydatów w r. 1964).

Wydaje się, że ciągle istnieje baza społeczna i że warto na niej — i dla niej — tworzyć nadbudowę polskiej kultury. W działaniu praktycznym wskazana jest rozwaga. Dotychczasowe metody działania miały skutki ujemne, jest bowiem prawdopodobne, że przyspieszyły one proces atomizacji i wynaradawiania grupy polskiej. Plan działania na przyszłość musi stanąć na założeniu rewizji, a nieraz negacji, szeregu panujących pojęć i koncepcji. Zacząć należy od samego pojęcia „kultury". Warto zauważyć, że w języku angielskim nie istnieje słowo, które byłoby równoważnikiem polskiej „kultury". Po polsku „kultura" to nie słowo, a mit, mgła intelektualna, bomba uczuciowa. Błędem emigracji było, że utożsamiała ona kulturę ze szklaną wieżą nauki. Nauka jest ekskluzywną, elitarna, niezrozumiała, nieprzystępna. Kulturę zaś trzeba traktować w kontekście masowym. Bez względu na implikowaną treść słowa „kultura" nic nie może zmienić faktu, że nawet w polskich rocznikach statystycznych pod słowem tym wylicza się rzeczy tak przyziemne jak kina, koncerty, opery i operetki, słowem wszystko to, co po angielsku nazywa się *entertainment*, czyli rozrywka, spędzenie wolnego czasu, względnie — jak mówi słownik oksfordzki — „przyjemne zajęcie". Do tej pory polskość nie była przyjemnym zajęciem; wprost przeciwnie — łączyła się z biedą i nudą. Przesadne upolitycznienie „góry", postawa pielgrzymia, oderwanie od życia znakomicie przyczyniły się do pozbawienia zagadnień polskich wszelkiej atrakcyjności. Wszelka akcja uwzględniająca istnienie Polaków musi w pierwszym rzędzie oczyścić sferę pojęć. Córka znanego posła do Izby Gmin, Nabarro, pracą w kibutzu manifestuje swój związek z Izraelem, ale polski luminarz z Londynu za zbrodnie poczytuje przyjęcie obywatelstwa kraju w którym mieszka, podczas gdy jego niemówiąca po polsku córka nie ka nie wie nawet co to jest Polska. Również i po stronie „Establishment" angielskiego są siły działające w kierunku utrzymania status quo. Znając przestarzałość prawodawstwa angielskiego w tej dziedzinie, można sobie wyobrazić że istnieją całe departamenty, których zajęciem jest liczenie zmarszczek na twarzach polskich „cudzoziemców", zamieszkałych w Anglii od dziesiątków lat. Trzeba protestować przeciwko tym praktykom. Nie tylko dlatego, że jest to niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy, ale że sama zasada i stojąca za nią postawa psychologiczna jest przestarzała i szkodliwa. Zakładanie, że cudzoziemiec to przestępca, wynika z naturalnego („zoologicznego") instynktu ksenofobii. Z

faktu *zamieszkania na stałe* wynikają konsekwencje, które wykazują nonsensowność rozumowania polskich pielgrzymów i angielskich biurokratów od cudzoziemców.

Z punktu widzenia Polaków jest rzeczą pożądaną, aby mieli oni swoją organizację, gdzie mogliby kultywować polskość (tzn. uprawiać kulturę polską). Jeśli pominąć akcję typu *deus ex machina* (tu można zaliczyć działalność Komitetu Wolnej Europy) jest to jedyny sposób utrzymania tej kultury. Panuje dość powszechne przekonanie, że istniejące instytucje mogłyby być w tym celu wykorzystane, ale że konieczne jest ich daleko idące scalenie. W akcji scaleniowej nie chodzi o zlikwidowanie działalności, a o zlikwidowanie przerostów organizacyjnych instytucji pseudo-naukowych, nie mających pokrycia w działalności. Dlaczego obok Towarzystwa Historycznego są jeszcze cztery instytuty historyczne i to wszystkie zajmujące się na ogół ostatnim okresem dziejów? To, że w każdym z nich są badacze, zajmujący się innymi zagadnieniami, nie jest odpowiedzią na to pytanie. Gdyby dla każdego badacza trzeba było oddzielnej biblioteki, biura, całej organizacji z prezesem, skarbnikiem i komisją rewizyjną włącznie, to ludzkość zrezygnowałaby z badań. Pobóg-Malinowski samotnie zdziałał więcej, niż niejedna z wymienionych instytucji, a fakt że działał sam jest poważnym oskarżeniem pod adresem emigracyjnych inżynierów dusz; świadczy on wymownie, że nie potrafili stworzyć ram („warsztatu") pracy dla wszystkich badaczy. Problemem tej samej kategorii jest istnienie dwóch szkół wyższych. Przyczyny tego zjawiska są natury historycznej, obecnie jednak gdy wyschły (względnie wysychają) strumienie zasilające każdą z tych instytucji można spodziewać się zjednoczenia ich. Instytuty: Spraw Międzynarodowych, Socjologiczny, Wschodni, są pozycjami martwymi. Jedyne, co mogą one zrobić, to przekazać ewentualne posiadane aktywa (odnosi się to zresztą chyba tylko do Inst. Wschodniego „Reduta") do wspólnej puli.

Należałoby określić możliwe kierunki badań, co z kolei wskaże jakie instytucje są potrzebne. Jeszcze raz należy podkreślić, że potrzebna jest jedność „warsztatu" a nie jedność badań. Człowiek, który przeczytawszy na Acton jeden numer danego czasopisma musi jechać na Pont Street dla zapoznania się z następnym numerem, nisko sobie stawia *polnische Wirtschaft* i tych wszystkich bohaterów narodowych, na których cześć stworzono nadmiar instytutów.

Pytaniem bardzo delikatnym jest co ma stać się trzonem, czyli instytucją centralną. W tej chwili są cztery szyldy mające charakter uniwersalny: Polski Ośrodek Naukowy, Polskie Towarzystwo Naukowe, Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Instytut Badania Zagadnień Krajowych. Główną rolę w ostatecznej eliminacji grać będzie niewątpliwie nie obiektywna analiza struktury organizacyjnej a precedens i etykieta w odniesieniu do instytucji i osób w nich działających. Instytut Badania Zagadnień Krajowych odpada z powodu zbyt niskiej rangi, a Polskie Towarzystwo Naukowe ze względu na nieaktywność. Ostateczne roz-

strzygnięcie musi być między Pol. Ośrodkiem Naukowym a Pol. Uniwersytetem na Obczyźnie. Zazwyczaj uniwersytety mają charakter nadrzędny, a instytuty podrzędny. Bardzo często pod nazwą „instytutu" kryje się po prostu wydział uniwersytetu. Za wyniesieniem Pol. Uniwersytetu na Obczyźnie przemawia fakt, że ma on pewną renomę w wielu częściach świata i jest w kontakcie z wieloma uniwersytetami, skąd również niekiedy otrzymuje doktorantów w studiach polskich; zespolenie sił polskich na tym odcinku mogłoby stworzyć poważny ośrodek naukowy do spraw polskich i postawić go wyżej od dość martwego wydziału polskiego w Szkole Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Z drugiej strony za wyborem Polskiego Ośrodka Naukowego przemawia rola Instytutu Sikorskiego, który obecnie łączy się w jedną całość z Pol. Ośrod. Naukowym (o czym poniżej). W tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem byłoby gdyby naczelna polska organizacja naukowa na emigracji miała charakter dualistyczny, a więc: Instytut polski i Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Władze Instytutu i senat Uniwersytetu byłyby tym samym ciałem; muzeum (obecny Inst. Sikorskiego) i biblioteka (połączone obecne biblioteki) byłyby częściami składowymi organizacji, a różne instytuty — jej komórkami badawczymi.

Już od r. 1960, kiedy to władze angielskie zasygnalizowały możliwość redukcji subsydiów dla instytucji polskich, rozpoczęto pewne starania, które przybliżają realizację powyższego programu. Ostatecznie (w sierpniu 1964 r.) nastąpiła faktyczna fuzja Inst. Sikorskiego i Pol. Ośrodka Naukowego; obie instytucje uchwaliły jednakowo brzmiący statut i wybrały zarządy o tym samym składzie osobowym. Formalna rejestracja połączonej instytucji pod wspólną nazwą INSTYTUTU POLSKIEGO I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO jest w toku i ukończenie jej spodziewane jest w najbliższym czasie. Uwzględniając, że Polski Ośrodek Naukowy (a obecnie: Instytut Polski) jest nominalnym powiernikiem Biblioteki Polskiej, ta nowa instytucja zyskała sobie *prestige* dawno niespotykany na emigracji i powinna stać się magnesem dla innych pokrewnych ciał o mniejszym ciężarze gatunkowym. Zrozumienie tego faktu przebija z następującej rezolucji uchwalonej w dn. 8.9.1964, przez przedstawicieli szesnastu organizacji:

„Polskie interesy narodowe wymagają konieczności połączenia polskich zbiorów i materiałów, które są w W. Brytanii, w ramach jednej instytucji w celu udostępnienia ich Polakom i innym osobom zainteresowanym sprawami polskimi". „Przedstawiciele organizacji... z radością witają połączenie obu najstarszych... instytucji polskich... popierają też połączenie zbiorów bibliotecznych w jedną bibliotekę polską...".

Poza opłakanym stylem pierwszego zdania (który jest jeszcze gorszy w angielskim oryginale) w rezolucji tej uderza to, czego w niej nie powiedziano, a więc fakt, że reprezentanci nie

chcą ani na milimetr wychylić się i zaangażować swoich instytucji w dziele zjednoczenia.

Dotychczasowa analiza zajmowała się łatwiejszą częścią zagadnienia, mianowicie częścią akademicką w dosłownym znaczeniu tego słowa. Wiele z omawianych tu instytucji istnieje tylko w teorii. Manewrowanie na papierze jednostkami tego rodzaju może być zadawalające pod względem intelektualnym, ale mało produktywne. Nawet opisana fuzja realnych instytucji dokonała się na papierze i przez długi czas musi mieć charakter papierowy, bo na razie nie ma warunków do wykonania jej w praktyce.

Przed analizą materialnych warunków nie tylko fuzji instytucji naukowych ale ich działalności w ogóle, należy przypomnieć wspomniany uprzednio fakt, że działalność naukowa jest zaledwie częścią kultury, a w konkretnie przedstawionej sytuacji jest jej częścią mniej ważną. Ważniejszą jest tu kultura w jej aspekcie masowym, *entertainment*. Nawet jeśli chce się poprawić wieżę z kości słoniowej, to trzeba mieć grunt do jej postawienia. Nauka może być ukoronowaniem szerokiej działalności społecznej. Instytut Polski musi być osadzony na fundamencie społecznym, w przeciwnym razie straci rację bytu, a raczej nigdy jej nie dostanie. Do tej pory sprawa nie była pilna, bo rząd angielski subsydiował istniejące organizacje. Istnieje szkoła myślenia, że tak będzie działo się dalej, a ogólnikowe frazesy przedstawicieli licznych organizacji mają utrzymać w administracji angielskiej chęć kontynuowania tej akcji. Myślenie to jest błędne. Frazes o „polskich interesach narodowych" brzmi zupełnie nieprzekonywująco. Po angielsku znaczy on przede wszystkim „polskie interesy państwowe" i automatycznie wywołuje reakcję, że o takie winien troszczyć się rząd w Warszawie, zresztą wszystko jedno kto, ale cała sprawa jest poza gestią rządu angielskiego. Żeby zgłaszać pretensje do rządu trzeba wykazać się interesem *społecznym*. Może to być oczywiście tzw. sekcyjny interes społeczny, a więc interes pewnej określonej grupy. Operując argumentem, że istnieje pokaźna grupa polska należy dla grupy tej stworzyć organizację społeczną. Organizacja ta powinna zająć się kulturą w najszerszym sensie: kino, teatr, szkoły, sport, własny kanał telewizyjny, wszystko co normalnie uważa się za potrzeby „zbiorowe", co automatycznie przyczyni się do uatrakcyjnienia organizacji. Stworzenie takiej organizacji wymaga oczywiście wielkich środków, zarówno kapitałowych jak i bieżących. W tym momencie więcej światła należy rzucić na instytucje do tej pory stojące w cieniu, które mają możliwości w tym kierunku. Jak wspomniano powyżej na początku polskiego życia w Anglii były fundusze rządowe, które potem znalazły się w rękach prywatnych (Uwaga definicyjna: pieniądze w posiadaniu spółki, trustu itd. należy traktować jako będące w rękach prywatnych, bo sama spółka, trust i td. jest własnością osób prywatnych; jedynym prawdziwym zabezpieczeniem funduszu jest zarejestrowanie go w ramach specjalnej „organizacji opiekuńczej"). Część

tych funduszów przetrwała do naszych czasów (por. artykuły Cz. Dobka w Nrach 199-202 „Kultury"). Przetrwały też pieniądze zainwestowane bezpośrednio w „kulturę", mianowicie majątek Instytutu Sikorskiego i Polskiego Ośrodka Naukowego. Należy tu dodać trzecią instytucję, działającą pod nazwą Polish University College Association Limted (w skrócie PUCAL). Początkowo instytucja ta miała charakter gospodarza polskiego college'u uniwersyteckiego, utrzymywanego przez angielskie ministerstwo oświaty. Po likwidacji college'u pozostały domy, które PUCAL przeznaczył na wynajęcie, a dochód z tego źródła — na utrzymanie siedziby Biblioteki Polskiej i drobną pomoc dla różnych instytucji naukowych. Widać duży paralelizm w działaniu Instytutu Sikorskiego, Pol. Ośrodka Naukowego i PUCALu: każda z tych instytucji ma dochód z wynajmu domów i dochód ten przeznacza na pewną akcję kulturalną. W dodatku PUCAL pomaga bibliotece polskiej, która nominalnie jest częścią Pol. Ośrodka Naukowego, a więc jest tu nie tylko analogia ale i symbioza. Mimo tych oczywistych zbieżności PUCAL nie partycypuje w akcie jednoczenia, jakim jest tworzenie Instytutu Polskiego. Przyczyną tego jest dość zasadnicza różnica ogólnej koncepcji działania. Twórcy Instytutu Polskiego myślą w terminach ekskluzywnej z natury instytucji naukowej; PUCAL pojmuje kulturę w sposób szeroki i pragnie oprzeć ją na gruncie społecznym. Oba punkty widzenia były teoretycznie przeanalizowane powyżej, a wnioski z tej analizy przemawiały na korzyść koncepcji społecznej.

Od roku PUCAL prowadzi energiczną akcję realizowania swej koncepcji przy pomocy organizacji pod nazwą Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny. Jej ostatecznym celem jest stworzenie domu polskiego posiadającego m.in.:

a) pomieszczenia społeczno-klubowe: 5 sal zebrań, biura, hotel, teatr, restaurację z kawiarnią i barem, sale wystawowe;

b) pomieszczenia kulturalno-naukowe: 5 sal odczytowych, biura, bibliotekę;

c) ośrodek młodzieżowy.

Powyższy opis przedstawiony jest na podstawie broszury „Pierwsze Prace Ośrodka" wydanej przez Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w lutym 1965 r. W projekcie Ośrodka można krytykować pewne szczegóły, ale myśl przewodnia projektu jest poza krytyką. Ważne jest, że projekt apeluje do wyobraźni, a uczciwe postawienie sprawy finansowej nie może pozostać bez wpływu na społeczeństwo. Tzw. „kryzys zaufania" na tle gospodarki majątkiem publicznym był do tej pory główną przeszkodą wszelkich akcji społecznych. Oddanie poważnego majątku PUCALu pod kontrolę społeczną może być pierwszym krokiem do zlikwidowania kryzysu. (Uwaga definicyjna: „kontrola" znaczy w czystej polszczyźnie „sprawdzanie"; tu słowo to używane jest w sensie angielskim jako „dyspozycja"; nie chodzi mianowicie o to, by społeczeństwo mogło sobie obejrzeć jakiś bilans, ale by miało możliwość decydowania o sposobie wydawania pieniędzy). Według statutu Ośrodka społeczeństwo efektywnie partycypuje w zarządzaniu Ośrodkiem poprzez walne zebranie. Każdy członek, tzn. osoba która wykupiła „cegiełkę" fundacyjną ma jeden głos.

Ogólnie biorąc idea Ośrodka chwyciła wśród organizacji londyńskich. W ciągu roku (luty 1964-luty 1965) do Ośrodka przystąpiły 24 organizacje. W większości wypadków przystąpienie to miało charakter obserwacyjny, tzn. organizacje członkowskie wykupiły po jednej cegiełce (£ 10). Charakterystycznym wyjątkiem jest Stowarzyszenie Saperów, które przekazało cały posiadany przez siebie majątek (£ 1000); może to być przykładem dla wielu innych małych organizacji, które nie mają szans na stworzenie czegoś indywidualnie. PUCAL zadeklarował całość swego majątku, a szereg innych organizacji zrobiłoby przypuszczalnie to samo, gdyby zaistniały praktyczne możliwości działania. Do tego jeszcze daleko: projekt Ośrodka wymaga ok. £350.000, a PUCAL dysponuje siedemdziesięcioma tysiącami. Uwzględniając środki organizacji członkowskich posiadana suma nie przekracza 1/3 kosztorysu.

Następnym krokiem powinno być przystąpienie Instytutu Polskiego do Ośrodka. Logicznie Instytut jest predystynowany, aby być głównym użytkownikiem projektowanego domu, a więc być w stanie do którego w tej chwili bezskutecznie dąży, mianowicie w stanie faktycznego zjednoczenia. Obecnie Instytut nie dysponuje ani domem, który mógłby pomieścić całość organizacji, ani środkami na wykonanie przeprowadzki. Co więcej, duża część jego zbiorów tj. Biblioteka Polska jest na terenie Ośrodka i zależy od pomocy Ośrodka. Wiele działających tu osób jest zdania, że właściwie wszystko jest na najlepszej drodze: Instytut łączy organizacje naukowe, Ośrodek przygotowuje grunt społeczny, obie akcje są równoległe i z czasem doprowadzą do sytuacji, w której będzie można wszcząć kroki do zbliżenia obu organizacji. Po szczegółowym zapoznaniu się z istniejącym stanem rzeczy zdanie to trzeba uznać za błędne. Złączenie powinno nastąpić natychmiast jeśli ma odnieść maksimum skutku. Tego rodzaju dramatyczne kroki potrzebne są dla stworzenia klimatu sprzyjającego łączeniu się. Połączone organizacje mogłyby już w tej chwili przystąpić do realizowania projektu Ośrodka. Zrealizowanie tego projektu teraz pociągnęłoby środki, które wkrótce nie będą już istniały. Klasycznym przykładem jest np. „Ognisko", które obecnie jest jeszcze warte kilka tysięcy funtów, ale za kilka lat zniknie z powierzchni ziemi. Gdyby Ośrodek powstał teraz to przypuszczalnie Ognisko — jako że powstało z funduszów społecznych — przyłączyłoby się do Ośrodka. Już teraz zarysowuje się impas. Im dłużej on potrwa tym gorzej. Instytut będzie powoli tracił środki, a Ośrodek wpływ na społeczeństwo i początkowy impet.

Warto zauważyć, że majątek Instytutu jest mniej więcej taki sam jak majątek Ośrodka. Można więc postawić pytanie, kto do kogo ma się przyłączyć. Z uwagi na to, że obie instytucje mają ten sam charakter prawny, możliwe jest przystąpienie w każdą stro-

nę. Czynnikiem decydującym powinien być jednak charakter faktyczny, czyli zakres działalności. Instytut jest pod tym względem bardziej ograniczony. Nie tylko nie działa on dla szerokich rzesz, ale nie pozwala ogółowi społeczeństwa na wsparcie jego działalności. Trudno bowiem, aby każdy rzemieślnik, robotnik, sklepikarz, dający składkę na Instytut stawał się jego członkiem. Prestige instytucji naukowej nie pozwala na to. Z drugiej strony trzeba, aby instytucje polskie przyjęły zasadę, że społeczeństwo nie da środków bez kontroli. Potrzeba więc organizacji powszechnej, jaką może być Ośrodek, i organizacji reprezentującej czystą kulturę, jaką już jest Instytut. Ośrodek występowałby jako gospodarz i dostarczał środków, Instytut byłby głównym lokatorem i wydatkownikiem.

Perspektywy finansowe tak pojętej organizacji nie wyglądają źle. Już w tej chwili Ośrodek i Instytut dysponują kapitałem wystarczającym na pokrycie ok. 2/3 całości kosztów zamierzenia. Ale skoordynowanie akcji na płaszczyźnie społecznej mogłoby znacznie obniżyć koszty. Mianowicie można by wtedy starać się np. o teren pod budowę, bądź o lokal od państwa *(crown lease)* za cenę niższą od rynkowej. Instytut i Ośrodek nie wyczerpują zresztą polskiego stanu posiadania w Londynie.

Specjalną kategorię stanowią organizacje eks-kombatanckie. Na ogół trzymają się one z dala, gdyż mają one do wykonania własne cele natury charytatywno-samopomocowej. Argument ten jest słuszny z tym, że należy go stosować w odniesieniu do zmienionej sytuacji. Wydaje się np., że sieroty po żołnierzach, którzy zginęli w okresie 1939-45 zdążyły się już odchować i w związku z tym odpowiedni punkt można by skreślić ze statutu wielu instytucji. Ogólnie biorąc, organizacje te powinny zanalizować potrzeby swych członków w ramach państwa opiekuńczego. Możliwe, że potrzeby te należą do kategorii takich, które najlepiej zaspokoić może żywotny ośrodek polski. Warto tu przypomnieć bibliotekę i salę na zebrania prowadzone przez SPK i Lotników. Jeszcze charakterystyczniejsze jest to, że Związek Marynarzy nie wie co zrobić z posiadanym kapitałem. Nie wchodząc w szczegóły statutowych celów tych organizacji, można przyjąć jedną zasadę: jeśli chodzi o prowadzenie działalności kulturalnej, to organizacje kombatanckie nie mogłyby postąpić lepiej, niż przekazać odpowiednie sumy do wspólnej dyspozycji Ośrodka. To samo można zastosować do budynków biurowych: jeśli organizacja ma budynek nie dla celów zarobkowych, a tylko dla prowadzenia własnych biur, to lepiej kapitał zamrożony w takim budynku przyłączyć do kapitału Ośrodka w zamian za odpowiednią przestrzeń biurową w Ośrodku.

W zakresie środków bieżących można wydzielić trzy źródła dochodu:

1) Wpływy z działalności klubowej. Na przykładzie obecnego „Ogniska" widać, ile można uzyskać w tej dziedzinie. Ośrodek miałby dodatkowe dochody z hotelu, natomiast miałby pewne ulgi po stronie wydatków (opłaty miejskie, podatki).

2) Subsydium rządowe. Odnośne instancje często dawały do zrozumienia, że subsydium będzie przydzielone, jeśli znajdzie się czynnik społeczny, który potrzebuje zamierzonej działalności, a potrzebę swą manifestuje własnym udziałem w pokrywaniu kosztów. Istnienie Ośrodka spełniałoby ten warunek.

3) Zyski z inwestycji. Wpłynęłyby one gdyby kapitał organizacji był większy niż koszt stworzenia Ośrodka. Wbrew panującemu pesymizmowi jest to możliwe przy szeroko zakrojonej akcji propagandowej.

Ważne jest aby koszty bieżące utrzymane były na rozsądnym poziomie. Można tu znów wykorzystać potencjał społeczny, który do tej pory był ignorowany. Istniejące organizacje zwracały się po prostu o pieniądze, co nie spotykało się z wielkim entuzjazmem społeczeństwa. Organizacja społeczna powinna powiedzieć: „Potrzebujemy dyżurnych, sekretarzy i td. — szukamy wolontariuszów". Takich spraw jest wiele.

Wnioski ogólne są następujące:

1) Polacy w Anglii posiadają wystarczający potencjał biologiczny i kapitałowy, aby posiadać własną organizację, która działałaby w sposób odpowiadający wymogom nowoczesnego zaawansowanego społeczeństwa i utrzymała w ramach tego społeczeństwa kulturę polską. Czy potrafią tego rodzaju akcję zbiorową przeprowadzić zależeć będzie wyłącznie od ich potencjału cywilizacyjnego.

2) W dziedzinie praktycznej konieczne jest stworzenie widomego symbolu polskości w W. Brytanii na miejsce wielu przeżytych symboli okresu wcześniejszego. Zrozumienie tej potrzeby i sposób jej zaspokojenia zawiera projekt Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Jest to placówka gospodarcza, przygotowująca grunt dla działalności kulturalnej. Wskazane jest aby w akcji tej uczestniczyły wszystkie organizacje polskie, a przede wszystkim aby Instytut Polski podchodził do niej nie jako konkurent, a jako uczestnik i główny użytkownik.

Bohdan BRODZIŃSKI

Zbiory Peggy Guggenheim

Tate Gallery w Londynie gości w tej chwili jeden z najgłośniejszych zbiorów sztuki nowoczesnej na świecie — kolekcję Peggy Guggenheim z Palazzo Venier dei Leoni w Wenecji.

Peggy Guggenheim jest sama legendarną postacią i odgrywa doniosłą rolę jako nieoficjalny arbiter w sztukach plastycznych. Może „zrobić" każdego malarza czy rzeźbiarza, zakupując jego

prace do swoich zbiorów, których historia jest równie interesująca jak dramatyczna.

Zaczęło się to wszystko skromnie. W roku 1938-ym Peggy Guggenheim otworzyła na Cork Street w Londynie galerię sztuki p.n. „Guggenheim Jeune". Jak sama przyznaje, jej zainteresowanie malarstwem kończyło się wówczas na impresjonistach i dlatego musiała całkowicie polegać, jeśli idzie o sztukę nowoczesną, na opinii swego starego przyjaciela Marcel Duchamp'a, który przedstawił jej różnych paryskich malarzy i rzeźbiarzy takich jak Brancusi, Cocteau, Tanguy, Arp, Max Ernst, Picasso, Braque, Miro, Laurens, Villon i wielu innych. Prace ich galeria Guggenheim Jeune wystawiała w Londynie po raz pierwszy. Niestety Peggy natrafiła na wielkie trudności w lansowaniu paryskich artystów na terenie bardzo konserwatywnej podówczas Anglii. Będąc osobą bogatą zaczęła więc sama kupować ich prace, niejako na pocieszenie, że w Londynie nie zrobili majątku. Tak rozpoczęły się jej zbiory.

Wkrótce galeria okazała się zbyt deficytowa, toteż po półtora roku pracy Peggy postanowiła ją zamknąć. Ale bakcyl zbieracza już ją zatruł: zaczęła marzyć o zorganizowaniu muzeum sztuki nowoczesnej. Pochłonięta przygotowaniami Peggy nie zauważyła, że oto wybuchła druga wojna światowa. Była wówczas w Paryżu starając się wypożyczyć obrazy do projektowanego muzeum podług listy sporządzonej w Londynie przez znanego angielskiego estetę i pisarza Herberta Reida, który miał być jego dyrektorem. Kierując się tą listą, uzupełnioną jeszcze w Paryżu przez Marcel Duchamp'a, Peggy rozegrała genialnie najważniejszą batalię swego życia. Kiedy bomby niemieckie padały na Warszawę, a w Paryżu zapanował popłoch, odważna Amerykanka postanowiła nie zawracać sobie głowy pożyczaniem obrazów. Po prostu wszystkie zakupiła.

Paryż oczekiwał lada chwila niemieckiej inwazji. Każdy tylko marzył, żeby coś sprzedać i zmykać gdzie pieprz rośnie. Jak sama powiada, kupowała co najmniej jeden obraz lub rzeźbę dziennie. Był to najlepszy interes jaki kiedykolwiek zrobiła, bo to co wówczas nabyła za bezcen, warte jest dzisiaj miliony. W Paryżu od razu rozeszła się wiadomość o pobycie zwariowanej Amerykanki, która „kupuje". Telefon jej dzwonił przez cały dzień bez przerwy. Przynoszono jej obrazy rano do łóżka zanim zdążyła zjeść śniadanie. Potem chodziła po pracowniach i galeriach, i wkrótce znalazła się w posiadaniu znacznego zbioru obrazów i rzeźb.

Uświadomiwszy sobie, że niebawem będzie musiała schować swoje skarby przed Niemcami, Peggy Guggenheim zwróciła się do Louvre'u, aby przydzielił jej jakąś skrytkę na wsi — ale Louvre pomimo interwencji samego Léger'a — odmówił. Trzeba było szukać innego rozwiązania. Peggy namówiła swą przyjaciółkę Marię Jolas, która miała zamek koło Vichy, aby schowała jej zbiory w stodole. Niemcy przyszli, ale nie zauważyli ukrytych w słomie skrzyń. Zbiory nie mogły tam jednak pozostać.

Peggy Guggenheim opuściła Paryż na dwa dni przed wkroczeniem Niemców, udając się do Annecy, dokąd chciała sprowadzić skrzynie ze swymi skarbami. Ale w ogólnej dezorganizacji skrzynie przez trzy tygodnie błąkały się po różnych bocznicach w otwartym wagonie kolejowym. Peggy odnalazła je wreszcie cudem — nie wiedziała jednak co z nimi zrobić. W końcu dyrektor muzeum w Grenoble zdecydował się dać im schronienie, a nawet chciał je wystawić, ale bał się Pétain'a, który, podobnie jak Hitler — był wrogiem sztuki awangardowej.

Tymczasem Peggy Guggenheim czuła, że jako Żydówka nie może dłużej ryzykować pozostawania we Francji i musi wracać do Ameryki. Ale nie chciała jechać bez swoich zbiorów. W końcu zaprzyjaźniony agent firmy żeglugowej podjął się zabrać je z Grenoble i wysłać do Stanów Zjednoczonych razem ze starymi gratami, rondlami i kocami jako „sprzęty domowe".

Podstęp się udał i zbiór został uratowany. Teraz trzeba było znaleźć dla niego miejsce w Stanach. Był to rok 1941-y. Po bezowocnych próbach w innych miastach, Peggy Guggenheim osiedliła się w Nowym Jorku, gdzie otworzyła własną galerię pod nazwą „Art of This Century". W galerii tej umieściła swoje zbiory i urządzała wystawy wielu malarzom i rzeźbiarzom europejskim, którzy schronili się do Ameryki na czas wojny, takim jak Mondrian, Duchamp, Lipchitz, Matta, Ernst, Chagall, Léger, André Masson, Ozenfant itd.

Wpływ tych malarzy na środowisko amerykańskie był ogromny i dlatego można dziś twierdzić, że działalność Peggy Guggenheim w Nowym Jorku miała znaczenie historyczne. Były to narodziny nowoczesnego malarstwa amerykańskiego. Galeria „Art of This Century" urządzała doroczny Salon Wiosenny i tą drogą odkryła prawie wszystkich najzdolniejszych malarzy amerykańskich — Pollocka, Motherwella, Baziotesa, Rothko, Alfreda Gottlieba i innych, których potem umiejętnie lansowała. Płacili oni przeważnie obrazami i zbiór Peggy rósł ciągle. Sama przyznaje, że stała się „art addict", o czym zresztą napisała książkę pod tym tytułem — a już niewątpliwie była jednym z najważniejszych amerykańskich „marchandów" podczas wojny.

Ale kiedy wojna się skończyła niespokojny duch kazał jej porzucić galerię i Nowy Jork, którego miała już dosyć. Wróciła do Europy gdzie spędziła 20 lat młodości. Po pewnym czasie udało się jej kupić 18-to-wieczny pałac na Canale Grande w Wenecji. Tam osiedliła się na dobre i tam umieściła swe zbiory.

Palazzo Venier dei Leoni stał się wreszcie tym wymarzonym muzeum sztuki nowoczesnej, o którym od czasów przedwojennych Peggy zawsze myślała.

W roku 1948-ym zaproszono ją do udziału w Biennale, oddając jej do rozporządzenia pusty z powodu wojny w Grecji, grecki pawilon. Wystawienie tych ogromnych już podówczas zbiorów na Biennale, dało początek jej międzynarodowej sławie. Było to również oficjalne uznanie Peggy Guggenheim jako udzielnego

mocarstwa. Prezydent Włoch złożył jej wizytę w dniu otwarcia wystawy.

Ten to słynny zbiór mamy okazję obecnie oglądać w Londynie. Jakież nasuwają się nam refleksje? Przede wszystkim ogólna, ale najważniejsza, że nic się tak szybko nie starzeje jak tak zwana awangarda. Wystawa w Tate Gallery obejmuje okres, który śmiało można nazwać heroicznym w historii sztuki europejskiej. Ale co z niego pozostało *dla nas*, co nas dzisiaj wzrusza i interesuje jako *żywa* sztuka? Bardzo mało. Peggy zbierała to, co było najbardziej nowoczesne, eksperymentalne, modne... Ale mody to niebezpieczna sprawa. Tylko takie dzieła sztuki i literatury są zawsze aktualne, które nie liczą się z panującą w danym okresie modą. Tylko takie dzieła sztuki nie przestają nas nigdy fascynować, które są niejako poza czasem, które zajmują się sprawami nieprzemijającymi, pasjami niezmiennymi, odwiecznymi gestami człowieka wymownymi dla każdej epoki.

Peggy Guggenheim miała szczególne nabożeństwo do surrealizmu i dadaizmu. Niestety prace Maxa Ernsta, Salvadora Dali, Chirico, Miro, Paul Delvaux, Magritte'a i innych z tego okresu, a zwłaszcza ich syntetyczna technika sennej mary, wydają się dzisiaj krępującym anachronizmem. To samo w pewnej mierze można powiedzieć o niektórych rzeźbach Arpa. Dużo bardziej aktualny dla nas jest Mondrian i Malewicz. Obrazy Jackson Pollocka, który był gwiazdą Peggy Guggenheim za czasów jej galerii w Nowym Jorku, wyglądają trochę jak powiększone arkusze introligatorskiego papieru, jakim nasi ojcowie lubili wyklejać wewnętrzną stronę okładek swych książek. Wbrew jego zamierzeniom — obrazy te są po prostu smaczne. Zbiorów nie ratuje seria wczesnych obrazów kubistycznych Marcel Duchamp'a, Marcussis'a, Gris'a, Léger'a, Gleises'a, czy Metzinger'a, które są przeważnie pozbawione koloru i zbyt pedantyczne, żeby nas dzisiaj wzruszać.

Ale Brancusi ze swą bryłą precyzyjną i wyczutą do ostatnich granic, trzyma się ciągle siłą swej uniwersalnej doskonałości. Trzyma się także Picasso. Jego forma niepokojąca i potężna, zawsze ma nam coś nowego do powiedzenia. Braque trzyma się nie gorzej dzięki swej nieprzemijającej malarskości...

Na szczęście Peggy Guggenheim nie uznaje *Pop-Art* i sztuki kinetycznej ostatnich lat, która wskutek tego nie jest reprezentowana w jej zbiorach — toteż oszczędzono nam domysłów jak ta awangarda naszego dziesięciolecia będzie oceniana za lat 30 — ile po niej zostanie jako trwały dorobek naszego stulecia, a ile pokryje się nostalgicznym kurzem dnia wczorajszego, jak większość obrazów, które dziś mamy okazję oglądać w Tate Gallery.

Marek ŻUŁAWSKI

Komunikaty

NAGRODY FUNDACJI IM. ALFREDA JURZYKOWSKIEGO

Celem uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego, Fundacja Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku przeznaczyła $ 10.000 na nagrody za wyróżniające się osiągnięcia twórcze w dziedzinie nauki, literatury i sztuki w latach 1963-64 dla Polaków, bądź osób polskiego pochodzenia, niezależnie od ich obywatelstwa i miejsca zamieszkania. Przyznanie tych nagród zostało powierzone Polskiemu Instytutowi Naukowemu w Ameryce.

Instytut podaje do wiadomości publicznej, że następujące osoby otrzymały Nagrody im. Jurzykowskiego za rok 1964 w wysokości $ 1.000:

Profesor Dr STANISŁAW PIGOŃ, emer. kierownik katedry literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, senior polskich historyków literatury, za krytyczne wydanie dzieł Aleksandra Fredry;

Dr MARIA OSSOWSKA, profesor historii teorii moralności na Uniwersytecie Warszawskim, autorka dzieł z zakresu etyki i semantyki, za książkę „Socjologia Moralności";

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI w Neapolu, powieściopisarz i eseista, za książkę „Drugie przyjście";

SŁAWOMIR MROŻEK w Warszawie, autor dramatyczny, za sztuki teatralne z lat 1963/64;

PAWEŁ HOSTOWIEC w Bernie Szwajcarskim, eseista i publicysta;

ROMAN PALESTER w Monachium, kompozytor, za operę „Śmierć Don Juana" i inne prace z lat 1963/64 oraz

KRYSTYNA SADOWSKA, rzeźbiarka w Toronto.

Nagroda z zakresu sztuki filmowej nie została przyznana. W zamian jej drugą nagrodę (w tej samej wysokości) z zakresu literatury otrzymał:

ZBIGNIEW HERBERT, poeta w Warszawie.

Specjalną nagrodę w wysokości $ 2.000, przyznawaną za zasługi twórcze całego życia, otrzymał:

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI, obecnie w Rzymie, b. członek Polskiej Akademii Literatury, laureat złotego medalu za poezje na Olimpiadzie w Amsterdamie (1928), autor dwudziestu tomów poezji, w związku z przypadłym w r. 1964 pięćdziesięcioleciem jego twórczości.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU LITERACKIEGO IM. C. STRASZEWICZA

Jury Konkursu Literackiego im. Czesława Straszewicza w składzie: Tadeusz Nowakowski, Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński, Aleksandra Stypułkowska i Tymon Terlecki — postanowiło: pierwszej nagrody

nie przyznać i ogólną kwotę w wys. 300 dol. podzielić w sposób następujący: nagrodę w wys. 100 dol. przyznać opowiadaniu *„Niebo wyżej"* — godło „P.V.2"; dwie równorzędne nagrody w wys. 60 dol. każdą — opowiadaniom: *„Bal Olimpijski"* — godło „Firbank", i *„Pożegnanie"* — godło „Vidi"; dwie równorzędne nagrody w wys. 40 dol. każdą — opowiadaniom: *„Woda w fiordzie jest słona"* — godło „Junosza", oraz *„Zaślubiny"* — godło „Łódź".

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami odznaczonych nowel są: *„Niebo wyżej"* — Jan Beliwar, *„Bal Olimpijski"* — Andrzej Chciuk, Australia, *„Pożegnanie"* — Michał Chmielowiec, Anglia, *„Woda w fiordzie jest słona"* — Wiesław E. Bieliński, Stany Zjednoczone, i *„Zaślubiny"* — Jan Niezabudek.

Poza tym wyróżniono następujące opowiadania:
„Ręce" — Klary Evans, Anglia, *„Kugel Erlass"* — Stanisława Gostkowskiego, Afryka, *„Seria znaczków pocztowych"* — Teodozyi Lisiewicz, Anglia, *„Preludium do Apokalipsy"* — Mieczysława Lurczyńskiego, Francja, *„Jutro jest dziś"* — Grażyny Marianowskiej, Stany Zjednoczone, *„Brzeska ulica"* — Mariana Ośniałowskiego, Francja, *„Majsterski honor"* — Bolesława Pomiana-Piątkowskiego, Kanada, *„Cześć pracy"* — Aleksandra Porembińskiego, Brazylia, *„Adampol 1954"* — godło „Rakapoczi", i *„Foster Avenue"* — Barbary Szubskiej, Stany Zjednoczone. Nazwiska autorów, którzy występują pod pseudonimami czy tylko godłami, znane są członkom Jury.

WYNIKI KONKURSU IM. ZYGMUNTA NOWAKOWSKIEGO NA SZTUKĘ TEATRALNĄ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Jury Konkursu im. Zygmunta Nowakowskiego, rozpisanego przez Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom w Londynie, na sztukę teatralną dla dzieci i młodzieży, na posiedzeniu odbytym w dniu 17 grudnia 1964 r. rozpatrzyło wszystkie zgłoszone do Konkursu sztuki w ogólnej ilości 14 prac (jedna praca została wycofana przez autora przed posiedzeniem Jury).

Jury postanowiło przyznać:

I (pierwszą) nagrodę w wysokości £ 100.-.- p. Marcie RESZCZYŃSKIEJ-STYPIŃSKIEJ, zamieszkałej w Londynie, za dwie jej sztuki, zgłoszone pod dwoma różnymi godłami, mianowicie: za sztukę pt. „O Jaśku-Szewczyku, o Bazyliszku i o Małgosi Burmistrzance" (godło „Wagabunda") oraz za sztukę pt. „Czarodziejskie Gęśliki" (godło „Janosik");

II (drugą) nagrodę w wysokości £ 60.-.- p. Jadwidze OTWINOWSKIEJ, zamieszkałej w Londynie, za sztukę pt. „Opowieść krakowskich gołębi" (godło „Echo");

III (trzecią) nagrodę w wysokości £ 40.-.- p. Alinie KACZMARSKIEJ, zamieszkałej w Birmingham, za sztukę pt. „Złota Kaczka" (godło „Pawie Pióro");

IV (czwartą) nagrodę w wysokości £ 25.-.-, ufundowaną dodatkowo przez Zarząd Komitetu Obywatelskiego, p. Barbarze PAKULSKIEJ, zamieszkałej w Brukseli, za sztukę pt. „Dziwne Przygody Ogródka" (godło „Okulary").

Nowość

Tom XCIX BIBLIOTEKI «KULTURY»

JUŻ UKAZAŁY SIĘ WSZYSTKIE TRZY TOMY
PAMIĘTNIKÓW

WINCENTEGO WITOSA

PT.

MOJE WSPOMNIENIA

Tom I zawiera 360 stron; Tom II 440 stron; Tom III wraz z Diariuszem, Indeksem Nazwisk i Wykazem Subskrybentów — 528 stron.

PAMIĘTNIKI MOŻNA NABYWAĆ JEDYNIE W CAŁOŚCI

Cena 3-ch tomów: F 87 (dol. USA 18,00; dol. kan. 20,00; £ 6.10.00)

Sprawy i troski

Polacy w Argentynie (3)

Różne problemy i troski.

Krzywa nasilenia dynamiki działalności Polonii argentyńskiej jest bardzo nieregularnie łamana. Ma swoje punkty szczytowe i swoje niże.

Typowym rokiem dla gwałtownego wyskoku był rok 1958. Trudno tutaj zanalizować wszystkie przyczyny, które się na to złożyły. Może było to wynikiem dopiero co przeżytego przez nas wszystkich polskiego października, nadziei z nim związanych, poruszeń umysłów, walk między niezłomnymi i kredytowcami; może był to jesienny nawrót do wiosennego słońca starzejącej się imigracji; może jakieś ponadrozumowe przyczyny, które powodują takie czy inne cykle historii — nie wiem. Nie ulega jednak wątpliwości, że trzeba oddać sprawiedliwość ludziom, którzy dodatkowo tej wzmożoności dodali własnej energii. Niesposób jest pominąć inż. Jezierskiego.

Zaczęło się od spraw materialnych. Komisja gospodarcza, której poważnym członkiem był inż. Jezierski, po skrupulatnym badaniu stanu materialnego Związku, zwróciła się do ogółu społeczeństwa z prostym stwierdzeniem: bankrutujemy, rodacy, dajcie pieniądze, bo będziemy musieli w ogóle zrezygnować z naszego życia zbiorowo-organizacyjnego. I apel poskutkował, wstrząsnął kieszeniami rodaków tak mocno jak tylko było można, a może nawet ciut-ciut więcej.

Wybrany potem prezesem Związku Polaków przez czas swego urzędowania spowodował —

założenie komisji studiów i powierzenie jej szeregu problemów do drobiazgowego przemyślenia;

odkołtunienie — w pewnym stopniu — „Głosu Polskiego", który przez jakiś czas wyglądał po ludzku;

wypracowanie znośnego dla wszystkich kompromisu złomno-niezłomnego czyli złagodzenie zacietrzewienia antagonizmów;

natchnienie dodatkowym entuzjazmem przybudówek polonizacyjnych Związku Polaków.

Komisja Studiów.

Była ona tworem inż. Jezierskiego i dobrze spełniła swe zadanie. Zaproszono do niej członków Związku Polaków o różnych poglądach i nastawieniu z zadaniem pomagania zarządowi w rozwiązywaniu problemów, w miarę jak mu się nasuwały. Nie było to ciało decydujące a tylko i wyłącznie opiniodawcze. Zarząd mógł ale nie musiał stosować się do jej zdania. Na skutek doboru ludzi o szerokim wachlarzu zapatrywań, jeśli opinie wychodziły uzgodnione, musiały być kompromisowe, co znowu mocno złagodziło atmosferę. Jednym z pierwszych zadań tej komisji było zredagowanie deklaracji ideowej Związku. Do tej pory redagowało się ją w ten sposób, że każdorazowy sejmik wybierał komisję redakcyjną, która w przyśpieszonym tempie (czas trwania sejmiku — 2 dni), a więc na kolanie, poganiana gorączką sprzecznych poglądów, redagowała twory poronione, nie dogadzające nikomu.

Komisja Studiów pracowała nad tym zagadnieniem kilka miesięcy. Projekt Komisji, uchwalony później przez sejmik z drobnymi tylko zmianami, był także krytykowany przez niektóre koła, ale krytyki te pozbawione były zjadliwości, bo — jak to już powiedziałem — projekt był znośnym kompromisem.

Doroczny sejmik w roku 1958 powziął uchwałę, którą polecił Zarządowi rozpoczęcie kroków w kierunku zwołania ogólno polonijnego — w skali światowej — kongresu. Zarząd z kolei przekazał tę sprawę Komisji Studiów do przemyślenia i przepracowania. Inicjatywa całej akcji wyszła od Polonii kanadyjskiej, a na naszym terenie spotkała się ze zrozumieniem. Chodziło — i wciąż, niestety, chodzi — o nieśmiertelne zjednoczenie, czy też o stworzenie jakiegoś prawdziwie reprezentacyjnego ośrodka centralnego emigracji polskiej. Komisja studiów, mając na warsztacie zagadnienia mniej ważne co prawda, ale pilniejsze, opracowanie odpowiedzi na list kanadyjski odkładała z tygodnia na tydzień, aby w końcu w ogóle odłożyć sprawę w nieskończoność. Owszem — debatowała przez jakiś czas, projektowała wysłać zaproszenia przede wszystkim do krajów Ameryki Łacińskiej z projektem zwołania ich kongresu regionalnego, aby z czasem poprzez inne kongresy regionalne doprowadzić do kongresu w skali światowej. Niestety, gdy zabrakło impulsu centralnego w postaci energicznego prezesa (inż. Jezierskiego) tak projekt ten jak i cała z nim Komisja Studiów rozleciały się.

Polaco — Polonés.

„Przed dobrymi kilku laty byliśmy z żoną na pewnym przyjęciu. Towarzystwo było międzynarodowe: Anglicy, Amerykanie, Argentyńczycy, Francuzi. Rozmowy prowadzone były w różnych językach. W pewnej chwili nieskazitelnie elegancki pan zwraca się do mojej żony po hiszpańsku:

— *Y Vd, senora? de que nacionalidad es?*

— *Polaca* — odpowiada.

— *Polonesa* — koryguje gentleman.

Ciemne plamy wystąpiły mi na policzkach. Subtelność była oczywista. W towarzystwie jest miejsce dla *Polonesa*, a nie ma go dla *Polaca*. Są zdarzenia, rozmowy, słowa, które zapadają w duszę głęboko i pozostają na zawsze i tkwią jak cierń. Narodzie Piastów, narodzie Jagiellonów, Sobieskich, Kościuszków, Mickiewiczów, Trauguttów, Piłsudskich, Kopernika i Skłodowskiej Marii — coś z siebie zrobił?"

Ustęp powyższy jest wyjęty z artykułu inż. Jezierskiego opublikowanego w „Kurierze Polskim" w dniu 19.IV.1962. Wspomniałem już na początku tej pracy dlaczego słowo *Polaco*, a szczególnie jego rodzaj żeński *Polaca* jest taki trudny do strawienia dla „towarzystwa", ale i nie tylko dla niego. Znam osobiście wypadki, gdy dziewczęta — córki starych i dobrych Polaków — aby nie usłyszeć przykrego dla nich nazwania *Polaca* odmawiały rozmawiania po polsku nawet w domu chowały się z daleka przed nami, aby nie odpowiedzieć na nasze „dzień dobry" po polsku.

Zdawałoby się, że jest jedna tylko droga, aby przywrócić godność należną temu słowu, droga wymagająca czasu i cierpliwości — prostować, odważnie przyznawać się, wyjaśniać. Niestety — naród Piastów, Jagiellonów i innych królów, bohaterów, wieszczów i uczonych z artykułu inż. Jezierskiego wydobył inny sposób — łatwiejszy. Przechrzcić się po prostu na Polonesów. I nie tylko w swych „towarzystwach" sugerowali i forsowali używanie tego słowa. Oto w pewnym momencie został postawiony publicznie w „Głosie Polskim" projekt, aby wystąpić do władz argentyńskich o uznanie słowa *Polaco* za obraźliwe. Podobno tego rodzaju dekret wydał rząd brazylijski.

Nie jest tu miejsce rozwodzić się nad wszystkimi konsekwencjami jakie sprowadziłaby za sobą realizacja tego projektu. Jedno jest zupełnie pewne — imigracyjna szlachta *Polonesów* przyśpieszyłaby tym zargentynizowanie i zapominanie o kraju pochodzenia licznej rzeszy *Polacos*. I dlatego na publicznie postawiony projekt odpowiedziałem publicznie w „Kurierze Polskim", po czym na ten temat ucichło. Pozostało tylko trochę dąsów osobistych ze strony niektórych zaprzysięgłych *Polonesów* i drobne złośliwostki, co im można i należy wybaczyć.

Na zakończenie tego tematu należałoby po krótce wyjaśnić różnicę pomiędzy tymi dwoma słowami według oficjalnego słownika hiszpańskiego. Odpowiednikiem hiszpańskim słowa Polak (lka) jest Polaco (a), natomiast Polonés (a) jest przede wszystkim przymiotnikiem. Słownik jednak dodaje, że można tego drugiego słowa używać jako rzeczownika dla określenia narodowości osoby, tak jak można używać *polaco* jako przymiotnika.

Prasa.

Gdyśmy przybyli tutaj, my, z „nowej polityczno-niepodległościowej imigracji", zastaliśmy tygodnik „Głos Polski" jako jedyne pismo. Język „Głosu Polskiego" nie był na bardzo wybitnym poziomie, a wyglądał on jak prowincjonalne pisemko z Pipidówki. Silny zastrzyk nowoprzybyłej inteligencji, w której znajdowało się wielu dziennikarzy z prawdziwego zdarzenia, spowodował od razu podniesienie się jego poziomu. Jako jedyne pismo polskie przetrwał „Głos" do wypadków październikowych, bo do tego czasu nie było wielkich różnic politycznych między Polakami. Wszyscy w zasadzie byli „za" i „przeciw". Dopiero Październik ujawnił dużą różnicę zdań i konieczność dyskusyj, które okazały się niemożliwe do prowadzenia na łamach tego jedynego tygodnika.

Redaktorem „Głosu Polskiego" w momencie zwrotnym był mgr. Żarnowski. Starał się on utrzymywać jaką taką niezależność pisma i jaką taką wolność wypowiedzi. Zadanie miał bardzo utrudnione, gdyż musiał staczać zacięte boje z prezesem i Zarządem Związku Polaków, którzy mu nakazywali publikować, zakazywali publikować, wykreślali linię i tp. Ówczesny prezes zakazał np. drukowania w „Głosie" Gombrowicza, bo mu się nie podobał i basta. W czasie największego nasilenia tych bardzo nieraz dramatycznych zmagań redaktor Żarnowski umarł a „Głos" z miejsca stał się organem prezesa i takim pozostał do ostatniej chwili.

Niestety, statut Związku Polaków taką sytuację umożliwia. Od początku byłem zdania, że organ Związku, do którego należymy wszyscy, to nie to samo, co organ Zarządu czy nawet prezesa. Od niepamiętnych czasów wygłaszam przekonanie, że jakieś ciało do kierowania czy kontrolowania „Głosu" powinno być niezależne od Zarządu i wybierane przez Sejmik bezpośrednio. Rola jego powinna być podobna do roli radia państwowego w krajach demokratycznych, gdzie na tych samych zasadach mają prawo zabierać głos przedstawiciele stronnictw rządzących i opozycyjnych. Ale tu nie ma gdzie z tym projektem wystąpić. „Kurier" w zasadzie nie przyjmuje do druku ani słowa krytyki pod adresem „Głosu", a „Głos" nie tylko nie drukuje moich artykułów w jakimś dziale wolnej trybuny, ale

nawet listów do redakcji w takich — zdawałoby się — bezspornych sprawach jak wypadek szkółki polskiej w Llavallol.

Redaktorem „Głosu Polskiego" jest obecnie Roman Dąbrowski. Jest on tylko redaktorem technicznym, na linię pisma nie ma żadnego wpływu. Bawi się jedynie w udawanie Katona i nawołuje w swych artykułach do zburzenia Kartaginy. Organem redagującym oficjalnie jest komitet redakcyjny, którego członkowie są powoływani każdorazowo przez nowy Zarząd Zw. Polaków. Praktyka, tradycja czy prawo zwyczajowe chce, że przewodniczącym Komitetu jest zawsze III wiceprezes Zarządu. Członkami komitetu były przez długi okres przeważnie te same osoby — muszą to być przecież przede wszystkim osoby chętne do pracy, z drugiej zaś strony muszą się mieścić w ramach istniejących ograniczeń, albo też po prostu z ograniczeniami tymi się zgadzać. Ale i oni powoli poodpadali. Jednych pozbył się Zarząd, bo mu się nie podobali, inni odeszli sami. Nie zostało to spowodowane linią ideologiczną pisma, niezłomnie stojącego w opozycji do wszystkiego co krajowe. Chodziło o atmosferę frazesu i zakłamania, chodzi po prostu o wskazywanie palcem na rzekomych czerwoniaków. Jako jeden z bardzo charakterystycznych wypadków należy wskazać starego narodowca, dra Mariana Seydę, który jako jeden z pierwszych z „Głosu" wystąpił, aby pisywać artykuły wstępne, specjalnie na tematy niemieckie, dla „lewicującego" „Kuriera Polskiego".

W krótkiej dygresji — znowu dla uniknięcia niepotrzebnych nieporozumień — chcę wyjaśnić, co rozumiem pod słowem „lewicujący". Tutaj, w Argentynie, w bardzo silnym stopniu, a w mniejszym lub większym na całym świecie, uważa się lewicujący i komunizujący za synonimy. Ja pozostanę przy starym dobrym znaczeniu tego słowa. Lewicujący to niezadowolony z istniejącego stanu rzeczy — porządku społecznego, niesprawiedliwości społecznej czy prawnej, walczący o czyjeś równe prawa, o sprawiedliwszy podział dochodu społecznego, a wolność dla tych, którzy jej nie mają; to, w wielu wypadkach, radykał, który chce metod rewolucyjnych, tam gdzie inne sposoby nie dają wyników. Taki lewicowiec — przeciwnik wszelkiego oportunizmu — jest, bo musi być nim, przeciwnikiem i to bardzo zdecydowanym komunizmu.

Wróćmy teraz do sytuacji argentyńskiej.

W takich warunkach zrodziła się konieczność utworzenia nowego pisma. Zaczęła wychodzić „Nasza Sprawa" jako tygodnik — organ SPK — pod redakcją Feliksa Zahory-Ibiańskiego. Po ukazaniu się kilku numerów okazało się jednak, że nowe pismo nie było strawne dla niezłomnych tego stowarzyszenia i skończyło się.

Wtedy zebrało się kilku niedomilionerów (to znaczy takich amatorów wydawania pieniędzy, którzy ich sami za dużo nie posiadali), entuzjastów prywatnej inicjatywy prasowej i założyło „Polską Spółkę Wydawniczą z ogr. odpowiedzialnością w trakcie formowania", która się dotąd nie sformowała całkowicie. W taki to sposób dnia 15 sierpnia 1957 r. wyszedł pierwszy numer „Kuriera Polskiego", który pod redakcją tegoż Feliksa Zahory-Ibiańskiego jako tygodnik do dzisiejszego dnia. Miał on początkowo osiem stron druku, aby z czasem z powodu trudności ekonomicznych zredukować się do czterech. Obecnie osiem czy więcej stron otrzymujemy tylko od wielkiego dzwonu.

Obecny „Kurier Polski" wykorzystał to, że Niezależny Kurier Polski już dawno przestał wychodzić i nie wiadomo do kogo należałby dziś; ponieważ tytuł ten już u właściwych władz został zarejestrowany, więc użycie go znacznie uprościło formalności związane z założeniem.

A oto kilka wyjątków z pierwszego wprowadzającego wyznania wiary:

„Naczelnymi jego hasłami są:

Niepodległość Państwa Polskiego i wolność jego obywateli na zasadach prawdziwej demokracji;

Bezwzględna walka z komunistycznym okupantem sowieckim, jak i każdym wrogiem naszej ojczyzny;

„Rozróżniając w dzisiejszej rzeczywistości krajowej stanowisko obecnego reżymu i ogromnej większości Narodu, nie zamierzamy pomijać milczeniem bezspornie pozytywnych osiągnięć ostatnio zdobytych".

„...popierać będziemy próby znalezienia porozumienia z przedstawicielami tych (uciemiężonych) narodów na emigracji na płaszczyźnie politycznej, kulturalnej i organizacyjnej";

„...Piętnować będziemy jednak metody szantażu, krzywdzących insynuacji i oszczerstw...";

„...otwieramy łamy pisma dla wszystkich rzeczowych wypowiedzi, nawet nie zgadzających się z naszymi przekonaniami, w dziale listów do redakcji lub na łamach wolnej trybuny..."

Przez blisko siedem lat swego istnienia „Kurier" udowodnił, że cytowane wyjątki nie były pustymi frazesami. Fanatycznie wierzący i obserwujący wolność słowa Zahora naraził się niejednokrotnie już to dopuszczając się druku artykułów z nieortodoksyjnymi opiniami, tak w Wolnej Trybunie jak i poza nią, już to drukując listy do redakcji wszelkiego rodzaju.

A komu się naraził?

Złomnym i niezłomnym, przyjaciołom, wrogom i obojętnym, stałym i przygodnym współpracownikom, władzom Związku Polaków, polskiemu klerowi katolickiemu, autorowi niniejszego — wszystkim. Niemniej jednak „Kurier" trwa, wychodzi punktualnie, jest czytany, spełnia rolę butli sprężonego tlenu w polskim życiu w Argentynie. Uważany jest za lewicujący, ale przecież powagi prawicowe pisują do niego artykuły. Owszem, wskutek publikowania na jego łamach sprzecznych opinij dochodzi nieraz do gorących dyskusyj, ale wszystkie są utrzymane w granicach dobrych obyczajów, o co znowu dba jego redaktor, któremu żadna laurka, żeby nie wiem jak mocno frazesami upstrzona, nie odda właściwej sprawiedliwości.

„Kurier Polski" zdobył sobie trwałe miejsce w Argentynie. Ale nie tylko w niej — rozchodzi się bowiem po całej Ameryce Południowej. Sięga do Ameryki Północnej, do Australii i Afryki Południowej. Trudności „Kuriera" to, jak wszędzie, trudności materialne. I tylko wielkiemu, prawdziwie litewskiemu uporowi jego redaktora można zawdzięczać, że mimo wszystko żyje i pozwala oddychać świeżym powietrzem tym wszystkim, których zgniły smrodek nie zadawala.

Colonizadora del Norte.

Jak sobie przypominamy, w czasach przedwojennej mocarstwowości Liga Morska i Kolonialna zbierała składki, a rząd Rzeczpospolitej dopominał się kolonij, których nie otrzymał. Ale tenże przedwojenny Rząd Rzeczpospolitej zrobił inne posunięcie, które mogło było dać dalekosiężne wyniki. Że nie dało, to już nie jest jego winą.

Rząd Rzeczpospolitej Polskiej zakupił olbrzymie zalesione tereny do skolonizowania w argentyńskim Misiones. Miała to być zamaskowana kolonia. Żeby zaś nie urazić Rządu Argentyny i być w zgodzie z przepisami prawa, stworzono spółkę akcyjną, którą nazwano „Colonizadora del Norte". Akcje spółki były własnością rządu lub może jakiejś innej podstawionej instytucji, a przechowywane były w polskim poselstwie w Buenos Aires. Gdy po wojnie Argentyna uznała rząd PRL i poselstwo to miało być przekazane przedstawicielom nowego rządu, jacyś starzy urzędnicy, dla ratowania „mienia społecznego", mianowali siebie powiernikami, zabrali akcje do przechowania. Jako ich faktyczni posiadacze są dla prawa argentyńskiego prawnymi właścicielami spółki akcyjnej „Colonizadora del Norte".

Przez długi czas było cicho na ten temat. Dopiero w 1960 roku gdzieś ktoś coś sobie przypomniał i rozpoczęto na łamach „Kuriera Polskiego" kampanię, domagającą się zwrotu mienia społecznego do rąk społecznych i na społeczny użytek. Na artykuły prasowe, na zarzuty w nich postawione, na żądanie wyjaśnień ani wtedy, ani nigdy potem nikt z Colonizadory głosu nie zabrał, wyjaśnień nie złożył. Jako pierwsza i jedyna reakcja z ich strony została złożona skarga do sądu argentyńskiego przeciw redaktorowi i autorom artykułów o zniesławienie. Sprawa ta miała typowy charakter zastraszenia. Na skutek złożenia oświadczenia, że ani redaktor ani autorzy nie mieli zamiaru zniesławiać, skarga została wycofana. Tymczasem zainteresowanie Polaków wzmagało się, artykuły się mnożyły. Wymiana uwag między przygodnie spotykającymi się, zamiast od pogody zaczynała się od Colonizadory. Sami posiadacze akcyj nabrali wody w usta i, chociaż znajdują się między nimi osobistości znane, na wysokich stanowiskach społecznych, nikt głosu nie zabrał nikt wyjaśnień nie złożył.

Zebrał się sejmik roku 1961 i delegaci burzliwie zażądali wyjaśnień. Wyjaśnienia złożyli ci, którzy sprawę wytoczyli na forum publiczne, wszystkie więc szczegóły były już znane z publicznych dyskusji, a wyglądały z grubsza następująco:

majątek nieruchomy Colonizadory zmniejsza się, bo tereny są wyprzedawane;

prowadzona jest gospodarka rabunkowa, drzewo wyprzedaje się po bardzo niskich cenach;

dochodzić na drodze sądowej nie można niczego albowiem posiadacze akcyj są prawnymi właścicielami Colonizadory;

tylko nacisk moralny może spowodować wydobycie chociaż części dochodów na cele społeczne.

Sejmik wybrał komisję do rozmów z Colonizadorą a prasa (czytaj: „Kurier Polski") zobowiązała się, aby nie utrudniać zadania tej komisji, do nie zabierania głosu do czasu uzyskania sprawozdania. Komisja ze swej strony przyrzekła informować opinię społeczną o wszystkich swoich poczynaniach.

Nastąpiła teraz cisza na tym odcinku. Minęło około pół roku, zaczęły się znowu pojawiać artykuły, domagające się informacji. Wtedy dopiero komisja wydała komunikat, z którego wynikało, że

posiadacze akcyj uważają się za powierników;

majątek spółki jest niewielki;

tereny nie mają absolutnie żadnych wartości kolonizacyjnych;

dochody nie pokrywają rozchodów, to znaczy bonifikacji dla dyrektorów i syndyka;

eksploatacja drzewa nie opłaca się z powodów trudności transportowych;

komisji nie pokazano żadnych dokumentów, a kazano wierzyć na słowo.

Skądinąd zaś dochodziły wieści, że na miejscu funkcjonują tartaki właścicieli niemieckich, które nie tylko skupują drzewo od spółki polskiej, ale i odkupują zalesione tereny.

Używając wyrażenia „dochodziły wieści" mówię o wiadomościach nieautoryzowanych, o informacjach krążących w postaci plotki. W dalszych więc dyskusjach „doszło do wiadomości", że Colonizadora okazała gotowość dookoptowania jednego dyrektora i zastępcy z ramienia Związku Polaków. Kiedy jednak Rada Nadzorcza, czy też Zarząd Związku wyznaczył ludzi swego zaufania, spółka kandydatury ich odrzuciła i ze swej strony wskazała osoby, które gotowa była zaakceptować, o ile Związek Polaków je wyznaczy.

Sejmik roku 1962 wybrał osoby wskazane przez Colonizadorę...

Osoby te na sejmiku 1963 złożyły sprawozdanie, z którego dowiedzieliśmy się jeszcze mniej, aniżeli z poprzedniego oświad-

czenia komisji do rozmów. W kuluarach sejmiku, według informacji „Kuriera Polskiego", wymądrzali się jacyś inni samozwańczy powiernicy (o tym, że istnieje jakieś inne mienie i jacyś inni powiernicy dowiedziałem się dopiero teraz), że nie mają komu przekazać majątku społecznego. Nie uznają bowiem ani Zamku, ani Rady Trzech ani reżymu za prawne polskie rządy. Przekażą majątek temu rządowi, który sami za prawny uznają.

Potrzeby oświatowe i kulturalne Polonii argentyńskiej są równie wielkie, jak znikome są jej źródła dochodów. Tymczasem zaś majątek, na który poszły przed wojną olbrzymie sumy, uzyskane z „dobrowolnych" składek jedenastej, dziesiątej i innych — o głodowych pensjach — kategoryj urzędników, jest administrowany przez powierników, którzy spokojnie, bez wyrzutów sumienia czekają na reprezentacyjny, godny uznania przez nich rząd polski.

W stolicy.

Pisząc o polonizacyjnym działaniu Związku Polaków, wymieniłem te jego stowarzyszenia, które właściwie powstały jako przybudówki dla określonych celów, jak na przykład Macierz do zbierania pieniędzy na nauczanie dzieci. Nie ulega wątpliwości, że na ogół wszyskie polskie stowarzyszenia tę działalność polonizacyjną uprawiają jako pierwszą. Większość stowarzyszeń zrzeszonych w Związku Polaków to stowarzyszenia lokalne, jak na przykład Towarzystwo Polskie Llavallol. Stowarzyszenia, działające poza zasięgami lokalnymi to SPK, Klub Polski i Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich i Stowarzyszenie Studentów i Absolwentów Polskich.

SPK (Stowarzyszenie Polskich Kombatantów) przejawia działalność na wielu polach, jest bardzo ruchliwe. Organizuje bale i zabawy, wieczorki przy mikrofonie, posiada własną restaurację i kawiarenkę. Zapewnia opiekę swym członkom, trzyma rękę na pulsie praw dla kombatantów — praw już uzyskanych i tych które mogą być uzyskane. Pod jego opiekuńczymi skrzydłami chował się przez długi okres „Nasz Teatr" i Balet, chowa się dotychczas Chór Szopena. Instytucjom tym poświęcę osobny rozdział.

Klub Polski jest instytucją grupującą snobistyczną śmietankę towarzyską i intelektualną. Organizuje odczyty na tematy niepopularne wymagające raczej przygotowania naukowego. Organizuje także takie oryginalne imprezy jak na przykład sąd — publiczną rozprawę nad Wandą — bohaterką „Milczenia" Brandstaettera. Doroczny bal Klubu Polskiego jest obok balu Stowarzyszenia Inżynierów wydarzeniem towarzyskim.

Stowarzyszenie Studentów i Absolwentów. Poza własną działalnością wewnętrzną, wychodzi na zewnątrz z odczytami i dorocznymi balami. Należy mu na dobro zapisać współorganizację „Fedece". (Federacja studentów narodów spoza żelaznej kurtyny). Trzon tej federacji obok Polaków stanowią Ukraińcy i Węgrzy, są w niej reprezentowane kraje bałtyckie i w mniejszym lub większym stopniu pozostałe kraje.

SITP (Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich). Bardzo ruchliwe, ekskluzywne, ale przejawiające dużą działalność na zewnątrz wieczorami brydżowymi i tanecznymi, a także odczytami i pogadankami, które chociaż tematyce technicznej tak są dobierane, aby mogły zainteresować i „mile widzianych gości".

Dużą ruchliwością odznacza się także przybudówka Stowarzyszenia — Rodzina Techniczna. Dorocznymi wydarzeniami Stowarzyszenia są: bal i obiad koleżeński, w którym biorą udział zaproszeni goście.

W roku 1961 Stowarzyszenie zorganizowało Zjazd Inżynierów i Techników Polskich z całej Południowej Ameryki. Głównym punktem programu zjazdu był bankiet w jednym z najbardziej pierwszorzędnych hoteli: „Plaza Hotel". Bankiet był poprzedzony szeregiem referatów, obrazujących osiągnięcia polskich inżynierów w Ameryce Południowej. Na zjeździe były reprezentowane sfery rządowe, brały w nim udział w charakterze gości wysokie osobistości ze świata przemysłu i techniki argentyńskiej Trzeba przyznać, że zjazd udał się doskonale i jako impreza propagandowa polskości i jako pokaz, jak należy sprawnie organizować tego rodzaju imprezy. Szkoda tylko, że jest ich bardzo za mało.

Ognisko Polskie, o którym także nie wolno zapominać mówiąc o organizacjach stołecznych, ma w swym programie i w swej działalności te same założenia, co inne już tutaj wymienione albo jeszcze nie wymienione stowarzyszenia, należące do Związku Polaków, chociaż samo do Związku nie należy. Pozostaje z nim jednak w ścisłej przyjaźni. Członkami Ogniska są raczej starzy Polacy i ich potomkowie, ale i ci z nowej imigracji także są dostatecznie reprezentowani.

Teatr.

Tę część kulturalnej działalności naszej emigracji podciągam tutaj pod ogólną nazwę teatru, jakkolwiek będą w niej pewne działy czasem dość luźno z teatrem złączone. Wyodrębnię następujące człony:

1. Teatr dramatyczny i rewia.
2. Balet.
3. Chór.
4. Zespoły muzyczne.

Nie ulega wątpliwości, że wymienione człony współpracowały między sobą, ci sami aktorzy występowali tak w rewiach jak dramatach, że balet czy chór wspomagały i jedno i drugie. Teatr i rewię należy tedy połączyć dla omówienia w jedno: balet, chór, czy orkiestry stanowiły odrębne całości i dlatego omówię je oddzielnie.

Na początku należy wyjaśnić, że o stałym polskim teatrze w Argentynie trudno mówić; takiego właściwie nie było. Wysiłki na stworzenie pewnej namiastki dawały nieraz w wyniku wysoki poziom artystyczny, w pewnym okresie przedstawienia były dawane z dużą częstotliwością; w innych okresach poziom ograniczał się do lichej amatorszczyzny i obsługiwania akademii narodowych.

Żeby nie było nieporozumień, wyjaśnię co rozumiem pod słowem „amatorszczyzna". Swojego czasu mieliśmy na ten temat publiczną wymianę zdań z Zahorą. Nie ulega wątpliwości, że bywają poważne zespoły amatorskie (takie właściwie były u nas), mające duże osiągnięcia artystyczne, traktujące sztukę dla sztuki, często awangardowe, szukające nowych dróg i rozwiązań. Niemniej jednak powszechnie przyjęte znaczenie tego słowa odpowiada w teatrze temu, czemu w literaturze — grafomaństwo.

Na dobrą sprawę cały nasz teatr jest właściwie amatorski. Amatorsko pracują aktorzy, i choć zespoły dające przedstawienia miały w swym składzie głośne przedwojenne nazwiska teatralne (Lopek-Krukowski) i artystów o bardzo wysokich wartościach artystycznych (Ela Niewiadomska), to jednak obok nich wyżywały się aktorsko jednostki albo bez talentu, albo bez podstawowych wiadomości scenicznych.

Krytyka teatralna tylko w Pipidówkach bywa poklepywaniem po ramieniu, ale w naszych warunkach uniknąć tego nie było można, ponieważ występowanie w teatrze było dużym poświęceniem osobistym, zabierało czas, wymagało wytężonej pracy, a w zamian mogło przynieść tylko zadowolenie moralne bo zadośćuczynienia materialnego albo nie było wcale, albo było w bardzo niedostatecznej wysokości. Najstaranniej przygotowana premiera była powtarzana w najlepszym wypadku — o ile przedstawienie było dawane w którejś z dużych sal teatralnych — jeszcze tylko raz. Jeśli przedstawienie odbywało się w salce Domu Polskiego, którego widownia mieści aż sto miejsc, powtarzano je nieraz nawet trzy-cztery razy. I koniec. Na więcej publiczności teatralnej polskiej nie było. Jeżeli więc w takich warunkach wytknęło się publicznie aktorom i reżyserom ich braki i chciało cokolwiek sugerować obrażali się prawdziwie po aktorsku i rezygnowali z dalszej pracy. Należało więc w czambuł chwalić, ale poziomowi korzyści to nie przynosiło.

Do starych i mniej starych dobrze znanych i uznanych nazwisk jak Lopek-Krukowski, Ela Niewiadomska, Frydrych-Zbierzchowska, Ende, Ryniewiczowa, Aposzański, Kawecki, Kafliński,

doszło wiele młodych i dużych talentów, żeby wymienić odtwórczynię Wandy w „Milczeniu" Brandstaettera Cajdlerównę, albo doskonałego Wacława Bogusławlewicza. Niektórzy z tego nowego narybku prawie nie potrzebowali szkoły. Grali od razu dobrze. Innym, o widocznych talentach, szkoła była konieczna — widać było wyraźnie jej brak. I tutaj nasuwała się rola reżysera. Reżyser u nas musiał być przede wszystkim nauczycielem gry scenicznej, podającym w wielu wypadkach podstawowe zasady ruszania się po scenie. I z tym reżyserzy nie zawsze dawali sobie rady.

Lopek-Krukowski w swoim „Teatrze Rozmaitości" dawał dobre i na ogół równe przedstawienia, ale on miał jeszcze do swej dyspozycji doskonały materiał aktorski, który z czasem ilościowo zaczął się zmniejszać. Aktorzy się porozjeżdżali — jedni wrócili do kraju z samym Krukowskim na czele, inni wyemigrowali do innych krajów osiedlenia jak na przykład do Stanów Zjednoczonych. Bo kto raz zaczął migrować, ten migrować nie przestanie. Z drugiej strony coraz trudniej było nawet najmłodszej emigrantce, ale pamiętającej jeszcze teatr polski w Polsce, grywać rolę młodziutkich naiwnych. Z tych powodów o narybku trzeba było myśleć poważnie.

Tutaj należy wyciągnąć zasługi w krzewieniu kultury teatralnej p. Walerii Fuksa. Grała, reżyserowała tak rewie, jak komedie i dramaty — dla przykładu bardzo dobrze zagrana „Freuda Teoria Snów" Cwojdzińskiego — jak również organizowała i wciąż jeszcze organizuje liczne herbatki i podwieczorki przy mikrofonie, kawiarenki, teatry czytane. Kulturalna działalność pani Fuksa nie ogranicza się zresztą tylko do teatru.

Stary Teatr Rozmaitości Lopka-Krukowskiego przemianowano na Nasz Teatr, nad którym jak i nad poprzednim patronuje SPK. W bardzo dobrych czasach działały czasem równolegle aż dwa zespoły. Potem trzeba było się cieszyć, gdy premiera zdarzała się raz na dwa miesiące. Żeby dać pojęcie o repertuarze wybrałem na chybił trafił kilka tytułów: „Przepióreczka" Żeromskiego, „Lato w Nohant" Iwaszkiewicza, „Dwa Teatry" Szaniawskiego, „Penelopa" Morstina, „Milczenie" Branstaettera, „Brutalna Siła" napisana przez Jacinto Benevento. „Freuda Teoria Snów" Cwojdzińskiego i wiele innych ważniejszych i mniej ważnych pozycyj z polskiej literatury dramatycznej. Obok tego wystawiano rewie na wysokim poziomie artystycznym. A potem skończyły się dobre czasy. Na ostatnie dwa lata pozostały już tylko teatry czytane, herbatki i podwieczorki przy mikrofonie. I nic więcej.

Dlaczego tak się dzieje, nie jest trudno odpowiedzieć. Po pierwsze — starzejemy się; młodzież, porwana przykładem starszych, może wycisnęłaby — wyciskała zresztą niejednokrotnie — dużo, ale na samodzielny entuzjazm twórczy jej nie stać. Drugą przyczyną tego stanu jest kryzys materialny. Coraz trudniejsza jest w Argentynie walka o byt. Każdy z nas woli, bo musi,

swój twórczy entuzjazm kierować ku poszerzaniu podstaw materialnych aniżeli „marnotrawić" na działalność ideową.

W okresie wytężonej działalności polskiego teatru, niektórzy entuzjaści zaczęli przemyśliwać o przekładach na hiszpański polskich sztuk teatralnych i graniu ich przez nasze polskie zespoły. O ile drugi pomysł jest w ogóle niemożliwy do realizacji, o tyle próby wprowadzenia polskich sztuk na sceny argentyńskie powinny być robione i przy odpowiedniej energii mogłyby uzyskać powodzenie. Młodzież polska dostatecznie władająca obu językami, aby mogła robić dobre przekłady, już istnieje. Potrzebny byłby tylko jakiś bodziec. Teatr dramatyczny argentyński posiada niezgorszy poziom, w reprezentacyjnym teatrze Buenos Aires COLON są polscy muzycy, śpiewacy i tancerze wysokiej klasy. Wejście na tutejsze sceny oczekuje swego pioniera.

Ta dziedzina dotychczas leży odłogiem. Z drugiej strony polski balet — rewiowy czy folklorystyczny — i chór Szopena miałyby duże możliwości, gdyby ktoś chciał o to — żeby użyć modnego dziś w Polsce słowa — zadbać.

Rozmawiałem niedawno z panią Elą Niewiadomską, aby coś niecoś w tej materii się dowiedzieć.

— Co słychać z naszym Baletem?

— Nic nie słychać.

Moja zdziwiona mina powoduje wzruszenie ramion.

— Co pan chce? Muszę przecież, podobnie jak i inni, myśleć o sobie trochę więcej.

I tak to wygląda.

Ale aby nie odbiegać od tematu, wróćmy do Naszego Baletu.

Polskie tańce ludowe mają dużą wartość widowiskową dla obcych, a dla swoich dochodzi jeszcze wartość uczuciowa. Nic więc dziwnego, że żadna akademia na wszystkich szczeblach nie może się odbyć bez kujawiaka, krakowiaka czy innego mazurka. Robi się to, a zwłaszcza robiło dawniej, w pewien utarty amatorsko-akademiowy schemat, na mniej lub bardziej wdzięcznym poziomie wykonawczym.

W Argentynie mieliśmy chyba do tańców, a raczej do ich wykonawców szczęście. Z nową emigracją przybyło tu kilku świetnych sił zawodowych. A więc Bogucka-Michalska i Woliński, którzy przez wiele lat dawali doskonałe programy. Pani Bogucka-Michalska ćwiczyła przez jakiś czas zespół młodych i osiągnęła niezłe wyniki. Pani Kornakowska założyła szkołę baletową na szeroką skalę i posiada uczniów także i Argentyńczyków. Ale najlepsze artystycznie wyniki osiągnęły zespoły pani Eli Niewiadomskiej. Ona sama, świetna aktorka dramatyczna, pieśniarka i tancerka okazała się również dobrym pedagogiem.

Punktem kulminacyjnym osiągnięć w tej dziedzinie były wyniki Międzynarodowego Konkursu Folklorystycznego w październiku 1961, zorganizowanego przez „Asociación Italiana de Mutualidad e Instrucción Unione e Benevolenza". Międzynarodowość tego konkursu była ograniczona do grup narodowościowych, zamieszkujących Argentynę, niemniej jednak konkurs był obsadzony licznie. Obok Argentyńczyków i Polaków udział brali Włosi, Węgrzy, Rumuni, Grecy, Japończycy, Łotysze, Czesi, Armeńczycy, Żydzi, Litwini, Ukraińcy, Niemcy, Jugosłowianie i kilka grup regionalnych hiszpańskich (Galicja, Andaluzja, Wyspy Kanaryjskie, Baskowie). Polacy zdobyli aż cztery pierwsze nagrody, w czym trzy są zasługą pani Eli. (Oczywiście, nie pierwsze miejsce chóru Szopena, który właściwie w swojej grupie nie miał godnego sobie rywala).

Tak samo znacznym powodzeniem cieszyły się występy w telewizji. Kanał 13 telewizji z Buenos Aires organizuje konkursy w poszukiwaniu nowych gwiazd. „Aqui nace una estrella" (rodzi się gwiazda) — tak się nazywa program. Uczestnicy po wstępnych eliminacjach w studio, występują w szeregu przedstawień dla publiczności, przechodząc poprzez ćwierć, pół i całe finały, aby później zdobyć jedną z pięciu nagród, którymi są kontrakty na stałe występy.

Nasz Balet wszedł bez trudu do finału ale nie uzyskał żadnej z pięciu nagród to jest kontraktu na stałe występy. Jeśli chodzi o poziom artystyczny to nie tylko nie miał godnego siebie współzawodnika, ale nie wydaje mi się nawet, aby którykolwiek z tutejszych stałych baletów telewizyjnych mógł się z nim poziomem równać. Kontraktu jednak nie zdobył, bo przyszedł wyłącznie z polskimi tańcami ludowymi. Gdyby przygotował program bardziej międzynarodowy, a raczej może ponadnarodowy miałby na pewno więcej możliwości. Gdyby potem ugruntowawszy już swoją pozycję, wystąpił od czasu do czasu z tańcem polskim, miałby i dla siebie korzyści materialne i propagandowo dla polskiego tańca lepsze wyniki.

I znowu — podobnie jak teatr dramatyczny — balet od jakichś dwóch lat nie daje o sobie znaku życia. A szkoda, wielka szkoda.

Towarzystwo Śpiewacze im. Fryderyka Szopena, popularnie nazywane chórem Szopena, jest bardzo zasłużone dla naszej kultury muzycznej. Został on utworzony jako chór męski już w roku 1949 i z miejsca dał się poznać wysokimi wynikami artystycznymi. Z biegiem czasu, jak wszystko polskie w Argentynie, zaczął się kurczyć — ubywały mu głosy. Ażeby uchronić go od upadku dodano mu głosy żeńskie i w ten sposób powstał chór mieszany. Z czasem doorganizowano chór młodzieżowy którego członkowie dorastając zasilają podszkolonymi już głosami chór starszych.

Ostatnio wycofał się z chóru długoletni jego filar — dyrygent i nauczyciel — profesor Adam Dyląg, podobno z powodu złego stanu zdrowia, co chórowi na pewno na dobre nie wyjdzie.

Działalność chóru ograniczała się do czysto polskich imprez i czysto polskiego repertuaru. Rzadkie wyjścia na zewnątrz są

traktowane jako propaganda polskiej muzyki. Na marginesie tego tematu naprasza się uwaga o dziwnym podejściu pewnych osób do zagadnienia „komercjalności" artyzmu. Profesor Dyląg na przykład, doskonały muzyk i muzykolog musi pracować w plastyku czy też czymś podobnym, kiedy znacznie gorsi od niego chodzą w sławie gwiazdorów. Oczywiście konkurencja jest silna i nie zawsze w walce o „byt" trzyma się prostolinijnych sportowych zasad. Trzeba wykazać dużo energii, uporu. Nie można zrażać się pierwszym niepowodzeniem i drugą trudnością.

Jeśli chodzi o zespoły muzyczne, to jest ich kilka, ale są to tylko orkiestry taneczne, między którymi wybija się zespół „Nocturno". Na szersze wody wypływa młodziutki Edek Baran ze swym zespołem. On to z Naszym Baletem zdobywał pierwsze miejsca na wspomnianym konkursie regionalnym.

Artyści plastycy.

Jest ich tutaj dość liczne grono — malarzy i rzeźbiarzy. Są to przeważnie artyści z prawdziwego zdarzenia, choć i amatorów nie brak. Grupują się oni w ruchliwym Kole Artystów Plastyków z mistrzem, o dobrze już ugruntowanej pozycji w Argentynie, Pawluczukiem na czele. Koło to ogłasza liczne konkursy tak w skali argentyńskiej jak i ogólno światowej, jak na przykład coroczne konkursy Norwidowskie, konkursy malarskie dla dzieci, organizuje wystawy itp.

Witold KUSS, sen.

(Dokończenie nastąpi)

Polemiki australijskie

Artykuł p. Zb. Jasińskiego w Nrze 11/205 „Kultury" oraz list p. M. Iwańczaka, zamieszczony w Nr. 1/207, spowodowały ożywioną polemikę i szereg sprostowań. Nie będąc w stanie zamieścić wszystkich, ograniczamy się do najważniejszych merytorycznie wypowiedzi. Redakcja zbyt mało znając stosunki wśród emigracji w Australii nie zajmuje stanowiska. Pragniemy tylko wyjaśnić że artykuł p. Zb. Jasińskiego zamieściliśmy ze względu na powszechnie znaną osobę autora, zaś list p. Iwańczaka (a nie artykuł jak podaje oświadczenie Zw. Dziennikarzy RP w Australii) był w dziale listów do redakcji. Na tym dyskusję na łamach „Kultury" zamykamy. W nrze następnym ukaże się jedynie artykuł p. Gronowskiego posiadający akcenty o charakterze ogólnym.

(REDAKCJA)

Sydney, dnia 15. stycznia 1965 r.

RADA NACZELNA POLSKICH ORGANIZACJI W AUSTRALII

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ukazaniem się artykułu p. Z. Jasińskiego w Nr. 11/205 (1964) „Kultury" pt. „Cień Frankowskiego w Australii", Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii prosi Szanowną Redakcję o umieszczenie następującego oświadczenia.

Artykuł p. Jasińskiego zawiera następującą ocenę — „Dopiero teraz — po dwuch latach — da się w pełni ocenić powagę następstw jego misji". Prezydium Rady Naczelnej nie byłoby zdumione gdyby taka konkluzja ukazała się na łamach pisma reżymu warszawskiego, bo właśnie teraz można stwierdzić z całą pewnością, że misja Dr. Frankowskiego, jakakolwiek miałaby ona być, całkowicie spaliła na panewce, a stało się to dzięki czujności Rady Naczelnej i polskich organizacji niepodległościowych, oraz akcji ostrzegawczej na łamach prasy polskiej w Melbourne i Sydney.

Artykuł p. Jasińskiego, pełen dowolnych przeinaczeń, niedomówień i uogólnień oraz zwykłych zmyśleń, zbudowany jest na kruchej podstawie, — jednego, zasadniczego fałszu twierdzenia p. Iwańczaka, że „leaderzy" Polonii sydneyskiej odbyli tajne zebranie z Dr. Frankowskim i za obietnicę korzyści materialnych, daną przez niego, zaprzedali Polonię australijską reżymowi warszawskiemu. Otóż faktem jest że takiego zebrania, — ani Prezydium, ani „leaderów" nie było, i że całość jest czczym wymysłem.

To oszczerstwo rozpowszechniał na łamach dwutygodnika „Nasza Droga", wychodzącego w Adelaide, korespondent sydneyski tegoż pisma, p. M. Iwańczak. Gdy w jednym ze swoich artykułów wymienił on nazwisko członka Prezydium Rady Naczelnej, p. B. Kurnatowskiego, wice-prezesa Rady i prezesa Związku Polskiego na Nową Południową Walię, Prezydium Rady Naczelnej oskarżyło go przed Związkiem Dziennikarzy R.P., Syndykat Australia, który wszczął przeciwko p. Iwańczakowi dochodzenia. P. Iwańczak nie przedstawił żadnych dowodów potwierdzających zarzuty sprzedawczykowstwa, zaś świadkowie przez niego wezwani, zeznawali na jego niekorzyść. W wyniku przeprowadzonych dochodzeń Zarząd Związku Dziennikarzy RP. zawiesił p. M. Iwańczaka na dwa lata w prawach członka, za naruszenie norm etycznych, obowiązujących w zawodzie dziennikarskim.

Zarząd Związku Dziennikarzy upoważnił Radę Naczelną do wykorzystania tego orzeczenia w sposób, jaki uważa za najbardziej wskazany dla obrony honoru i godności swych członków. Jednakże nie upoważnił Rady do ogłoszenia tego oświadczenia w prasie. Na skutek tego upoważnienia Zarządu Związku Dziennikarzy RP., prezes Rady Naczelnej podał do wiadomości X. Zjazdu Delegatów Rady Naczelnej w dniu 16. listopada 1962 r., orzeczenie w sprawie p. M. Iwańczaka.

W swoim artykule p. Jasiński, m.in. twierdzi że „...inny duch panuje w upartych, zdecydowanych, polskości zasłużonych — placówkach SPK i pokrewnych organizacji żołnierskich, harcerstwa, Macierzy Szkolnej..."

Otóż Prezydium Rady Naczelnej stwierdza, że wszystkie te organizacje są członkami Rady Naczelnej i biorą nader żywy udział w pracy społecznej pod jej ogólnym kierownictwem.

W innym miejscu autor artykułu cytuje następujący, rzekomy ustęp przemówienia na Zjeździe prezesa Rady Naczelnej, generała Kleeberga: „...Prezydium Rady Naczelnej, kierując się dobrem społecznym, po troskliwej a głębokiej rozwadze, postanowiło rozmów z drem Frankowskim nie ujawniać, aby w społeczeństwie nie wywoływać niepożądanych niepokojów". Prezydium Rady Naczelnej stwierdza, że prezes generał Kleeberg nigdy takiego oświadczenia nie złożył i że przytoczony ustęp jest wymysłem.

Dalej jeszcze p. Jasiński pisze: „Kilku skompromitowanych ojców narodu, bezkarnie, bo z poparciem prasy, „piastuje funkcje". Ba, rośnie lokalny kult jednostki, bankrutów dawnej świetności... Opinia publiczna zeszła w podziemie..."

Wystarczy przejrzeć roczniki pism polskich, aby stwierdzić jak żywe polemiki w sprawach najbardziej żywotnych dla miejscowej Polonii, toczyły się na ich łamach. I dalej jeszcze p. Jasiński utrzymuje że „...niezależnej opinii publicznej zakneblowano usta". Może p. Jasiński udzieli bliższych informacji kto zakneblował, kiedy i jakim pismom i czy do tych pism zalicza on również „Tygodnik Katolicki", na którego łamach od wielu lat zamieszcza swoje artykuły. Może by też p. Jasiński bliżej wyjaśnił jaki to „lokalny kult jednostki" rośnie w Australii.

Wreszcie twierdzi on również, że: „Tak zwana sprawa Iwańczaka nie jest tylko prywatną krzywdą p. Iwańczaka. Jest sprawą dalszych losów polskiego ogółu w Australii". Oświadczenie to potraktować można tylko w sposób humorystyczny.

„Cień Frankowskiego w Australii" nie padł na polską Australię, a chyba tylko na p. Jasińskiego i skłonił go do napisania artykułu, w którym kreśli w tak ciemnych barwach obraz Polonii australijskiej, daleko odbiegający od rzeczywistości naszego życia emigracyjnego, w którym udziału nie bierze, które nie zna i którego problemów nie rozumie.

Za Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii

B. Kowalski,
Sekretarz.

J. Kleeberg
Prezes.

ZWIĄZEK DZIENNIKARZY R.P. SYNDYKAT AUSTRALIA

9.I.1965

1. Dnia 9 czerwca 1962 r. prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, gen. J. Kleeberg, złożył w imieniu Rady Naczelnej Zarządowi Zw. Dziennikarzy Polskich skargę przeciwko p. Mieczysławowi Iwańczakowi o zniesławienie. Według tej skargi p. Iwańczak — w związku z pobytem w Australii posła reżymowego dr. Frankowskiego — rozpoczął w wychodzącym w Adelajdzie dwutygodniku „Nasza Droga" kampanię przeciwko leaderom Polonii sydneyskiej posądzając ich, iż w zmowie z dr. Frankowskim za obietnicę korzyści materialnych, rzekomo daną przez niego, zaprzedali Polonię australijską reżymowi warszawskiemu. Początkowo p. Iwańczak operował wyrazami „prezesi" bez podawania nazwisk, ale w nr. „Nowej Drogi" z dnia 3 czerwca 1962 r. wymienił trzy nazwiska, mianowicie pp. B. Kurnatowskiego, prezesa Związku Polskiego w Nowej Południowej Walii, p. J. Dunin-Karwickiego, redaktora i wydawcę „Wiadomości Polskich" w Sydney i p. J. Adamskiego, sekretarza Polskiego Klubu Sportowego w Sydney. Po ogłoszeniu tych nazwisk powyżej wymienione osoby również wniosły skargi do Zarządu Związku, oskarżając p. Iwańczaka o zniesławienie i paszkwil.

2. Prawo australijskie nie uznaje sądów przy organizacjach zawodowych i bardzo wpływowy Związek Dziennikarzy Australijskich nie ma sądu dziennikarskiego. Ponieważ p. Iwańczak był pierwszym członkiem Związku, oskarżonym o zniesławienie, więc Zarząd Związku zasięgnął porady prawnej u polskiego adwokata, praktykującego w Sydney, oraz porady zawodowej w Związku Dziennikarzy Australijskich, co do postępowania formalnego w sprawie p. Iwańczaka. W wyniku otrzymanych opinii Zarząd zwołał w dniu 29 lipca 1962 r. Nadzwyczajne Walne Zebranie na którym zmienił swój statut, przystosowując go do wymogów prawa obowiązującego w Australii. Zebranie to uchwaliło normy etyczne Związku i procedurę w sprawach o ich naruszenie. Na tym posiedzeniu p. Iwańczak był obecny i za wszystkimi wnioskami Zarządu głosował, które zresztą były uchwalone jednogłośnie.

3. Na podstawie tego zmienionego statutu Zarząd polecił red. Ryszardowi Krygierowi, aby przeprowadził dochodzenie przeciwko p. Iwańczakowi i złożył sprawozdanie z wyniku swych badań. Zarząd podkreślił, iż nie jest komisją śledczą w sprawie pobytu p. Frankowskiego w Australii, i że celem dochodzenia ma być stwierdzenie czy fakty podane przez p. Iwańczaka są prawdziwe, a zwłaszcza czy wymienione przez niego osoby miały zaprzedać Polonię australijską za cenę „ubijania interesów handlowych z reżymem warszawskim", oraz czy osoby te miały założyć nowe pismo polskie w Australii o obliczu pro-reżymowym.

W numerze „Naszej Drogi" z dnia 3 czerwca 1962 r. p. Iwańczak, ogłaszając nazwiska osób, które brały udział w konferencji z dr. Frankowskim, ogłosił, iż odbyła się ona w „Domu Polskim" w Ashfield.

4. Red. R. Krygier zwołał na dzień 1 sierpnia 1962 r. konferencję p. Iwańczaka ze stronami, które go oskarżyły o zniesławienie. Na konferencji tej zostało ustalone, iż p. B. Kurnatowski w ogóle nie brał udziału w rozmowach z dr. Frankowskim w Ashfield, wobec czego p. Iwańczak wyraził gotowość publicznego przeproszenia p. Kurnatowskiego. List taki istotnie później p. Iwańczak wysłał, ale był on napisany w taki sposób, iż p. Kurnatowski nie uważał go za wystarczający.

Na konferencji tej p. Iwańczak nie przedstawił żadnych dowodów na potwierdzenie swych zarzutów, natomiast atakował większość polskich pism emigracyjnych, oskarżając je o kolaborację z rządem warszawskim. Na pytanie red. Krygiera, czy paryska „Kultura" jest jego zdaniem pismem niepodległościowym, *p. Iwańczak odpowiedział, że „Kultura" pismem niepodległościowym nie jest, natomiast „Orzeł Biały" — jest.*

Następną konferencję red. Krygier zwołał na dzień 14 sierpnia 1962 r. przy czym temin ten został ustalony w porozumieniu z p. Iwańczakiem. P. Iwańczak podał nazwiska świadków i obiecał, że zawiadomi ich o terminie posiedzenia.

W wyznaczonym terminie p. Iwańczak nie stawił się. Nie stawili się również jego świadkowie. Zjawił się natomiast świadek, który otrzymał wezwanie od Związku. Był to znany działacz ludowy, przedstawiciel Polskiego Klubu Sportowego, który brał udział w konferencji w Asfield. Ze sprawozdania jego wynikało, iż p. Iwańczak treść rozmów dr. Frankowskiego z reprezentantami polskich organizacji sportowych w Sydney *całkowicie zmyślił.*

Wobec tego, iż p. Iwańczak przestał się interesować swoją sprawą i stał się nieuchwytny, red. Krygier wezwał świadków p. Iwańczaka do swo-

jego biura. Zeznania ich w niczym nie potwierdziły oskarżeń p. Iwańczaka. Red. Krygier ukończył swe badania dn. 7. września 1962 i przysłał Zarządowi obszerne sprawozdanie, na podstawie którego Zarząd Związku stwierdził:

Żadnych konferencji leaderów czy prezesów Polonii sydneyskiej z dr. Frankowskim w sprawach politycznych nie było, natomiast w Ashfield odbyła się konferencja dr. Frankowskiego, jako przedstawiciela Polskiego Komitetu Olimpijskiego z działaczami polskich klubów sportowych. Tematem rozmów *była sprawa sprowadzania piłkarzy polskich do Australii.* Dr Frankowski oświadczył, iż zezwolenie na sprowadzenie piłkarzy z Polski do Australii otrzymają tylko kluby *społeczne, a nie imprezy sportowe o charakterze handlowym,* tj. obliczone na zysk. Zarząd także ustalił, iż p. Iwańczak był przez dłuższy czas referentem prasowym osób, które z piłki nożnej chciały uczynić business i które miały kontakt z konsulatem reżymowym w Sydney, starając się jednocześnie o przedstawicielstwo PEKAO.

Zarząd Związku również ustalił, iż p. Iwańczak fałszywie podał skład osobowy konferencji w Ashfield, ogłaszając nazwisko p. B. Kurnatowskiego, który w niej nie uczestniczył, zatajając jednocześnie nazwiska inne.

Żadnego z ciężkich, hańbiących zarzutów, postawionych bądź pod adresem osób anonimowych, a będących członkami Rady Naczelnej, bądź też oskarżycielom, p. Iwańczak nawet nie usiłował dowieść.

Dnia 5 października 1962 Zarząd Związku ogłosił oświadczenie, w którym stwierdzając, iż p. Iwańczak naruszył normy etyczne Związku, udzielił mu ostrej nagany i *zawiesił go w prawach członkowskich na dwa lata.*

Przez siedem miesięcy p. Iwańczak nie reagował na orzeczenie Zarządu. Dopiero dn. 29 kwietnia 1963 nadesłał do prezesa Związku list, że „przygotowuje się do obrony". Nigdy jednak p. Iwańczak nie złożył ani apelacji ani kasacji, które są przewidziane przez statut.

5. Zarząd, wręczając orzeczenie w sprawie p. Iwańczaka jego oskarżycielom, oświadczył, iż mogą uczynić z niego taki użytek, jaki uważają za najbardziej właściwy w obronie swego honoru. Jednakże Zarząd podkreślił, iż orzeczenie to nie jest przeznaczone do opublikowania w prasie. Zgodnie bowiem z tradycją i praktyką związków dziennikarskich w Niepodległej Polsce, orzeczenia zarządów czy wyroki sądów dziennikarskich nie były w prasie ogłaszane. Podobnej zasadzie hołduje również i Australijski Związek Dziennikarzy.

P. Jasiński o tzw. warunkach dżentelmeńskich ma pojęcie nieco swoiste. Nie może być bowiem mowy o tego rodzaju warunkach, gdy zostały postawione zarzuty korupcji i sprzedawczykowstwa. Jeśli ktoś bierze pieniądze od reżymu nie może być uważany za dżentelmena. Sprawa p. Iwańczaka nie toczyła się według procedury kodeksu Boziewicza, ale na podstawie norm etycznych, obowiązujących we wszystkich organizacjach dziennikarskich w wolnym świecie.

6. P. Jasiński uważa, że orzeczenie Związku w sprawie p. Iwańczaka jest „tabu". I to jest zmyśleniem. Na podstawie statutu Związku p. Iwańczak mógł apelować do Ogólnego Zebrania i mógł żądać skasowania nałożonych na niego sankcji. Pan Iwańczak jednakże wolał „odwołać się" do p. Jasińskiego, którego widocznie uważa za osobę stojącą ponad Ogólnym Zebraniem. Od tej chwili p. Jasiński począł wtrącać się do wewnętrznych spraw Związku, *chociaż nigdy nie należał do Związku Dziennikarzy ani w Niepodległej Polsce, ani na emigracji.*

Jednakże w jednym punkcie Zarząd zgadza się z p. Jasińskim. Gdy twierdzi, że sprawa Iwańczaka jest „paskudna". Istotnie, gdy członek Związku *oskarża bezpodstawnie* pracujących ofiarnie na polu społecznym leaderów społeczeństwa polskiego — to naprawdę jest to *„paskudne".*

DRUGIE OŚWIADCZENIE ZWIĄZKU DZIENNIKARZY

Sydney, 25 stycznia 1965

W związku z artykułem p. M. Iwańczaka, umieszczonym w numerze 1/207-2/208 (styczniowym) „Kultury", Zarząd Związku Dziennikarzy R. P., Syndykat Australia, prosi o umieszczenie następującego listu.

1. Nieprawdą jest, iż ogłoszenie przez Radę Naczelną na X Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii — „Oświadczenia" Zarządu Związku Dziennikarzy w sprawie zawieszenia p. M. Iwańczaka w prawach członkowskich Związku na okres dwuletni — było sprzeczne z jego warunkiem poufności. Natomiast prawdą jest, iż Prezes Rady Naczelnej, gen. J. Kleeberg, miał pełne prawo do ogłoszenia tego „Oświadczenia" na mocy upoważnienia Zarządu Związku. Zarząd Związku Dziennikarzy zastrzegł się tylko przeciwko ogłoszeniu tego „Oświadczenia" w prasie. „Poufność" jest po prostu wymysłem p. Iwańczaka.

2. Nieprawdą jest, iż Związek Dziennikarzy wyrządził „krzywdę" p. Iwańczakowi, natomiast prawdą jest, iż p. Iwańczak — jak wykazało trzymiesięczne dochodzenie — wyrządził krzywdę polskim działaczom społecznym i członkom Rady Naczelnej, oskarżając ich bezpodstawnie o kolaborację z reżymem.

3. Nieprawdą jest, iż — jak pisze p. Iwańczak — „moje późniejsze usiłowania wprowadzenia w życie prawa do apelacji od decyzji Zarządu Związku Dziennikarzy i o rewizję „Oświadczenia" poprzez odwołanie się do Walnego Zebrania Związku, zostały mi kategorycznie odmówione„. Natomiast prawdą jest, iż p. Iwańczak w ciągu dwóch lat *nie złożył Zarządowi Związku ani apelacji ani kasacji.*

4. Nieprawdą jest, iż p. Iwańczakowi „odmówiono prawa" do zapoznania się z treścią dokumentów, na których oparto „Oświadczenie". Natomiast prawdą jest, iż p. Iwańczak zawieszony został jedynie na podstawie artykułów podpisanych jego pełnym imieniem i nazwiskiem. Artykuły te, umieszczone w „Naszej Drodze", *były jedynym — oprócz zeznań świadków — materiałem dowodowym, który Zarząd Związku wziął pod uwagę.*

Zarząd Zw. Dziennikarzy RP. Syndykat Australia

Cz. Żórawski (Sekretarz) — Wł. Polak (Prezes)

Bondi, N.S.W. 15.1.1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Ogłoszony przez Pana w numerze styczeń-luty list p. Iwańczaka (i odpis jego listu do Redaktora „Tygodnika Katolickiego" w Melbourne) zmuszają mię do sprostowania.

Proszony byłem przez Zarząd Zw. Dziennikarzy R.P. w Sydney, by zbadać sprawę ataków prasowych p. Iwańczaka na wielu działaczy polonijnych. Po przesłuchaniu p. Iwańczaka i stron złożyłem Zarządowi szczegółowe sprawozdanie, na podstawie którego wymierzone zostały sankcje organizacyjne wobec p. Iwańczaka.

Stwierdzam, iż te sprawy, które mi są znane, przedstawia p. Iwańczak w sposób niezgodny ze stanem faktycznym.

Z poważaniem

R. Krygier

OŚWIADCZENIE P. ROMANA GRONOWSKIEGO

(publikujemy jedynie fragment jego listu).

Pisząc do mnie, że oczywiście będę miał prawo do odpowiedzi na zarzuty p. Jasińskiego, zapomniał Pan zapewne o tak ważnych elementach, jak czas i przestrzeń. Artykuł p. Jasińskiego ukazał się w numerze listopadowym, który dotarł do Australii w okresie Bożego Narodzenia (dziwnym zbiegiem okoliczności mój egzemplarz nie nadszedł dotychczas). Moją obszerną odpowiedź p. Jasińskiemu przesłałem Panu w pierwszych dniach stycznia; poinformował mnie Pan, że będzie ona mogła ukazać się dopiero w numerze kwietniowym „Kultury" — tj. w pięć miesięcy po opublikowaniu artykułu Jasińskiego.

Czy pomyślał Pan o tym, jak to wielomiesięczne przymusowe moje milczenie zaważy na opinii o mnie wśród tysięcy Pańskich czytelników, spośród których kilkuset zna mnie osobiście, a około setki to moi przyjaciele, rozrzuceni po całym świecie, którzy d o t y c h c z a s uważali mnie za przyzwoitego człowieka i dobrego Polaka?

Żeby nie być gołosłownym, przytoczę Panu wyjątki z dwóch listów, jakie otrzymałem od znanych Panu osób (nazwiska podaję w poufnym dopisku do niniejszego listu). Klient ogłoszeniowy „Tygodnika Katolickiego" pisze: „Nasze zaufanie zostało zachwiane artykułem w „Kulturze" i jeżeli uznamy Was za kolaborantów, zlikwidujemy oczywiście wszelkie ogłoszenia". Zaprzyjaźniony pisarz z Londynu: „Byłbym Panu ogromnie wdzięczny za kilka słów wyjaśnienia w sprawie Iwańczaka, która tutaj budzi sprzeczne uczucia. Wygląda, że facet jest zupełnie w porządku. (...) Dlaczego Pan nie chciał drukować jego wyjaśnienia?"...

Na powyższe pytanie odpowiadam obszerniej w moim artykule „Cienie nad Australią", mającym ukazać się w kwietniowej „Kulturze". Licząc na to, że list niniejszy opublikuje Pan o miesiąc wcześniej, odpowiadam po krótce: dlatego, że p. Iwańczak dał się poznać na tutejszym terenie jako piszący, który często mija się z prawdą.

... P. Iwańczak konsekwentnie mija się z prawdą w przytoczonej relacji o rozmowie telefonicznej ze mną. W rozmowie tej zapowiedziałem mój list, w którym poproszę go o kilka dodatkowych wyjaśnień na temat przytaczanych przez niego faktów. List ten wysłałem w dniu 22 listopada. Listy z Melbourne do Sydney idą 24 godziny lub mniej. P. Iwańczak odpis listu do mnie, wysłał do „Kultury" w dniu 25 listopada... Dalsze komentarze zbyteczne — poza jednym: okazało się, że moja ostrożność w przyjmowaniu za autentyczne faktów podawanych przez p. Iwańczaka była jak najzupełniej uzasadniona.

Łączę wyrazy szacunku.

Roman GRONOWSKI

Książki

W oczach Londynu

Trudno bawić się w przepowiednie. W początkach listopada 1964 panowała na rynku wydawniczym głucha cisza a interpelowani dyskretnie wydawcy zachowali daleko idącą powściągliwość w ujawnianiu przewidywanych na najbliższe tygodnie nowości. Stąd skandaliczna kompromitacja *mld.* i konieczność obszernego suplementu. Rzecz w tym, iż dwa ostatnie miesiące 1964 + „trzynasty" miesiąc — styczeń 1965, w którym masowo ukazywały się książki postdatowane, przyniósł drastyczne zmiany w krajobrazie odmalowanym w felietonie ogłoszonym w Nr. 12/206 „Kultury". W ciągu owych 3 miesięcy ukazały się dalsze 32 publikacje w jęz. polskim, w tym 14 o objętości ponad 100 stron, co podwyższa dane z listopada do 130 i 69. Najaktywniejszy był nadal Londyn (22) i Paryż (3).

Jakościowo ów suplement z końca roku przedstawia się raczej interesująco, wnosząc ciekawe korektury. Gombrowicz, którego nieobecność raziła w poprzednim zestawieniu objawił się jako autor przedmowy do „Części mniejszej całości" Adama Czerniawskiego, tomu opowiadań wydanych przez Oficynę Poetów i Malarzy w Londynie. Przedmowa ta, jako jedyna w r. 1964 „książkowa" publikacja Gombrowicza w jęz. polskim zasługuje na przedruk *in extenso* i brzmi: „Warto przeczytać". Pewną wieloznaczność tej wypowiedzi usuwa konfrontacja z tekstem książeczki. Jest ona najoryginalniejszym eksperymentem pisarskim z r. 1964 po tej stronie Żelaznej Kurtyny mimo niewątpliwych filiacji z utworami autora przytoczonej wyżej przedmowy i łatwo wyczuwalnymi wpływami ciekawego gwiazdozbioru patronów dodatkowych swoich i obcych. Względna młodość autora (z dawnej grupy „Kontynentów") uzasadnia właściwą mu zgryźliwość i przejrzałość sądów, nieomylną znajomość ludzkiej natury i pobłażliwość w stosunku do nagminnego niedorozwoju umysłowego Emigracji. Poeta przechodzący na prozę przypomina spieszonego kawalerzystę; Czerniawski-prozaik przenosi

do opowiadań liczne chwyty wypracowane w wierszach i ostrożnie (ale i odważnie) poczyna sobie z nowym medium. „Opowiadania" jego są nierówne, irytujące, brawurowe, chropowate, zastanawiające. Na szczególną uwagę zasługuje „Brutalizacja Stefana Rudzkiego", rzecz o kilku podtekstach i bardzo ciekawym *running commentary* historycznym. Debiut ciekawy, zasługujący na obszerniejszy komentarz Gombrowicza.

Kilka dalszych pozycji beletrystycznych a w szczególności „Flet i Apokalipsa" Aleksandra Janty (wyd. nakładem subskrybentów) i „Nagrobek" Zbigniewa Grabowskiego (Ofic. Poetów i Malarzy) nastręcza wspólny komentarz, dający się zastosować wstecz do niedawnych publikacji o charakterze pism „zebranych" czy „wybranych" jak np. „Pierścień z papieru" Zygmunta Haupta — a nawet „Orfeusz w piekle XX wieku" Józefa Wittlina. Autorami tych książek są pisarze o nazwiskach znanych przeciętnemu czytelnikowi z dawniejszych ich publikacji (— klasycznym przykładem będzie tu „Sól ziemi") i mgliście na ogół zapamiętanych *niektórych* utworów wchodzących w skład wydanych ostatnio książek. Fakt ich publikacji jest zjawiskiem wysoce pożytecznym nie tylko z punktu widzenia autorów, których rekonstruują z rozrzuconych na przestrzeni lat i niedostępnych często pierwodruków. Janta np. wskrzeszać musiał sam siebie, z trudem odnajdując teksty własnych utworów ogłaszane w czasopismach wojskowych. Ważne jest i to, iż dzięki tym zabiegom wydawniczym literatura emigracyjna dokonuje — raczej bezgłośnie — zmian w hierarchii pisarzy podwyższając na ogół rangę delikwenta: było to niewątpliwie udziałem Haupta a jest obecnie przywilejem Janty i Grabowskiego. Z dodatkowym ważnym zastrzeżeniem: rewizji poglądów dokonywać należy z okiem skierowanym na datę pierwodruku czy powstania utworu, stosując kryteria historyka literatury, który może i powinien dostrzegać walory prozy pisarzy tak różnych jak np. Haupt czy Pankowski albo Czerniawski i Grabowski. Zjawiskiem najciekawszym jest jednak wyłanianie się ze wspomnianych wyżej książek ciekawej grupy pisarzy z prawdziwego zdarzenia, którzy w dwudziestoleciu międzywojennym byli czynni na różnych odcinkach a więc np. jako dziennikarze i publicyści, krytycy literaccy itp., których przedwojenna twórczość z zakresu prozy beletrystycznej, eseju i poezji uległa zatracie i zapomnieniu — a których wspólną cechą jest dobre opanowanie tradycyjnego warsztatu pisarskiego, akademicka poprawność polszczyzny i pokrewny zestaw mistrzów (Żeromski, Conrad, Tomasz Mann). Na plus zarówno Janty jak i Grabowskiego zapisać należy surową autocenzurę, której efektem jest na ogół wyrównany poziom tomów. U obu uderza dbałość o ciekawy wątek tematyczny i ambicja obmyślenia Conradowskiej pointy. Obu obciążają wpływy uprawiania na codzień pracy dziennikarskiej czy radiowej. Stąd gęste w prozie Janty partie „reportażowe" i gładko zaokrąglone „radiowe" BBC-owskie sentencje Grabowskiego. Częsta w ustach „krajowców" uwaga, iż piszemy językiem przesadnie poprawnym, akademickim

znajduje tu niewątpliwie potwierdzenie. Spierać się jednak można czy jest to zarzut czy pochwała.

Inne obserwacje nasuwa tom „esejów"(?) Marka Gordona pt. „Katedra" wydany z przerażającą ilością błędów ortograficznych (reportarz!, Rejmont! Weissenhof!) przez Oficynę Poetów i Malarzy. Autor, ex-aktor „Reduty", uczestnik Powstania Warszawskiego, mający za sobą trudne doświadczenia zarobkowej pracy fizycznej w Stanach Zjedn., jest, jak wynika z „Katedry" czynnym i pożytecznym działaczem kulturalno-oświatowym w Chicago. Tom, który wydał obecnie, ma w tym kontekście wartość dokumentu dobrze wprowadzającego w klimat i specyficzne trudności terenu amerykańskiego. Fakt, że Gordon i jemu podobni, rezygnując z własnych ambicji pisarskich, potrafili doprowadzić do osiągnięć tak konkretnych jak katedra języka polskiego w Chicago, wytrąca pióro rwące się do prostowania dat czy nazwisk czy też kwestionowania zestawień à la „Tuwim, Wierzyński, Tetmajer" powstali (w tej kolejności) „z popiołów Słowackiego".

„Nieśmiertelni" Aleksandra Czerskiego, powieść wydana w Tel-Avivie, ponoć b. interesująca, jest dla „oczu Londynu" zagadką. Na wzór licznych innych poloniców izraelskich nie dotarła ani do księgarń ani Biblioteki Polskiej („na 9, Princes Gardens, S.W. 7", jak zwie ją uparcie p. Komarnicki z Pont Street).

Do listy tomików poezji dodać należy cztery, bardzo różne, pozycje. Najwymowniejszą jest wydany prywatnie, w odbitce powielaczowej (a mimo to bibliofilskiej) zbiorek wierszy i prozy poetyckiej Zbigniewa Herberta. Teksty, znane w większości z „Twórczości" zostały pieczołowicie odtworzone przez niecierpliwych a doceniających Herberta czytelników. Rzecz godna odnotowania, mimo mikroskopijnego nakładu na prawach rękopisu.

Wawrzyniec Czereśniewski wydał nakładem londyńskiego „Orbisu" trzeci tomik „Motywów greckich" pt. „Morze Jońskie". Pogłębiająca się z każdym urlopem znajomość krajobrazu i mitów greckich znajduje tu wyraźne echo. Nawiasem wspomnieć tu warto, iż analogiczny poetycki notatnik grecki* ogłosiła w r. ub. po francusku Mme Rosa Bailly).

Osobliwością nie dającą się wytłumaczyć rozumowo jest „Muza sprzedajna" Jana Rostworowskiego. Fakt, że Kasprowicz pisał i co gorzej ogłaszał wierszyki reklamowe sławiące wyroby (bodaj) Baczewskiego jest oczywiście precedensem, ale czy „godnym naśladowania", jak zwykło się mawiać o precedensach? W Rostworowskim a także mistrzu jego Marianie Hemarze (któremu notabene dedykuje „Muzę sprzedajną") rozrasta się jak złośliwy nowotwór demon samounicestwiania: ilekroć zdobędą się na podskok w górę (np. przekłady Hemara) natychmiast opadają sprężyście na wygodne materace łatwizny. Podobne uwagi nasuwa poetycki(?) „wyrób" Józefa Bujnowskie-

* „Le voyage en Grèce" (Paris, G. Durassié, 54 p.).

go pt. „O kobietach, diabłach i rycerzu" (Polskie Tow. Literackie) zdumiewający tym więcej, iż autor jest surowym krytykiem rzeczy cudzych. Kilka dalszych kroków w dół i stajemy wobec „poematu" Michaliny Janoszanki pt. „Królowa Jadwiga" wydanego pobożnie i poczciwie przez „Marianum w służbie" w walijskim Penrhos Home.

Ukazał się t. II „Moich wspomnień" Wincentego Witosa; trzeci (z indeksem do całości) jest na ukończeniu (nakł. Instytutu Literackiego w Paryżu). Waga tego dokumentu jest niezwykła; stąd ogromna poczytność i zainteresowanie „krajowców". Zawód przynoszą natomiast wydane nakładem Księgarni Polskiej w Paryżu „Moje wspomnienia" zmarłego niedawno Jana Kwapińskiego. Urwane na r. 1939-ym nie przyniosą, jak się zdaje, obrazu dalszego 25-lecia, o którym autor miałby wiele do powiedzenia**.

U schyłku roku 1964, w kilka miesięcy po zgonie autora, ukazały się „Dwie wojny" gen. Józefa Zająca, traktujące b. obszernie o udziale w wojnie o Niepodległość i bardziej zwięźle i powściągliwie o roli Generała w obronie powietrznej Polski w r. 1939 i dalszych latach angielskich. Autor, zmarły w Kanadzie, był imponującym przykładem wytrwałości i siły woli: po długich latach służby wojskowej wrócić potrafił do pracy naukowej w zakresie psychologii, zdobywając dostęp do laboratoriów uniwersyteckich i najpoważniejszych czasopism fachowych. Ktoś, gdzieś, kiedyś opracować powinien, ku pokrzepieniu serc, rzecz o polskich pracownikach naukowych przebijających się samotnie przez wielorakie zapory: obcego języka, nieufności, innych metod pracy, — i to, jak w wypadku, gen. Zająca w dobrze zaawansowanym wieku średnim.

„Pod prąd" Tadeusza Machalskiego, „zamkowego" generała, — rzecz wydana przez Księg. Bolesława Świderskiego — jest skrzyżowaniem pamiętnika o kampanii wrześniowej z namiętną, polemiczną oceną sytuacji bliską nastrojom z wczesnych miesięcy wojny. Książka, druk której ukończono w końcu stycznia, stanie się niewątpliwie przedmiotem szerokiej dyskusji prasowej, oby rzeczowej i odkrywczej.

„Sędzia za kratami" Jana Morelowskiego, (wyd. w Nowym Jorku z ciepłą przedmową Józefa Wittlina) jest relacją o przeżyciach autora w więzieniu sowieckim. Szkoda, że ukazuje się po ogłoszeniu antologii Marii Czapskiej („Polacy w ZSSR"), gdyż przynosi skreślony żywo obraz nie poddającego się naporowi przemocy charakteru. Jest także świadectwem wartości wykształcenia klasycznego: sędzia Morelowski przeciwstawia się brutalności otoczenia tłumacząc z pamięci poetów łacińskich.

** Tu, na marginesie, pytanie o los zapowiadających się tak ciekawie pamiętników Adama Pragiera znanych z fragmentów ogłoszonych w „Wiadomościach". A nadto — drugi tom „Pamiętników" Wacława Lednickiego. I wreszcie: co się dzieje z zapowiadanym przed kilku laty słownikiem biograficznym pisarzy emigracyjnych, na który Księgarnia Polska w Paryżu rozpisała nawet subskrypcję?

Warto odnotować dwa druki powielaczowe, dotyczące okresu II wojny. Pierwszym z nich jest zwięzły zarys dziejów Polski podziemnej pióra Haliny Czarnockiej, archiwistki Instytutu Polski Podziemnej i współorganizatorki niedawnej wystawy AK. Drugim — tekst referatu pt. „Bitwa o Monte Cassino w dniu 12 maja 1944 r. w świetle dokumentów" wygłoszonego przez pułk. Stanisława Oyrzyńskiego w dn. 15.X.1964 w Twie Wiedzy Wojskowej w Londynie. Rzecz opatrzona mapą i szkicami strategicznymi ukazała się w dwu wydaniach, przynosząc obok tekstu głównego głosy w dyskusji.

Pułk. Leon Mitkiewicz wydał nakładem Zw. Kawalerzystów i Artylerzystów Konnych obszerną i naukowo opracowaną księgę o „Kawalerii samodzielnej Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 roku" oceniającą fachowo możliwości i osiągnięcia tego rodzaju broni. W Manchesterze, z inicjatywy pułk. Kazimierza Minkiewicza ukazała się dalsza broszura z cyklu monografii pułkowych — historia odznaki pamiątkowej I p. Ułanów Legionów Polskich Beliny im. J. Piłsudskiego. Tekst opracowany przez pułk. J. Kolec-Smoleńskiego, powielono starannie, opatrując drukowaną kartą tytułową. Równie starannie wydano „Katalog Wystawy Broni Pancernej 1919-1947 w dn. 19-20.IX.1964 w Instytucie Hist. im. Sikorskiego".

Za każdą z tych publikacji wojskowych stoją grupy entuzjastów zdobywających się na ogromny wkład mozolnych poszukiwań bibliotecznych i korespondencyjnych. Rzecz zasługująca na ujawnienie i pochwałę.

Wydawnictwem pomyślanym niezmiernie szczęśliwie jest swoiście pojęta „Biała księga" w oprac. prof. Wiktora Sukiennickiego o podtytule „Fakty i dokumenty z okresu dwóch wojen światowych". Jest to niejako katechizm pytań i odpowiedzi dotyczących najistotniejszych aspektów sprawy polskiej i układu sił na terenie międzynarodowym w ujęciu przynoszącym rzeczowe wyjaśnienia i niezbędne teksty dokumentów. Rzecz niezmiernie na czasie, aż dziw, że ukazuje się dopiero w r. 1964, Wydał ją, jak już wiadomo czytelnikom „Kultury" Instytut Literacki w Paryżu w serii „Dokumenty".

(Tu nieśmiały komentarz „outsidera". O użyteczności takiego komentarza dla młodszych generacji świadczą takie zjawiska jak np. spłoszone pytania 16-latków o znaczenie pieczęci „Feldpost" na kartkach pocztowych pisanych przez legionowych dziadków. Dlaczego po niemiecku? Albo spontaniczny komentarz dziadka do wyświetlanego w telewizji brytyjskiej filmu dokumentarnego o I Wojnie światowej: „My pamiętamy raczej materiał fotograficzny z pism wiedeńskich i berlińskich...". Albo zdumienie innej młodej osoby, gdy poznański protoplasta „manchesterskiej" rodziny omawia fachowo warunki egzystencji okopowej pod Verdun z Francuzem-Alzatczykiem: obaj służyli w armii niemieckiej! Ten stan rzeczy wymaga niejednego komentarza).

Wdowa po śp. drze med. Hermanie Zdzisławie Scheuringu

wydała przy pomocy Jędrzeja Giertycha w ramach wydawnictw Tow. im. R. Dmowskiego obszerną rozprawę Zmarłego pt. „Czy królobójstwo? Krytyczne studium o śmierci króla Stefana Wielkiego Batorego". Interesujące wywody z zakresu medycyny sądowej poddające rzeczowej analizie informacje dotyczące choroby i przyczyn zgonu króla obudowane są, niestety, po amatorsku nakreślonym tłem historycznym, co obniża wartość opracowania. Jest ono jednak świadectwem wieloletnich mozolnych poszukiwań rzetelnego miłośnika nauk historycznych; winno doczekać się rzeczowej oceny fachowych znawców zagadnienia.

I tak już pokaźna grupa wydawnictw dotyczących 1863 r. zwiększyła się o przedruk rozprawy dr. Walentyny Rudzkiej z Nowego Yorku o „Karolu Majewskim w latach 1859-1864", wyd. przez londyński „Orbis" z inicjatywy Pol. Ośrodka Naukowego w oparciu o egzemplarz I-go wyd. z r. 1937. Rzecz cenna, uzupełniona wynikami dalszych poszukiwań.

Echem uroczystości związanych z 600-leciem Uniw. Jagiellońskiego jest polska i angielska wersja wartościowego odczytu dra Leona Koczego wydana w Szkocji. Wspomnieć tu warto, że przesłane z terenu W. Brytanii adresy z podpisami b. wychowanków i życzeniami naukowych, instytucji emigracyjnych budziły sensację na krakowskiej wystawie w Bibliotece Jagiellońskiej a przed tym przyjęte były gromkimi oklaskami na oficjalnych uroczystościach rocznicowych.

Publikacją dyskutowaną niezmiernie żywo — ale taki był chyba jej cel? — jest „Ewolucjonizm" Juliusza Mieroszewskiego (Inst. Literacki w Paryżu), wysuwający znane czytelnikom „Kultury" hipotezy na temat przemian dokonujących się w teorii i praktyce komunizmu a w szczególności „polskiej" jego wersji.

„Nowością" ostatniej chwili jest niełatwa do scharakteryzowania książka Alfonsa Jacewicza z Meksyku pt. „Jurij Dąbski" (wyd. przez Księg. B. Świderskiego w Londynie). Autor określa ją jako swe własne ale „zbeletryzowane" wspomnienia a podany na obwolucie życiorys wyznanie to potwierdza. Rzecz należy formalnie do cyklu reprezentowanego przez „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego" M.K. Pawlikowskiego a tematycznie łączy ją niejedno ze „Sprawą pułk. Miasojedowa" Józ. Mackiewicza i trylogią „rosyjską" Józ. Łobodowskiego. Bohaterem jest Polak z pochodzenia, prawosławny i zruszczony, Jurij Dąbski, który po barwnie nakreślonych przygodach w armii Denikina, za radą „białego" dowódcy pułk. Chana Nachiczewańskiego wyrusza do Warszawy, wstępuje na ochotnika do armii polskiej i bohatersko walczy z bolszewikami, zdobywając Krzyż Walecznych. Ta część książki nie nasuwa zastrzeżeń innej niż artystyczna natury: w szczególności razi nadmiar cytat rosyjskich. W części dalszej odnajdujemy Dąbskiego na Wołyniu w roli nauczyciela szkoły powszechnej — a następnie w roli reprezentacyjnego działacza Związku Szlachty Zagrodowej. Rozbrajająco naiwna krytyka poczynań woj. Henryka Józewskiego (a co za tym idzie Juliusza Poniatowskiego, Stefana Czarnockiego, Jakuba Hoffmana, Józefa Śleszyńskiego, Mieczysława Zadróżnego, Franciszka Mączaka — i tylu innych!) łączy się z nieukrywanym entuzjazmem okazywanym przez autora nie tylko w stosunku do właściwej akcji Związku polegającej na „podnoszeniu wzwyż" przy pomocy masowo przechowywanych w kufrach dokumentów szlacheckich — ale i prowadzonej równolegle i bardzo po niedźwiedziemu akcji „polonizacji" cerkwi i masowych „nawróceń", budzących zastrzeżenia nie tylko posłów sejmowych ale i światłego kleru. Lektura „Jurija Dąbskiego" (i on nawrócił się entuzjastycznie na katolicyzm) jest przeżyciem bolesnym i nieoczekiwanym, w części tylko dającym się wytłumaczyć izolacją autora przebywającego od lat w Meksyku.

Brak miejsca nakazuje odłożenie omówienia pokaźnej liczebnie, b. urozmaiconej i wartościowej dawki poloniców z r. 1964 do następnego zeszytu „Kultury".

(m. l. d.)

Taksówkarz, laureat i pisarz amerykański

Jeden z dziennikarzy „Paris Match'u" opowiada następującą anegdotę. Jechał kiedyś taksówką w Paryżu, gdy nagle młody Murzyn, wbrew wszelkim przepisom i nie bacząc na niebezpieczeństwo, przebiegł tuż przed samochodem na drugą stronę ulicy. Taksówkarz gwałtownie zahamował i krzyknął do Murzyna:

— *Si tu ne fais attention en traversant, tu ne seras pas longtemps indépendant.*

W tym zdaniu skondensował się stosunek większości Francuzów do rasy czarnej. Chciałbym tu skreślić kilka uwag na temat tej sprawy, widzianej wyłącznie z punktu widzenia psychologicznego.

Większość Francuzów myśli, że dar, który ofiarowała Francja Murzynom w postaci niepodległości, jest darem narzuconym przez wypadki i bieg historii, jest więc czymś niedopasowanym, trudnym w manipulacji i trochę śmiesznym. To tak, jakby dać komuś, który namiętnie pragnie i poszukuje mieszkania, najbardziej nowoczesny typ odkurzacza. Mieszkania nie ma, ale jest odkurzacz.

Francja topi obecnie miliony w budowę tego mieszkania i dumna jest z ofiarowanego prezentu. Ale pobłażliwy i ironiczny

stosunek przeciętnego Francuza do tej sprawy musi z konieczności budzić u czarnych kompleksy. Z jednej strony kompleks napuszonej dumy, z drugiej — kompleks przewrażliwienia.

Pamiętam, że gdy byłem w Brazzaville, mój boy, poczciwy i dobroduszny Bonifacy (nie myślę by sympatyzował teraz z mulelistami i nazywał siebie „Simbą" — lwem) w każdą niedzielę czy święto zapinał kołnierzyk pod szyją i nakładał żółty, przerażająco jaskrawy krawat. Był trudny do opisania upał, lał się z nas pot, marzyło się o tym, by móc chodzić zupełnie nago. A Bonifacy zapinał kołnierzyk i nakładał krawat. Po co było mu to potrzebne? Po prostu, ten jaskrawy krawat — to była jego niepodległość. Czuł się nam równy, a ponieważ nie miał ambicji, poprzestawał na krawacie. Mógł też spokojnie i beztrosko patrzeć w przyszłość, bo krawat nie niósł ze sobą trudnych do przewidzenia komplikacji.

Inni jednak mieli za niego ambicje. Stąd bieg historii i wrzący kocioł afrykański. Prawdopodobnie, gdyby kocioł ten nie wrzał lecz tylko dymił nieznacznie, jeden z kompleksów — kompleks przewrażliwienia — zanikałby powoli, a taksówkarz paryski nie miałby racji naigrawać się z czarnej niepodległości. Teraz jednak, by kompleks ten usunąć, trzeba czekać na to, aby państwa afrykańskie zaczęły budować własne samoloty odrzutowe, stworzyły własny przemysł przetwórczy, pokryły ten ogromny ląd siecią dróg asfaltowych, zbudowały szpitale i przedszkola, zaczęły wydawać na świat setki Senghorów.

W tej perspektywie przyznanie niepodległości krajom afrykańskim nie było żadnym rozwiązaniem stosunków między białymi i czarnymi. Wprost przeciwnie, wprowadziło ono do tych stosunków, wbrew obustronnie pokładanym nadziejom, nowy kompleks, który jest przyczyną nieporozumień, a może nawet krwawych rozgrywek. Czyż znaczy to, że nie należało tej niepodległości przyznawać? Oczywiście, że nie. Znaczy tylko, że czarni i biali są spleceni obecnie dodatkowymi więzami, tak jak stare, skłócone małżeństwo, które zaprzysięgło nierozerwalność. Któregoś dnia mąż ofiarował żonie prezent i myślał z zachwytem o sobie, że jest hojny i wspaniałomyślny, i myślał także, że wniesie dzięki temu podarunkowi błogi spokój do domu. A tymczasem prezent wywołał nowe trudności. Żona zamiast buntować się przeciwko władzy męża, zaczęła dyktować swe warunki.

André Gide, który odbył w swym życiu dwie egzotyczne podróże, jedną do Moskwy, a drugą do kraju, który nosi obecnie nazwę Niezależnej Republiki Konga, napisał w swych wspomnieniach z tej drugiej podróży takie zdanie: „Im biały jest głupszy, tym czarny wydaje mu się bardziej głupi". Stwierdzenie to zawiera morze demagogicznej prawdy. Demagogicznej dlatego, że to niezaprzeczalnie słuszne spostrzeżenie odnosi się do wszystkich ludzi na świecie, a nie tylko do stosunków między białymi i czarnymi.

A poza tym istnieje przecież jakiś obiektywny wymiar głupoty. Ci, którzy go dostrzegają i piętnują, nie są chyba analfabetami. Dlatego też daleki jestem od posądzania taksówkarza paryskiego o głupotę, gdy z pewną ironią mówi o niepodległości państw afrykańskich, i tym bardziej podejrzenie to nie nasuwało mi się na myśl, gdy czytałem książkę tegorocznego laureata nagrody Goncourt'ów Georges Conchon: „l'Etat sauvage".

Taksówkarz i laureat. Obaj widzą to samo: nieporadność młodych państw afrykańskich, poczucie zażenowania z powodu tej nieporadności i jednocześnie dziecinną, naiwną, wzruszającą radość wywołaną faktem, iż jest się niezależnym. Taksówkarz i laureat. Czyż nie jest to jakaś nie podlegająca wątpliwości — przeciętna? I czyż przeciętna ta nie jest dodatkową przyczyną zwiększającą kompleks przewrażliwienia u czarnych?

Conchon napisał wspaniałą książkę. Jest to może jedna z najlepszych rzeczy jaka ukazała się w ostatnich czasach we Francji. Kilka lat temu został on wysłany w oficjalnej misji do jednego z młodych państw afrykańskich, spędził tam pół roku i po powrocie do Paryża ubrał swe wrażenie z tego pobytu w formę powieści. Mamy w niej wszystkie elementy istniejącej rzeczywistości. W stolicy kraju, obok kilku nowoczesnych i luksusowych buildingów, domki ponurych przedmieść europejskich, członkowie rządu i wysocy urzędnicy rozpierający się w dawnych willach i rezydencjach białych, w całym kraju nędza, ta sama, a może nawet większa niż poprzednio, prostytucja dwunastoletnich dziewczynek, obojętność polityczna mas, ich apatia i zabobonne lęki przeradzające się w gwałt, samowola nowych władz, panoszenie się białych, którzy przestali być panami, a czują się nimi w dalszym ciągu. Teren, który jest wulkanem. Jeżeli wulkan ten nie wybucha ciągle, to tylko dlatego, że duszny upał wyczerpuje wszystkich, że istnieje rutyna codziennego dnia, że przyzwyczajenia są silniejsze od gniewu i że panuje ogólne zniechęcenie. W książce Conchon'a dochodzi jednak do wybuchu.

Iskrą zapalającą proch są ci, którzy wychodzą z utartego szablonu i chcą wznieść się ponad przesądy, urazy, zawiści. Są nimi: Francuz, Avit, młody intelektualista z UNESCO, kochający z odległości i teoretycznie Murzynów i ich prawa do równości, który przyjeżdża do tej Republiki w misji oficjalnej, jego żona Laurence, która rzuca go, by zostać kochanką Murzyna, ministra zdrowia publicznego, Doumbe, i wreszcie ów minister, typ Murzyna wyewoluowanego, który skończył studia wyższe we Francji, który boleje nad zacofaniem kraju, zwalcza samowolę rządu i ginie rozstrzelany przez swych kolegów pod zarzutem, że przeszedł na stronę białych. Po tym morderstwie, przeciwko Avitowi i Laurence podnosi się gniew obu rasizmów: białego i czarnego. Białego, bo Laurence była kochanką Murzyna, a Avit zamiast potępić ją broni jej; czarnego, bo jakoby Lau-

rence sprowadziła ministra Doumbe na złą drogę, a potem wraz z Avitem stała się przedmiotem pogardy białych. Biali którymi gardzą biali nie mogą cieszyć się szacunkiem czarnych.

Rasizm nie tylko nienawidzi tych, którzy mają inny kolor skóry, ale także tych, którzy nad tą różnicą koloru chcą przejść do porządku dziennego. Nad głową tych ostatnich rasizmy podają sobie rękę. W książce Conchona, biali i czarni, podzieleni zwykle tysiącem drobnych zatargów, wzajemną niechęcią i narastającymi konfliktami, teraz, we wspólnej i zgodnej euforii, w stanie dzikiego podniecenia prześladują Laurence i Avita. Ich dwoje i ministra Doumbe spotyka los, jaki przypada tym, którzy są wyznawcami nowych idei.

Państwa afrykańskie domagały się i przyjęły nową ideę — ideę niepodległości, bo nie wprowadzała ona żadnych lub prawie żadnych zmian do sytuacji wewnętrznej tych państw. Lecz zarówno biali żyjący na czarnym lądzie jak i czarni odrzucają ideę asymilacji i zbliżenia na zasadzie równości, gdyż zastosowanie tej idei byłoby rewolucją. A rewolucji tej nie życzą sobie ani rasizm biały ani czarny.

Powieść Conchona jest procesem obłędu jaki rodzą rasizmy. Czy znaczy to, że pragnie on asymilacji? Nie sądzę. Ogranicza się on tylko do pokazania, że próby rozwiązania stosunków między białymi i czarnymi na drodze asymilacji są obecnie nie do pomyślenia. Dlatego przede wszystkim, że wmieszał się do tej sprawy nowy element — rasizm czarnych. Dotychczas, o ile istniała w Afryce jakaś asymilacja, to miała ona kierunek jednostronny. Wychodziła od białych. Przykładem takiej jednostronnej asymilacji są kolonie portugalskie. Na kontynencie afrykańskim nie widziałem miasta, w którym mieszkańcy mieliby w tak przeważającej ilości jasno-czekoladowy kolor skóry, jak stolica Angoli, Luanda. Stało się to dzięki temu, że biedna Portugalia miała inny system kolonizowania terenów afrykańskich niż potężne i bogate w swoim czasie Anglia i Francja. Anglia i Francja eksportowały do Afryki kapitały i nieliczne tylko grupy urzędników, techników i wojskowych. Portugalia nie miała kapitałów, więc eksportowała ludzi: zabiedzonych robotników i chłopów, którzy przyjeżdżali sami, bez kobiet i brali pierwszą spotkaną Murzynkę za żonę czy kochankę, a potem jako żarliwi katolicy fabrykowali niezliczone ilości dzieci. Dzisiaj ci czekoladowi mulaci buntują się przeciwko swym białym kuzynom.

Problem jednak asymilacji, wymieszania ras, czy współżycia na zasadzie zupełnej równości, ma w Afryce, poza Unią Południowo-Afrykańską, skromne wymiary. Lecz faktem jest, że na drodze asymilacji dwustronnej stanął czarny rasizm. A w niedalekiej przyszłości stanąć on może na drodze przyjaznej współpracy i dobrych stosunków z białym zachodem (biały, czy jak niektórzy wolą — czerwony wschód, to jeszcze inny problem). Rasizm ten rozwinął się, dojrzał, skonkretyzował od czasu uzyskania niepodległości przez kraje afrykańskie. Przedtem był formą samoobrony, teraz staje się siłą agresywną.

No więc jak jest z tą niepodległością?

◆

Zbieg okoliczności sprawił, że prawie jednocześnie z powieścią Conchona przeczytałem dwie książki autorów amerykańskich. Ben Haas'a ogromne tomisko pod tytułem „Look away, look away", i w odbitkach — książka ta bowiem ukazać się ma w druku dopiero w kwietniu 65 roku — powieść nieżyjącego już dzisiaj byłego korespondenta wojennego, Murzyna, Roi Ottley'a, pod tytułem: „White marble lady". Obie poświęcone są sprawie murzyńskiej.

Książka Ben Haas'a jest właściwie reportażem ujętym w formę powieści. Autor pochodzi z południa, studiom nad sprawą murzyńską poświęcił wiele lat, stała się ona jego pasją. Rzecz oczywista problematyka, którą opisuje, jest inna od tej, którą porusza laureat nagrody Goncourtów. Conchon mówi o Murzynach, którzy zdobyli już tak zwaną równość i o konsekwencjach uzyskania przez nich niepodległości, Ben Haas opisuje proces walki o te prawa równości.

W swoim czasie wiązano na Zachodzie pewne nadzieje z faktem, że żołnierze sowieccy wypuszczeni w związku z wojną ze szczelnego zamknięcia do krajów zachodnich, będą po powrocie do siebie zarazkami, które zatrują i przyczynią się do upadku komunizmu. Żołnierze powrócili, komunizm nie rozleciał się, a na pewną liberalizację czekać trzeba było długich jedenaście lat. Inaczej stało się w Ameryce. Nieprzezornie wypuszczeni z zamknięcia w stanach południowych czarni żołnierze amerykańscy, nie tylko nie stykali się w Europie z upokorzeniami, ale byli zwycięzcami witanymi z radością i to zwycięzcami nad narodem białych. Po powrocie musieli stać się owymi zarazkami, które zaczęły rozsadzać przyjęte zwyczaje.

Ten powrót i stopniowe narastanie konfliktu między czarnymi i białymi opisuje Ben Haas. By dać jak najpełniejszy i jak najbardziej zrozumiały obraz splotu licznych interesów ścierających się w walce z segregacją, autor nadaje kształt żywej osoby każdemu z możliwych stanowisk wobec tej sprawy. Mamy więc wszystkie odcienie poglądów na to zagadnienie osób mieszkających na południu. Dla wygody podzielę te poglądy na dwie części: te w obozie czarnych i te w obozie białych.

W tym pierwszym istnieją następujące możliwości: na wpół ewoluowany czarny, który bił się w Europie, a po zakończeniu wojny występuje z żądaniami pewnej równości praw dla siebie z tytułu położonych zasług — z czasem ten egoista przekształci się w apostoła, który walczyć będzie o prawa dla wszystkich czarnych — metoda walki: bierny opór, gandhyzm (Ben Haas myśli zresztą, że jest to jedynie skuteczna metoda); Murzyn również na wpół ewoluowany, który szuka rozwią-

zania nie na drodze ruchu masowego, lecz we własnym zakresie — pragnie on odegrać się, zemścić się za doznawane krzywdy, zrobić forsę i, będąc bogatym upokarzać białych; Murzyn-izolacjonista, który myśli tak: każde zetknięcie ze światem białych przynosi zawód i niesprawiedliwości, by ich uniknąć zamknijmy się w gettach i zerwijmy wszystkie kontakty z białymi; Murzyn, którego doznane przykrości wprowadzają na drogę gwałtu i przestępstw; Murzyn-fanatyk, z grupy Muzułmanów, który zieje nienawiścią do białych, domaga się własnego państwa murzyńskiego i jest uosobieniem czarnego rasizmu; Murzyn z „Chaty Wuja Toma", pokorny, lękliwy i co tu dużo mówić, wiernie przywiązany do białych — walka z segregacją jest dla niego czymś niezrozumiałym i niepotrzebnym; Murzyn nowego pokolenia, który ma już za sobą studia średnie, który jest w pełni świadomy swych praw i gotów jest podjąć ryzyko wszystkich poświęceń, by prawa te zdobyć; mulat zawieszony w próżni, bo mimo, że nie jest uznawany przez białych, stara się odciąć od czarnych; prawie biała mulatka, która marzy o asymilacji i opuszcza południe, by żyć z białymi na równej stopie; bezradni pastorzy i czarni księża, którzy szukają na próżno wyjścia, a których rola ogranicza się do występowania przeciwko przemocy i gwałtom.

Obóz białych: tradycjonalista-konserwatysta, który przy pomocy nieznacznych tylko koncesji pragnie utrzymać status quo — jego stosunek do Murzynów jest dobroduszno-patriarchalny — nienawidzi on rządu federalnego i strzeże zawistnie tak zwanych suwerennych praw stanów południowych; były wojskowy, skrajnie prawicowy (generał Walker) domagający się tłumienia siłą i przy pomocy wojska jakiegokolwiek oporu czarnych; finansista śledzący z niepokojem emancypację czarnych i wymykanie się spod kontroli taniej siły roboczej — gotów jest finansować każdy ruch utrzymujący segregację; członek Ku-Klux-Klanu, wyznawca metody terroru i zastraszania czarnych; zawieszony w próżni przedstawiciel młodego pokolenia, który rozumie słuszność żądań czarnych, lecz zbyt silnie związany jest z tradycją południa; lewicowy intelektualista z południa zwalczający segregację, bo taki jest bieg historii; humanista z północy domagający się równości, bo przecież czarny jest także człowiekiem; komunista podjudzający czarnych; polityk starający się robić karierę na konflikcie południa z północą.

Nielada mozajka, co? Czy są to wszystkie odcienie, nie wiem, Trudno jednak wyobrazić sobie by było ich więcej. Ben Haas rejestruje to wszystko i nie wyciąga wniosków. Ponieważ jest przeciwnikiem segregacji interesuje go tylko etap skomplikowanej walki o równe prawa. Chce on nas poinformować o nadużyciach i niesprawiedliwościach w stosunku do czarnych i pokazać jak zawiłe i trudne jest zdobywanie równości. A co będzie po odniesieniu tego zwycięstwa, co będzie dalej?

Ameryka dokonała już niebywałej rzeczy: potrafiła stopić w jeden naród przedstawicieli dziesiątków narodów. Każde dziecko wie, że Polacy i Niemcy nienawidzą się w Europie, z chwilą zaś gdy zostają obywatelami amerykańskimi żyją ze sobą w zgodzie. Czy dojdzie w Ameryce do innej niebywałej rzeczy, do stopienia białej i czarnej rasy? Czy stopienie to przyjmie formę wymieszania ras, czy też zgodnego współżycia dwóch równych sobie, lecz ściśle oddzielonych wspólnot?

Na pierwszą część pytania odpowiada w pewnym sensie książka Roi Ottley'a. Jest to przetransponowana na okres przedwojenny, wojenny i powojenny historia Romeo i Juliette. Romeo jest czarny, Juliette biała. Przeciwko miłości tych dwojga, a później ich małżeństwu powstają dwa wspólne fronty: czarny i biały, i w obu wypadkach, nie tylko rodzinny, lecz także ogólny. Ale w powstaniu tych frontów, poza tradycyjnymi sprzeciwami zasadniczą rolę odgrywa, zdaniem Ottley'a, element seksualny. U białych samców gniew i zawiść, że ładna, ponętna biała wpadła w objęcia czarnego, a więc kogoś, który należy do niższej i mniej wartościowej kategorii. U czarnych samiczek gniew i zawiść, że młody, przystojny Murzyn pogardził nimi i wybrał białą. Według Ottley'a na drodze wymieszania ras staje zachłanność wszechwładnego instynktu seksualnego, który splótł się z przesądami segregacji. Walka z tym instynktem wydaje się skazana na przegraną.

Jest jednak jeszcze inny element. Shakespeare wyrobił w nas przekonanie, że Romeo i Juliette byli stworzeni dla siebie. Gdyby nie wrogie rodziny i tragiczne wypadki, ta para zakochanych żyłaby długo, w nieprzerwanym szczęściu i w otoczeniu licznego potomstwa. To samo przekonanie wyrobiła w nas inna historia Romeo i Juliette, świeżo napisana i ciesząca się niebywałym powodzeniem w teatrze i filmie: „West Side Story". A u Ottley'a jest inaczej. Myśli on, że ta murzyńsko-biała para nie jest stworzona dla siebie. Po okresie euforii, następują wewnętrzne tarcia, dochodzi do nieporozumień. Para zakochanych rozchodzi się nie na skutek nacisków z zewnątrz, bo te przyczyniały się do jej zespolenia, lecz rozkłada się od wewnątrz. Mimo bowiem wzajemnej miłości, mimo nienawiści do wszelkich uprzedzeń, zbyt silnie tkwią zarówno w nim jak i w niej związki z własnym środowiskiem, z wyniesioną z domu mentalnością, z gatunkiem reakcji. Podobny rozkład wewnętrzny, zdaniem Ottleya, czeka wszystkich kochanków należących do innych ras.

Nie będzie więc wymieszania ras — myśli Ottley — i nie powstaną w Ameryce pokolenia o mleczno-czekoladowej skórze.

Jeżeli nie dojdzie zatem do wymieszania ras, jak ułożą się stosunki między białymi i czarnymi. Jest po pierwsze możliwość, której zrealizowania domagają się rozfanatyzowani Murzyni muzułmańscy. Stworzyć z kilku stanów południowych, po uprzednim usunięciu z nich ludności białej, niezależne państwo murzyńskie. Jednym słowem pójść śladem de Gaulle'a i Algierii.

Tutaj trudności są łatwe do przewidzenia. Wystarczy jeszcze raz przeczytać książkę Conchona.

Poza tym istnieje jeszcze jakaś inna możliwość. Ta, o której nikt nie myśli, o której nikt nie mówi, której nikt nie przewiduje. Ani ja też. I ta zrealizuje się na pewno. Bo takie jest życie.

◆

Na zakończenie jeszcze jedno pytanie: czy między tymi trzema książkami poświęconymi sprawie murzyńskiej istnieje jakaś wspólna platforma? Czy na ich podstawie możne mówić o jakiejś charakterystycznej podstawie pisarzy wobec problemu czarnych?

Odpowiedź brzmi twierdząco. Oto zestawienie tych cech charakterystycznych. Pisarze ci:

1) odnoszą się do czarnych z sympatią,
2) potępiają segregację i ekscesy rasizmu czarnego i białego,
3) widzą trudności, wobec których stoi sprawa ułożenia się stosunków między białymi i czarnymi,
4) szukają wyjścia i nie znajdują go,
5) miewają odruchy zniechęcenia i poczucie beznadziejności,
6) wreszcie — i jest to rzecz najbardziej zdumiewająca — piszą o tym problemie z największym, nieprawdopodobnym obiektywizmem.

To ostatnie jest najważniejsze. Zamiast dolewać oliwy do ognia, zamiast podburzać i jątrzyć, zamiast wysuwać mrzonki i walczyć o nie z pasją, pisarze ci wzywają do spokoju i opanowania. Jest to metoda kleru. Gdy wszystko zawodzi, pozostają wezwania o spokój. W tym sensie literatura ta nie wyprzedza rzeczywistości.

Ale jest potrzebna, bo pokazuje trudności. A ponieważ jest potrzebna, więc nie jest ona ani ową cudowną orchideą — o której mówi Claudel — a która nie widziana przez nikogo zakwita w środku dziewiczej puszczy, ani przepięknym szmaragdem, którego górnik nie wydobędzie nigdy na powierzchnię ziemi.

Paweł ZDZIECHOWSKI

Filozofia dla wszystkich

Każdego dnia znajdujemy w prasie wywiady z aktorami filmowymi, politykami, modnymi powieściopisarzami i innym komediantami, których na-

zwiska znane są szerokiej publiczności. Trudniej o wywiady z przedstawicielami ponoć mniej błyskotliwego życia intelektualnego. Pokusił się o to młody Hindus, Ved Mehta, który przeprowadził serię wywiadów z angielskimi filozofami i historykami, a także naszkicował sylwetki kilku niedawno zmarłych. Te wywiady i szkice drukowane były w *New Yorker*'ze, a ostatnio ukazały się w formie książkowej pod tytułem „Spotkania z brytyjskimi intelektualistami" *(Encounters with English Intellectuals,* Londyn, 1963). Mehta ma lekkie pióro, poczucie humoru i zdolność charakteryzacji ludzi, z którymi rozmawia. Jest z wykształcenia historykiem więc zupełnie swobodnie streszcza poszczególne stanowiska metodologiczne historyków, ich namiętne polemiki i wzajemne ataki. Słabiej wypadły szkice filozofów, raz dlatego, że ich zagadnienia nie poddają się łatwo popularyzacji, a także dlatego, że Mehta posiada zaledwie powierzchowną znajomość przedmiotu.

Wielką tradycją filozofii angielskiej, różną od filozofii na kontynencie Europy, jest metoda empiryczna. Rozwinął ją w XVII stuleciu John Locke, udoskonalił George Berkeley i David Hume, a współcześni filozofowie brytyjscy, z Russellem i Ayerem na czele, są tej tradycji spadkobiercami. Empiryzm jest po prostu zastosowaniem zdrowego rozsądku do problemów filozoficznych i jest znamiennym składnikiem mentalności anglosaskiej. Filozofia ta odrzuca spekulacje metafizyczne, które mają rzekomo dostarczyć odpowiedzi na wszystkie nurtujące nas pytania, na rzecz obiektywnej oceny widzialnego świata. W pierwszej swojej pracy pt. *Język, prawda i logika* dwudziestoletni Ayer głosił zasadę weryfikacji, wedle której jedynie twierdzenia, które można naukowo sprawdzić, lub które dotyczą naocznych doświadczeń, zasługują na przyjęcie: wszystkie więc systemy rozwodzące się apodyktycznie o roli człowieka w wszechświecie, o Bogu, o pięknie, o nieuniknionej walce klasowej, są, w pełni tego słowa znaczeniu, bezsensowne.

„Wciąż jeszcze pokutuje przekonanie, powiedział niedawno Ayer, że filozofia jest w stanie odkryć nam najogólniejsze cechy bytu. Jest to pogląd, którego kurczowo trzymają się marksiści i który w spadku przekazał im Hegel. Filozofia zbudowana na tej zasadzie, musiałaby być tak powszechna, że żaden zaobserwowany fakt nie byłby w stanie jej obalić. Ale cena, jaką taka teoria płaci za nieomylność jest brak w niej jakiejkolwiek rzeczowej treści. Z takiego punktu widzenia, założenie, że wszystko zależne jest od praw dialektyki, jest równie bezwartościowe jak założenie, że wszystko zależne jest od opatrzności boskiej. Hipoteza, która tłumaczy wszystko, w sensie, że nic nie jest w stanie jej zaprzeczyć, nie tłumaczy niczego".

W przeciwieństwie więc do egzystencjalistów, marksistów, teologów i wszelkiego typu myślicieli idealistycznych, Ayer ogranicza rolę filozofii do poszczególnych problemów logiki i poznania, które nie zostały jeszcze przez nauki przyrodnicze rozwikłane. Wolny od doktryny i ideologii, która narzuca jednolity wzór świata i losu człowieka, Ayer, podobnie jak inni przedstawiciele angielskiej szkoły zdrowego rozsądku, nie jest zmuszony przeczyć faktom, jeżeli fakty nie zgadzają się z hipotezą... przeciwnie, jeżeli zachodzi potrzeba, modyfikuje hipotezę aby dostosować ją do faktów.

Angielska filozofia XX-go wieku ma wielu mistrzów: oprócz powszech-

nie znanego Russella, oprócz Ayera, oprócz zmarłego niedawno Moore'a, istnieje grono mniej znanych filozofów. Do tej grupy należą uwzględnieni przez Mehtę Ryle, Hare, Strawson i Hampshire. Ale chyba najoryginalniejszą sylwetką jest zmarły przeszło 10 lat temu Ludwig Wittgenstein który... słowa po angielsku nie napisał. Jego ekscentryczną, tragiczną postać, tak różną od innych przykładnie akademickich filozofów, również spotykamy w kąsiżce Mehty. Wittgenstein urodził się w Wiedniu. Studiował inżynierię w berlińskiej Technische Hochschule i w Manchesterze. Lektura *Zasad Matematyki* Russella zbliżyła go do filozofii. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, zaciągnął się do armii austriackiej. W okopach napisał swoje pierwsze dzieło filozoficzne, które wkrótce ukazało się w tłumaczeniu angielskim z przedmową Russella i odegrało przełomową rolę w rozwoju angielskiej filozofii. Sam autor jednak ustosunkował się do swego dzieła obojętnie, zrzekł się też ogromnej fortuny, którą odziedziczył po ojcu i po ukończeniu kursu pedagogicznego w Wiedniu, przez sześć lat nauczał w wiejskich szkółkach. Później pracował jako ogrodnik, przeważnie w klasztorach i myślał o życiu duchownym. Powrócił jednak do Wiednia i poświęcił parę lat architekturze i rzeźbie. W 1929 znalazł się w Cambridge, gdzie wkrótce zasłynął ze swego nieortodoksyjnego i niezwykle surowego stylu życia i metody nauczania. Podczas ostatniej wojny pracował jako sanitariusz w szpitalach. Ostatnie lata przeżył w pogarszającej się stale depresji, przekonany, że utracił swoje siły twórcze. Umarł na raka w 1951 roku. Jego dzieła mają formę epigramatycznych, zaskakujących nieraz sformułowań: „Cała współczesna koncepcja świata, oparta jest na złudzeniu, że zjawiska w naturze dadzą się wytłumaczyć za pomocą tzw. praw natury. Dziś uważa się prawa natury za nienaruszalne: podobnie w dawnych czasach traktowano Boga i przeznaczenie".

Ponieważ niepokoi mnie arogancja uczonych i pozostaję przekonany, że, na przykład, ziemia jest płaska; ponieważ postulaty fizyków wydają mi się tylko jednym z wielu możliwych modeli będących w stanie wytłumaczyć strukturę wszechświata, podziwiam odwagę tego inżyniera i matematyka, który nie bał się zakwestionować postawowych dogmatów scjentyficznych.

Plejada historyków angielskich, której Mehta poświęca drugą część książki, przedstawia w sumie bardziej pasjonujący dramat: tu jesteśmy bliżej namiętności ludzkich, dalej od abstrakcji; a także historia i historiozofia angielska mają dziś bardziej zróżnicowanych przedstawicieli niż filozofia. Jest przecież i Toynbee doszukujący się identycznych cyklów rozwojowych w ośmiu różnych cywilizacjach, i niemiłosiernie za te metafizyczne spekulacje przez swych bardziej trzeźwo na historię ludzkości patrzących kolegów zwalczany, jest Carr pracujący od lat nad gigantyczną historią Związku Sowieckiego, jest historiozof Isaiah Berlin, Łotysz z pochodzenia, wróg determinizmu historycznego, któremu hołduje marksista Carr, jest Taylor, autor zaciekle dyskutowanego studium o źródłach drugiej wojny światowej, w którym stawia tezę, że zdobywający władzę Hitler nie był wcieleniem szatana, lecz przeciętnym politykiem, któremu dopisało szczęście i który dopiero w czasie wojny nabrał rozmiarów demonicznych.

Ale tak jak jednym z największych powieściopisarzy angielskich XX wieku jest Polak Conrad-Korzeniowski, a jednym z najwybitniejszych filozofów Austriak Ludwig Wittgenstein, tak powszechnie uznany za największego historyka angielskiego jest znowu Polak Bernstein-Namierowski, znany jako Sir Lewis Namier, który zrewolucjonizował studia historyczne przyjmując zasadę wyczerpujących badań źródeł przy zachowaniu w ich ocenie skrupulatnej obiektywności. Ponieważ pochodził ze Wschodniej Europy, relacjonuje Mehcie ulubiony uczeń Namiera John Brooke, mógł zostać nieuprzedzonym badaczem stosunków angielskich. Z olimpijskich szczytów Namierowski oglądał historię Anglii w XVIII stuleciu. Jaka szkoda, że angielski świat naukowy nie może się zrewanżować, wysyłając do Warszawy historyka rangi Taylora czy Butterfielda, by zbadał równie bezstronnie współczesną historię Polski!

Adam CZERNIAWSKI

"Madonny" O. Chabrowskiego

Najpierw uderza w nich nieporadność wynikająca z niepewności wewnętrznej. Tak jakby Chabrowski chciał powiedzieć: Sam jeszcze nie wiem, dokąd pójdę? Druga cecha, to nurtujący pewnik przymusu tematycznego.

Tomik zawiera 32 wiersze, trzydzieści dwa wyznania poetyckie, oparte w większości na tematyce religijnej. Ojciec Chabrowski jest zakonnikiem, są to więc dla niego zasadnicze tematy, tylko że ich blask poetycki gaśnie i traci na kolorze, załamuje się nawet tam, gdzie właściwie poeta nie ma już przeszkód. Na otwartej pod słowa wizji.

A jednak tomik przykuwa swoją bezpośrednością. Wśród uogólnień, prozaimów i banalnych wykrzykników, czuje się obecność słowa. Bo jak napisać dziś wiersz-litanię, albo Wiersz do Matki Boskiej Wrześniowej, by nie wpaść w banał? Chabrowski unika go, choć widzimy że nie może poradzić sobie z „ludźmi chemikowanymi"?, albo z „gestapowcami", którzy „się wynieśli albo ich rozstrzelano". Mało przekonywujące są wiersze: „Częstochowska" czy „Matka Boska Pielgrzymująca", w dodatku nazwanie jej „Radiotelegrafistką głębinowych fal" budzi sprzeczne uczucia. Czuje się brak selekcji: „stada piszących dwunogów", „protestantyzm i prawosławie", „abstrakcyjny kryształ", „Płaszcze planet", „modne ręce" itd. wyrywają się z całości i tracą równowagę poetycką. Potem zatrzymujemy się nad zwrotem który przykuwa:

Na niebie
sześć kropel deszczu.

i gdy kończymy wiersz zamknięty zwrotką:

Z otwartych szczelin tęczy
anioł wychyla rękę
i przeźroczystą
przecina żyłę deszczu.

O. Wacław T. Chabrowski, *Madonny*, Oficyna Poetów i Malarzy, stron 47, Londyn 1964.

cieszymy się razem z poetą jego zwycięstwem. Drobny obraz, krótkie cztery linie, a całość: soczysta kropla poezji.

O. Chabrowski czuje przyrodę, widać to w zdaniach:

Nad ranem od trawy krowa zzieleniała;
muchomór jadł poziomki, dostał wypieków.

Niestety, „mnich przemieniony na niebiesko od nieba" kłóci się ze stylistyką, a powiewające „flagi aniołów" są w istocie papierowe.

Jestem pewny, że wymienione tu potknięcia, nieuniknione w debiucie, nie zaważą na dalszej twórczości Chabrowskiego. Już wiersze pisane po *Madonnach* wskazują, że poeta zrobił olbrzymi postęp. Myślę że rozwój i poszerzenie talentu znajdzie O. Chabrowski w tematyce „świeckiej", w opisach przyrody, w próbach epickich i w pilnej lekturze młodych poetów polskich i amerykańskich. Bo Chabrowski musi również wzbogacić sobie język, przełamać jego powierzchowność.

Oficyna Poetów i Malarzy ma już swoją kartę w literaturze emigracyjnej i dlatego nie chcę dorzucać jeszcze jednej laurki do jej długoletniej, cennej działalności. Niemniej należy podkreślić jej zdrową żywotność. Tomik wydany wzorowo zdobią bardzo ciekawe rysunki Głowackiego.

Wacław IWANIUK

Dzielnica Szwarckopów

Z jakąż przyjemnością zabieram się do napisania o tej książce (1). Czasem udana książka przyjaciela bardziej cieszy niż własny utwór, bo radość, że dawno nie wspominany kolega wybił się, że się rozwinął i nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, potwierdza, iż warto było (to złe zresztą słowo) z tym kimś się zbliżać.

Przez lekturę tej książki odnawiałem znajomość z Jackiem Stworą: znowu widziałem go podczas okupacji w bursie studenckiej na Avenue des Demoiselles w Tuluzie, znowu rozmawiałem o Łobodowskiego powielaczowym piśmie „Wrócimy", wydawanym w obozie Caylus, znowu spotykaliśmy się we trójkę w Paryżu z Jackiem i Andrzejem Bobkowskim i ugwarzaliśmy w kafejce na rue Cardinet. Jacek błyskał czarnym naramiennikiem maczkowca, włosy miał jak zawsze starannie uczesane i trochę miłej pozy w ruchach, mówił mało, raczej pytał. A sam odpowiadał bardzo zwięźle. I sugestywnie. Parę słów, już się widziało to co opisywał, np. o Bredzie, o Maczkowie i o tym jak powstała nazwa „Czerwonych Koszul". Lecz głównie pytał i słuchał. Opowiadał jedynie dużo sam o... Krakowie. Urzeczony był nim, brak mu było jego aury, rozkoszował się opowiadaniami o ojcu, starym krakowskim dziennikarzu, chodzącym w młodopolskiej pelerynie, o Jamie Michalikowej, o różnych typach krakowskich. Wtedy ja

(1) Jacek Stwora: Dzielnica Szwarckopów, Wydawnictwo Literackie, Kraków, grudzień 1963, str. 102.

milkłem, a oni obaj gadali, bo o Krakowie mogli nieskończenie. A potem śpiewali: *Księżyc nad Krakowem, księżyc nad Krakowem...* i dalej już tylko nucili bez słów. Obaj byli na swój sposób chorzy na Kraków. Andrzej, z wyjątkiem żony Basi, wszystko w swym życiu kochał jakoś negatywnie na pozór, toteż w Krakowie widział tylko *krakauerów* i śmieszność prowincji geograficznej i psychicznej; Jacek widział i wspominał Kraków jakoś wiosennie, niemal bajkowo, z udziwnieniem, jechał przezeń jakąś zaczarowaną *avant la lettre* dorożką, czuło się, że może żyć tylko w tym mieście. Ze smutkiem pożegnaliśmy się: Stwora wracał do Polski, do Krakowa.

I oto po tylu latach bez wiadomości, bez myślenia o nim, czytam Stwory „Dzielnicę Szwarckopów", wybór jego reportaży radiowych, nagrywanych na żywo na taśmę, a potem z niej bez retuszu przepisanych. Jest to pierwsza pozycja książkowa Stwory (choć zdobył pewne imię jako autor tekstów do krakowskich teatrzyków satyrycznych i odznaczono go trzykrotnie nagrodą „Radiokomitetu" (!) i Zaiksu, zdobył nagrodę rozgłośni szczecińskiej, a w 1959 uzyskał nagrodę literacką miasta Krakowa, właśnie za reportaż radiowy). Ale też jest to chyba pierwsza tego rodzaju książka na świecie. Czyta się ją z napięciem i z uśmiechem, bo tyle w niej mądrego zamyślenia, ostrej obserwacji, najczystszej poezji i dramatyczności ludzkich losów. Inteligentny wstęp i sześć pomysłowych reportaży radiowych Stwory — stanowią razem książkę wartościową, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Powinien przeczytać ją każdy emigracyjny radiota, aby podpatrzeć Stworę w technice budowy reportażu. Każdy pisarz czy zwykły czytelnik też wiele skorzysta na tej lekturze: da mu ona sporo do myślenia na temat autentyzmu w literaturze, tego prawdziwego i tego robionego. Dziś rozumiem czemu wtedy Jacek tylko pytał; teraz wiem skąd i po co miał tyle sugestywności w swych krótkich zdaniach, które rzadko wypowiadał; teraz pojmuję skąd było w nim tyle odczucia do tego stopnia skondensowanego, iż umiał z każdego lubianego wiersza wybrać tylko linijkę, dwie, ale te najwłaściwsze, te najgłębsze. Teraz rozumiem i widzę to jego ciągłe odkrywanie nowej poezji w Krakowie: owe gołębie (szwarckopy), garbarnie, starcy, dzieci, żebracy, dostrzeganie szczegółu, nastroju, (urocze rozmowy z synkiem Wojciechem, jedno zdanie o szafach stojących na korytarzu w domu starców, a mówi ono o tym przytułku więcej niż inni by to zrobili w piętnastu zdaniach!) Stwora to urodzony radiota: *ma władzę nad wyobraźnią słuchacza.* A choć w edycji książkowej owe reportaże pozbawione są elementu głosu, odcienia głosu, intonacji i w ogóle dźwięku, jak furkot gołębi — to władzę tę zachowuje i nad czytelnikiem. Zaś oszczędny komentarz bez sloganów i wyświechtanych słów i króciutkie umiejscowienie akcji, surowe pozbawione waty tworzywo, a także czujna ludzka inteligencja reportera sprawiają, że są to arcydzieła małej formy.

A mogą być te reportaże tak pełne dramatyczności, jak „grane" przez Bergmanowskiego Maxa von Sydowa w sztokholmskiej rozgłośni wstrząsające „Trzeba głęboko oddychać". Ukazuje tam Stwora autora siedzącego w więzieniu, a który zdobył pierwszą nagrodę na konkursie na wspomnienia oświęcimskie. Autor ów nigdy nie był w Oświęcimiu, jego los wojenny zagnał go do partyzantki włoskiej, a potem do podziemia w Polsce, siedział tylko w Rawiczu na Centralnym w jednej celi z blokowym „krwawym Frankiem", skazanym na dożywocie, ułaskawionym po karze śmierci. Z opowiadań blokowego współwięźniowi, opowiadań młodzieńca schwytanego w ulicz-

nej łapance w Warszawie, a w Oświęcimiu, gdzie nie miał nawet 17-tu lat, szkolonego przez Niemców na mordercę, a który zakochał się w czeskiej Żydówce — Stwora ich własnymi prostymi słowami buduje wstrząsającą opowieść. Blokowy ów chciał Wierę wraz jej siostrą uratować od gazu, lecz nie mógł uratować jej matki. Mógł drogą przekupstwa przenieść te dwie dziewczyny do *Frauenlagru*. Lecz Wiera nie chciała rozstawać się z „maminką". Gdy prośby „krwawego Franka" nie pomogły, gdy dziewczyna szła na śmierć, ten młody zwyrodniałec, ale teraz przemieniony przez pierwszą miłość, nie może się zdobyć na nic innego, jak tylko na radę: *„Trzeba oddychać głęboko!"*. By się nie męczyła.

Prymityw „krwawego Franka", którego miłość bodaj na jakiś czas uszlachetnia, uderzenie władzy obozowej do głowy temu młodemu chłopcu, co nawet dziś po 18 latach z górą wspomina z niejaką dumą, swe własne zbrodnie z perspektywy lat w więzieniu, piękna postać Wiery, sylwetka autora owego opowiadania konkursowego — wszystko to jest ukazane wstrząsająco i bardzo po ludzku. Komentarz Stwory w wywiadzie z tymi dwoma ludźmi dziś siedzącymi na Centralnym w Rawiczu — jest bardzo oszczędny, a inteligentne przykrojenie fragmentów rozmów z tymi dwoma potęguje wrażenie, kondensuje dramatyczność sytuacji.

Reportaże radiowe Stwory cieszą się w Polsce dużą popularnością. Chociaż w innych krajach telewizja poszła tak dalece naprzód, że nie raz dystansuje radio, to w Polsce i w krajach „socjalistycznych" zachowało ono swoją pozycję. Oczywiście mowa o ciekawszych programach, nie o ramotach politycznych i przemówieniach Gomułki. Nigdzie chyba indziej nie zanotowano tak dużej procentowo rzeszy słuchaczy dobrych programów, prawie że literackich, co w Polsce. „Matysiakowie" to zjawisko socjologiczne pierwszorzędnej wagi. To samo odnosi się do reportaży Stwory i jego mniej udolnych naśladowców. W krajach na Zachodzie ogólny postęp następuje jakoś harmonijniej, w Polsce ciągle stare kłóci się z nowym.

Andrzej CHCIUK

Nadesłane nowości wydawnicze

GRABOWSKI (Zbigniew). *Nagrobek*. Nowele. Str. 160 i 4 nlb. (Wyd Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964)

CZERNIAWSKI (Adam). *Części mniejszej całości*. Opowiadania z przedmową Witolda Gombrowicza. Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964)

ZAJĄC (Józef). *Dwie wojny*, 1914-1939. T.I. Mój udział w wojnie o Niepodległość i w Obronie Powietrznej Polski. Str. 477 i 5 nlb. z indeksem nazwisk i miejscowości. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn, październik 1964, Cena Tomu I-szego 42 sh.).

MITKIEWICZ (Leon, płk. dypl. kaw.). *Kawaleria Samodzielna Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 roku*. Str. 315 i 7 nlb. Wyd. Związek Kawalerzystów i Artylerzystów Konnych w Ameryce Północnej, Toronto, Kanada 1964. (Skład Główny K.O.W., „Veritas", Londyn, cena egz. 60 sh.).

KORBOŃSKI (Stefan). *W imieniu Rzeczypospolitej...* Wydanie drugie przejrzane i uzupełnione. Str. 458 i 4 nlb. (Wyd. „Gryf", Londyn, 1964, cena £. 3.03.03).

SOWIŃSKI (Kazimierz). *Monogramy*. Poezje z portretem autora. Układ graficzny St. Piaskowskiego. (Wyd. Sigma Press, Albany, N.Y., USA, 1964).

SOSNKOWSKI (Kazimierz, gen. broni). *Legiony Piłsudskiego*. Str. 22. (Nakł. Zw. Narodowego Polskiego w Kanadzie, 1964).

CZARNOCKA (Halina). *Polska podziemna w latach 1939-1945*. Powielacz. Str. 24. (Londyn), 1964).

Komitet 50-ciolecia Czynu Zbrojnego Józefa Piłsudskiego — 6 sierpnia 1914 r. Sprawozdanie. Opr. ppłk. dypl. W. Chocianowicz. Str. 64. (Londyn, 1964).

Wspólnymi siłami. Komunikat Informacyjny Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, Nr. 2, Str. 19 i 1 nlb., Londyn, sierpień 1964).

Pierwsze prace Ośrodka. Komunikat Informacyjny Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, Nr. 3. Str. 14 i 2 nlb. (Londyn, luty 1965).

Historia 5 Pułku Piechoty Legionów „Zuchowatych". Opracowana pod redakcją płk. dypl. Gustawa Łowczowskiego. Powielacz, str. 188 i 16 dużych tablic ze szkicami. Odbito ogółem 120 egzemplarzy. (Wydawca Koło 5 p.p. Leg., Londyn, 1964).

FRIEDLANDER (Saul). *Pie XII et le III-e Reich*. Documents. Str. 231 i 7 nlb. (Ed. du Seuil, coll. „L'Histoire immédiate", Paris, 1964), cena F. 19,50.

PARIZEAU (Alice). *Survivre*. Roman. Str. 314 i 5 nlb. (Wyd. Le Cercle du livre de France, Ottawa, Canada, 1964).

HORDYŃSKI (Jerzy). *Les retours inaccomplis*. Poèmes traduits du polonais par Susanne Arlet. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Editions de la Revue Moderne, Paris.

SCHEPS (Samuel). *Adam Mickiewicz*. Ses affinités juives. Préface de Jean Fabre, professeur à la Sorbonne. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Les Editions Nagel, coll. „Littérature", Paris, 1964, cena F. 15).

MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz* or the Last Foray in Lithuania. A tale of the gentry in the years 1811 and 1812. Translated into English verse with an introduction by Kenneth Mackenzie. Str. 291 i 3 nlb. 24 ilustracje M.E. Andriollego w tekście. Okładkę projektował Stanisław Gliwa. (Wyd. The Polish Cultural Foundation, London, 1964, cena 42 sh.).

KORBONSKI (Andrzej). *Politics of Socialist Agriculture in Poland 1945-1960*. Str. 330. Objaśnienia określeń i skrótów, Indeks, Bibliografia. (Wyd. Columbia University Press, New York — Londyn, 1965, cena dol. 7,50).

KORBOŃSKI (Andrzej). *Comecon*. Seria: International Concilation, Zeszyt 549, September 1964. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Carnegie Endowment for International Peace, New York, 30 Sept. 1964, cena 0,50 dol.).

KORWIN-RHODES (Marta). *The Mask of Warriors*. The Siege of Warsaw, September 1939. Str. 192. (Wyd. Libra Publishers, Inc., New York, 1964, cena dol. 4,95).

BIALER (Seweryn), BRZEZINSKI (Zbigniew) and LOWENTHAL (Richard). *The Fall of Krushchev*. Varityper. Str. 14. (Wyd. Research Institute on Communist Affairs, School of International Affairs, Columbia University).

BERNE (Stanley). *The Multiple Modern Gods and other stories*. Preface by Sir Herbert Read. Str. 178 i 2 nlb. Drzeworyty Hermana Zaage. (Wyd. George Wittenborn, Inc., New York, 1964, cena dol. 5,—).

ZEKOWSKI (Arlene). *Abraxas*. Preface by Sir Herbert Read. Drzeworyty Hermana Zaage. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. George Wittenborn, Inc., New York, 1964, cena dol. 5,—).

The Living Name. A tribute to Stefan Stykolt from some of his friends. Edited by W.J. STANKIEWICZ, z przedmową Northropa Frye. Str. 110. (University of Toronto Press, 1964).

Zygmunt Krasiński Romantic Universalist. An International Tribute. Praca zbiorowa, wyd. przez Wacława LEDNICKIEGO. Zawiera opracowania: M. Giergielewicza, W. Weintrauba, W. Lednickiego, Claude Backvisa, Z.L. Zaleskiego, W. Folkierskiego, J. St. Clementa, St. Piekuta, H. Buddensiega i Cz. Miłosza. Str. 228 z indeksem nazwisk. (Nakł. Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., New York, 1964).

WEINTRAUB (Wiktor). *Three Cracow Silhouettes: Chrzanowski, Nitsch, Wędkiewicz.* Str. 16. (Odbitka z „The Polish Review, Vol. IX, Nr 2, New York, 1964).

WEINTRAUB (Wiktor). *„Pan Tadeusz" — An Antiprophetic Poem.* Str. 14-26. (Nadbitka z zeszytu 1 (12) tomu VII „Zagadnień rodzajów literackich".

WEINTRAUB (Wiktor). *The Problem of Improvisation in Romantic Literature.* Str. 119-137. (Odbitka z „Comparative Literature", Vol. XVI, No 2, Spring 1964).

Alphabetical List of Periodicals Polish or Relating to Poland. Part. II. Supplement to „Books in Polish 1963".. Str. 72. Powielacz. (The Polish Library, London, 1964).

Books in Polish or Relating to Poland. (A list of books in Polish or relating to Poland added to the collections of the Polish Library between the 1-st April and the 30-th June, 1964). Str. 43-93. Powielacz. (The Polish Library, London, 1964, Nos 4-6).

LOZINSKI (B. Philippe). *L'origine prakrite du nom de la ville de Kiev — l'implication des donnés historiques des sources arabes.* Str. 16. (Odbitka z „Etudes Slaves et Est-Européennes, VIII (1963), Université de Montréal, Canada, 1963).

LOZINSKI (B. Philip). The Name *Slav.* Str. 21-32. (odbitka z „Essays in Russian History", ed. by Alan D. Ferguson and Alfred Levin).

Lithuanian Books and Books in Foreign Languages Concerning with Lithuania in University of Pennsylvania Library, Philadephia, Pa. USA. Bibliografia. Str. 119 i 3 nlb. Varityper. (Chicago 1964).

DIRMANTAS (St. Prof.). *Kazimieras Semenavicius* żymus XVII A. vidurio mokslininkas, autorius-lietuvis, ir jo traktatas Ars magna Artilleria. Str. 77-107. (Odbitka z „Tautos Praeities, T. II, 1 kn., Rzym, 1964).

LITWINSKI (Léon). *Pensée et Sensibilité contemporaines.* Str. 1-4 (Extrait de la Revue „Synthèses", 19-e année, Nr 220, Septembre 1964).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Réflexions sur le mode de savoir des sciences physiques.* Str. 10-34. (Odbitka z Nr. 1, Vol. XX, 1964 „Laval théologique et philosophique", Laval, Quebec, Canada).

Alma Mater Jagellonica. The Sixth Centennial of the University of Cracow, Poland. Str. 38 i 4 fotografie. Odbitka z Vol. IX, Nr 2 (1964) „The Polish Review, New York, zawiera opracowania: Williama J. Rose: „Memories of Cracow City and University" oraz Wandy Stachiewicz: „The Jagellonian University (An Historical Sketch (Sponsored by the Polish Institute of Arts and Sciences in America, Canadian Branch).

PIEKUT (Stanislao). *Pagine scelte di prosa polacca del XIX e XX secolo.* Varityper, Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Liguori Editore, Napoli, 1964).

Humor krajowy

JESZCZE O CHRUSZCZOWIE

Dwóch Rosjan rozmawia ze sobą. Jeden mówi:
— Słyszałem, że towarzysz Chruszczow otrzymał w Moskwie trzypokojowe mieszkanie i że przyznano mu 1100 rubli miesięcznej pensji...
— Co ty mówisz! — zawołał drugi — 1100 rubli miesięcznie! To ogromne pieniądze jak dla sobowtóra!

◆

Pytanie: — Gdzie jest i co robi towarzysz Chruszczow?
Odpowiedź: — A kto to jest towarzysz Chruszczow?

◆

Najkrótsza depesza wysłana kiedykolwiek na terenie Związku Sowieckiego: Malenkow do Chruszczowa — AHA!

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: — Ile jest stron świata?
Odpowiedź: — Trzy: wschód, zachód i Jugosławia.

◆

Pytanie: — Czy Lenin był naukowcem?
Odpowiedź: — Nie, bo gdyby był, robiłby doświadczenia na myszach, a nie na ludziach.

◆

Pytanie: — Feluś! Jaka jest różnica pomiędzy kliką a kolektywem?
Odpowiedź: — Klika to oni, kolektyw — to my.

Z WARSZAWSKIEJ KAWIARNI:

Przyszła pora na Melchiora, przyjdą momenta i na Putramenta...

◆

Po wielu latach spędzonych w Ameryce, jegomość wraca do Polski jako repatriant. Po pewnym czasie spotyka na ulicy w Warszawie przyjaciela, który go pyta:

— Jak ci się żyje w Polsce?

— Wiesz mój drogi — odpowiada repatriant — dopiero w dzisiejszej Polsce odzyskałem radość życia.

— Jak to?

— No, bo cóż to było za życie w Ameryce: Żona chciała ryby — jadła rybę, chciała wędliny — jadła wędlinę, chciała jedwabiu — chodziła w jedwabiach, chciała futro — miała futro. Powiadam ci— nuda. A tu jak wczoraj, po dwóch godzinach stania w ogonku, udało mi się zdobyć kawałek parszywej kiełbasy i przyniosłem ją do domu — co to była za radość! To jest prawdziwa radość życia!

◆

W niebie istnieje specjalny wydział dla ofiar wypadków samochodowych. Święty Piotr na inspekcji pyta duszyczkę:

— Narodowość?

— Amerykanin.

— Marka samochodu?

— Cadillac.

— Okoliczności wypadku?

— 160 na godzinę, poślizg na drzewo.

Druga zapytana o to samo, odpowiada: Włoch, Ferrari, oblodzona szosa.

Trzecia: Polak, kupiłem Syrenkę na raty i umarłem z głodu.

◆

Z przemówienia dostojnika partyjnego na temat sytuacji gospodarczej (autentyczne):

„Proszę towarzyszy, jak wynika z przytoczonych tu danych sytuacja jest dobra, ale nie tragiczna..."

Zebrała *Zofia HERTZ*

Listy do Redakcji

Köln, 1.II.1963

Szanowny Panie Redaktorze!

W KULTURZE (Nr 1/1965) pan S.W. Kozłowski zajmuje się w ramach „Przeglądu niemieckiego" sprawą odejścia pana Petra Nasarskiego z DEUTSCHLANDFUNKU. Wydarzenie to uważa on za jeden z dowodów kryzysu rządowego w Republice Federalnej.

Niezależnie od tego, że taka ocena tej sprawy jest zupełnie nierzeczowa i niezrozumiała, incydent przedstawiony został w powiązaniu z kwestią, z którą w ogóle nic nie ma wspólnego.

31. lipca 1964 roku pan Nasarski opuścił DEUTSCHLANDFUNK w obustronnym porozumieniu. W tym, protokółowanym sądownie porozumieniu pan Nasarski udzielił DEUTSCHLANDFUNKOWI pełnomocnictwa do oświadczenia, że „gdyby w związku z jego wystąpieniem z DEUTSCHLANDFUNKU instytucji tej zarzucono, iż motywy były natury politycznej, to wersja ta nie odpowiada rzeczywistości". Mimo to twierdzi pan Kozłowski, że „...przyczyny pozbycia się kierownika polskiej sekcji były natury czysto politycznej". Wprawdzie sam zaznacza, że nie udało mu się „dociec na czym polegały te (nie polityczne) zarzuty" i zaraz dalej podkreśla, że „okazały się jakimś drętwym bezsensem".

Pan Kozłowski miał możliwość poinformowania się o tej sprawie w DEUTSCHLANDFUNKU. Niestety nie podjął on nawet próby w tym kierunku, nie stosując się do obowiązującej w takich wypadkach każdego poważnego dziennikarza zasady „audiatur et altera pars". Jesteśmy przekonani, że takie błędne naświetlanie tej sprawy byłoby mu wówczas zupełnie niemożliwe.

Nieuzasadnione jest także twierdzenie, że DEUTSCHLANDFUNK torpeduje „politykę pojednawczą" w swych audycjach redagowanych teraz przez „wielkoniemieckich pseudo-patriotów". Jakiegokolwiek dowodu na ten zarzut pan Kozłowski nie podaje. Manuskrypty naszych audycji stoją na jego życzenie do dyspozycji.

Charakter audycji DEUTSCHLANDFUNKU, informujących rzeczowo w językach obcych o Republice Federalnej, nie uległ w redakcji polskiej jak i we wszystkich innych redakcjach żadnej zmianie od czasu ich powstania. Ubolewamy nad tym, że poprzez przekręcenia i nieuzasadnione twierdzenia szkodzi się naszej pracy, służącej właśnie polityce pojednawczej.

W końcu chcielibyśmy przy tej okazji stwierdzić, że DEUTSCHLANDFUNK rzeczywiście ubiega się bardzo o współpracę doktora Laeuena, aby objął on stałe kierownictwo redakcji polskiej. Czy starania nasze będą skuteczne, zależy jedynie od zagadnień administracyjno-technicznych, gdyż doktor Laeuen związany jest bezterminowym kontraktem z rozgłośnią „Norddeutscher Rundfunk".

W interesie obiektywnego poinformowania czytelników powitalibyśmy opublikowanie niniejszego listu w czasopiśmie Pana.

Dyrektor programu
Viehöver

Zastępca doradcy prawnego
Prissok

◆

Berkeley, 15 grudnia 1964

Szanowny Panie Redaktorze,

Wtrącam kilka uwag do polemiki Londyńczyka z Kazimierzem Okuliczem w sprawie „porozumienia się z Rosją".

Przede wszystkim chcę zapytać: Czy obaj polemiści słusznie czynią używając — niejako wymiennie — określeń „Rosja" i „Związek sowiecki", a więc a jak gdyby utożsamiając te dwa pojęcia? Nie sądzę, aby taka całkowita identyfikacja odpowiadała istotnemu stanowi rzeczy, i nie tylko w odniesieniu do całości Związku sowieckiego, ale również o rdzenną Rosję.

Londyńczyk pisze (nr 11/205): „W *Kulturze* odrzucamy wszystkie mistycyzmy zarówno rosyjskie jak i polskie"... Miałbym tu zastrzeżenie. Byłoby rzeczą jasną bardzo smutne, gdyby zespół *Kultury* dyskutując o sprawach politycznych, społecznych lub gospodarczych błąkał się w oparach mistycyzmu. Ale co, jeżeli mistycyzm — jednostkowy czy zbiorowy — gdzieś naprawdę istnieje i staje się *przedmiotem* spokojnych i trzeźwych badań? Czy i wtedy należy go odrzucić?

W tym samym numerze *Kultury* Londyńczyk słusznie zastrzega się przeciwko teorii niezmienialności narodów. Wybrał jednak przykład Francji niezbyt trafnie bo po strasznym upuście krwi w latach 1914-1918 byłoby raczej dziwne, gdyby Francuzi już po 22 latach zdobyli się na bohaterski opór. Moim zdaniem „Vichy" było do przewidzenia przez polityka opierającego się nie na *wishful thinking*, ale na takich objawach jak fronty ludowe, bierność wobec remilitaryzacji Nadrenii, naiwna wiara w linię Maginota, no i w końcu — krótki okres *drôle de guerre*. Ja bym podał inny przykład: kraje skandynawskie, które w ciągu niespełna 200 lat z najbardziej zaczepnych i wojowniczych państw zmieniły się w kraje miłujące pokój i neutralistyczne. I nadto musiały u siebie przezwyciężyć... mistycyzm skandynawski, który jeszcze w końcu XIX wieku grasował nie tylko w pobliżu koła polarnego lecz w supercywilizowanej Danii (por. powieść laureata Nobla Karola Gjellerupa „Młyn na wzgórzu").

Wszystko zmienia się na tym świecie, a więc podlegają ewolucji i „dusze" narodów (używam popularnego i niezbyt naukowego terminu „dusza", bo nie jestem ani socjologiem, ani historykiem i nie znam lepszego określenia). Ewolucja jednak nie u wszystkich narodów postępuje w jednakowym tempie. Dlaczego? Jest to pytanie do zbadania przez specjalistów. Dla ludzi nie wyspecjalizowanych w socjologii lub historii pozostaje fakt, że nie wszystkie narody zmieniają się z jednakową szybkością. Chińczycy przez tysiąclecie, czy może dłużej trwali w bezruchu i zmiany w Chinach odbywają się dopiero na naszych oczach.

A Rosja? Rad byłbym wierzyć Londyńczykowi, że „maksymalizm duszy rosyjskiej" i imperializm rosyjski odchodzą w przeszłość. Nie wkraczając jednak na lotne piaski wizji i przewidywań spójrzmy po prostu na dwie mapy: księstwa moskiewskiego za czasów Iwana Kality (wiek XIV) i mapę dzisiejszego imperium sowieckiego. Uwierzę osobiście w zasadniczą zmianę „duszy" rosyjskiej w chwili, gdy granice tego imperium zaczną się dobrowolnie kurczyć do obszaru etnicznej Wielkorosji.

Uwaga końcowa. Londyńczyk odrzuca opinie Aleksandra Brücknera, Mariana Zdziechowskiego i Jana Kucharzewskiego jako przestarzałe. Może są przestarzałe, ale co im Londyńczyk przeciwstawia? Cytuję dosłownie: „Moją tezę opieram na świadectwie Polaków, którzy w ostatnich kilku latach dłuższy czas spędzili w Rosji. Jeden z moich rozmówców, wybitny młody

naukowiec, spędził w 1962 roku 6 miesięcy(!) w Związku sowieckim"... To niewiele.

I co powiedzieli Londyńczykowi ci rozmówcy? Powiedzieli, że Rosjanie nie boją się Amerykanów, boją się natomiast Niemców. Trochę to dziwnie wygląda u narodu, który odniósł nad Niemcami zwycięstwo i przy tym największe zwycięstwo w swych dziejach. Ale nie o to chodzi: chodzi o to, że ta „bojaźń Niemców" wygląda trochę na „teorię" Stalina, że najpierw zabór połowy Rzeczypospolitej polskiej i krajów bałtyckich, a później faktyczny zabór reszty Polski, połowy Niemiec, Węgier, Czechosłowacji i Rumunii — wszystko to stało się dla zabezpieczenia Rosji przed najazdem Niemców.

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia.

Michał K. PAWLIKOWSKI

◆

Dacrelands, Lancs' 10.XII.64

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Na marginesie gawędy Jana Bielatowicza pt. „Gaude Mater Polonia", autor gawędy i pan Michał M. Borwicz wymienili (ślicznie i kurtuazyjnie) listy rozstrząsające sprawę antysemityzmu i rasitowskich uprzedzeń do Żydów. W obszernych i poruszających różne aspekty tego zagadnienia listach Borwicz i Bielatowicz starli się również na temat nastawienia Stronnictwa Narodowego do pewnych aspektów literatury międzywojennej. Bielatowicz twierdzi, że ustalanie pierwiastków żydowskich w twórczości polskiej nie jest jeszcze rasizmem, na co Borwicz odpowiada, że nie o „ustalenie" mu chodzi, ale o piętnowanie tych pierwiastków i o nawoływanie do sanowania polskiej literatury z wpływów żydowskich, czego domagali się pisarze endeccy przed wojną. Jako przykład takiego właśnie nastawienia pan Borwicz cytuje publicystyczne wypowiedzi K.H. Rostworowskiego, który na odczycie pt. „O sanację literatury polskiej" mówił o tym, że „w twórczości literackiej język jest najmniej ważną sprawą", mówił o „bastardyzmie literackim" i o tym, że „przez bardzo porowatą ścianę, dzielącą naród polski od żydowskiego, przechodzą płynne elementy".

Nie mogę niestety, jak pan Borwicz, operować cytatami. Pragnę jednak naświetlić „klimat duchowy" w którym kształtowały się wypowiedzi publicystyczne Rostworowskiego, jego osobowość, nie artystyczną i nie polityczną, ale jego przekonania etyczno moralne. Być może że wtedy otoczka w około cytowanych przez pana Borowicza zdań zmieni ich sens na tyle, iż nie nadadzą się już one do argumentowania po stronie rasizmu.

Rostworowski, jak panu Borwiczowi oczywiście wiadomo, był pisarzem katolickim. Był również, co nie zawsze u artystów idzie w parze, człowiekiem konsekwentnym: jak pisał, tak żył, a raczej — i to jest oczywiście porządek właściwy — jak żył, tak pisał. Zasady miał tzw. surowe, czym zwykło się nazywać przestrzeganie prymatu duszy nad dezyderatami ciała. A będąc z urodzenia i przekonania katolikiem, zalecenia tej właśnie religii uznał za najskuteczniejszą tarczę przeciw wiecznie wycelowanym w człowieka strzałom cielesnym „którymi sieje przygoda w dzień biały".

Rostworowski był pisarzem katolickim autentycznym, a więc wojują-

cym. Pisarzem był z powołania i temperatemntu. Jeżeli stał się również politykiem i „człowiekiem publicznym", to właśnie z obowiązku owego wojowania. Tak tedy na arenie „narodowej" stał przede wszystkim rzecznik bardzo jasno sprecyzowanych wartości moralnych. Takie postawy są dziś mało praktykowane. W kołach literackich noszą miano uproszczeń psychologicznych, albo twórczości służebnej, gdy „bujność" słowa jest podporządkowana wymogom przekonań. Niemniej Rostworowski, może jeden z ostatnich, tak właśnie rozumiał swoje artystyczne powołanie. Z pasją wyznawał swoją wiarę. W niej również widział zdrowie moralne i społeczne narodu.

Otóż zdaniem Rostworowskiego, w te właśnie wartości moralne godziła w „dzień biały", bo ze stronic książek, przygoda niektórych poczynań literackich, a że godziła na jego własnym podwórku dramaturga i poety, wojujący pisarz katolicki tym żywiej reagował. Słusznie, czy niesłusznie (bo nie o to tu chodzi) Rostworowski uważał że lubieżność i zmysłowość („Latem baby biodrzeją, w babach soki się grzeją" — Tuwim), brak równowagi, ten jakiś wewnętrzny histeryczny gwałt („Rozbyczę się, rozjuszę, wycharknę z siebie duszę, ten pęcherz pełen strachu" — Tuwim), łatwy smaczek, niezdrowy dreszczyk, usłużną giętkość, wygodne a błyskotliwe nieangażowanie się w sprawy, a tylko w sprawki, że lwia część tymi elementami nasyconej literatury spływa spod piór pisarzy pochodzenia żydowskiego. Zaś polskie miękkie i niezbyt bystre społeczeństwo na tego rodzaju traktament nie stać, bo się potem jeszcze bardziej rozlezie, do czerepu rubasznego doprawiając podgniłe kończyny.

Powtarzam: nie w tym rzecz, czy Rostworowski miał rację, czy jej nie miał. Rzecz w tym, że piętnując wyż.wym. akcenty w literaturze i twierdząc że najwięcej spotyka się ich u pisarzy pochodzenia żydowskiego, Rostworowski kierował się przesłankami nie z rasizmem nie mającymi wspólnego. Z równym powodzeniem można by o rasizm pomawiać Inkwizycję, instytucję minimalnie interesującą się stroną biologiczną istoty ludzkiej.

Polityka nie zawsze sprzyja precyzji i czystości sformułowań. Politycy nie zawsze mogą mówić tylko w własnym imieniu. Być może że spadając z wysokości wiecowej trybuny, słowa Rostworowskiego obrastały atmosferą miejsca z którego przemawiał i czasów w których przemawiał. Ale wiem że gdy mówił o „sanacji literatury polskiej", chodziło mu o uzdrowienie moralne, gdy mówił że „w twórczości literackiej język jest najmniej ważną sprawą", miał na myśli sprawę w jego pojęciu grubo ważniejszą, bo obowiązek kształtowania charakterów, że „bastardem literackim" nazwałby każde dzieło poniżej standardu etycznego, który wyznawał i o którego utrzymanie walczył.

Że taki a nie inny był mechanizm, główne koło rozpędowe twórczości K.H. Rostworowskiego wiem nie z artykułów i wypowiedzi publicznych tego pisarza, ale z codziennych rozmów. Pod jego dachem spędziłem bowiem pierwszych siedemnaście lat mego życia.

Jan ROSTWOROWSKI

PS: Już po napisaniu tego listu doszedł do moich rąk Nr 176-177 krajowej „Współczesności", zawierający obszerny artykuł Ludwika Fryde, traktujący o twórczości Tuwima. Oto co Fryde pisze w ostatnim paragrafie artykułu, noszącego tytuł „Klęska Juliana Tuwima":

„W twórczości Juliana Tuwima osobowość poety, pozbawiona pionu moralnego i oparcia w wartościach metafizycznych, napiera całą siłą na formę i łamie ją w szaleńczym pragnieniu odnalezienia w poezji rzeczywistości

i prawdy. Stanowi to jakby symboliczny obraz semityzmu duchowego, szarpiącego się tragicznie w walce o pełne wrośnięcie w kulturę zachodnio-europejską. W tę kulturę, której naczelnymi zasadami są: osobowość uprawniona w swojej autonomii mandatem Boga i forma, przetwarzająca materię, proch ziemski i podnosząca go w ten sposób ku Bogu".

Paragraf ten, w którym niesposób dopatrzyć się rasizmu, mógłby 25 lat temu podpisać K.H. Rostworowski.

J. R.

◆

Stanford, Kalifornia, dnia 24 stycznia 1965

Drogi Panie Redaktorze!

Chcę sprostować istotny błąd, jaki się wkradł do „Białej Księgi".

W rozdziale „Sprawa Wilna" przedostatnie zdanie (str. 132) powinno się kończyć: „..., zaś, po dokonaniu w Kownie 16 października wymiany dokumentów ratyfikacyjnych *oraz po podpisaniu w Moskwie 27 października dodatkowego protokułu, dokładnie opisującego sowiecko-litewską granicę*, w nocy z *27/28* października wojska sowieckie weszły do Wilna".

Łączę najlepsze wyrazy i powinszowania z powodu ładnego i starannego wydania tej pracy

Wiktor SUKIENNICKI

◆

Nottingham, 10 stycznia 1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Drukując „Nowe przekłady z hiszpańskiego" („Kultura" nr 1/207-2/208, str. 225-232) pominął Pan postskrypt do podrozdziału o książce „Wędrując po las Hurdes". O ile miejsce na to pozwoli, proszę o uwzględnienie go choćby w Listach do Redakcji.

„Już po skreśleniu uwag o „Wędrują po las Hurdes" otrzymałem bogato ilustrowaną książeczkę wydaną przez hiszpańskie biuro informacji pt. „Las Hurdes, leyenda y verdad". Jest to w pewnym sensie druga strona medalu, album pięknych widoków i rejestr osiągnięć gospodarczych i społecznych, typ publikacji rozpowszechniony na całym świecie, ukazujący odświętny, optymistyczny obraz. Pojawienie się tej książki w serii dokumentów społecznych jest wielkim komplementem pod adresem autorów krytycznego szkicu, gdyż dowodzi że politycy mimo wszystko muszą się liczyć z literatami. Pochwalić ich trzeba za to, że wolą szermować z nimi piórem, zamiast uciekać się do represji. Szkoda tylko, że wzorem polemistów małodusznych w przeglądzie literatury, która stworzyła i propagowała mit krainy Las Hurdes, zbyto aluzją pozycję najświeższą, odpowiedzialną przecież za oficjalną replikę, i że nie wymieniono nazwisk autorów. Przemilczanie jest dowodem nie tyle poczucia wyższości, co lęku".

Florian ŚMIEJA

Hove, dnia 10 grudnia 1964

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem czytałem pełne swady i właściwego autorowi temperamentu wspomnienia mego przyjaciela Józefa Łobodowskiego pt. „O cyganach i katastrofistach". Nie mogę wprawdzie o sobie powiedzieć, bym kiedykolwiek był cyganem lub katastrofistą, jednakże z wielu ludźmi, o których pisze Łobodowski, łączyły mnie dość ścisłe więzy, a w sprawach omawianych do jesieni 1934 roku brałem czynny udział. W „Państwie Pracy", którego byłem redaktorem naczelnym od września 1932 r. do maja 1934 r., kolumnę literacką pt. „Kohorta" redagowali Józef Czechowicz i Jerzy Zagórski. Z ich też inicjatywy ja właśnie zorganizowałem w Warszawie, w wielkiej sali Towarzystwa Higienicznego przy ul. Karowej, wieczór poetycki z udziałem 16 poetów z Warszawy, Krakowa, Lublina i Wilna. Impreza ta, pod firmą „Państwa Pracy", nazywała się „Wieczór najazdu poezji awangardowej", a nie „Najazd awangardy na Warszawę", jak ją nazywa Łobodowski. Odbyła się ona w końcu stycznia 1934 roku, a więc jeśli Łobodowski pisze, że zaproszenie jego do wzięcia udziału we wspomnianym wieczorze zbiegło się co do dnia z jego aresztowaniem i że było to w drugiej połowie lutego, to pamięć go nieco zawiodła i odpowiednie daty wymagają adiustacji. Te nieścisłości nie są jednak istotne i tym łatwiejsze do wybaczenia, że Łobodowski w zakończeniu zastrzega się, że mógł popełnić jakieś drobne błędy.

Muszę jednak stanąć w obronie nie mogącego polemizować na łamach „Kultury" mojego brata, któremu Łobodowski przypisuje wręcz kompromitującą bzdurę. Pisze mianowicie:

„W roku 1935 ukazały się dwa tomy wierszy, które nieco późniejsza krytyka uznała za najbardziej reprezentacyjne książki „katastroficzne": „Przyjście wroga" Zagórskiego i „Rozmowa z ojczyzną" Łobodowskiego. „Przyjście wroga" to poemat (...) przeładowany wzburzonymi wizjami, miejscami surrealistycznymi, kiedy indziej nurzającymi się w groźnej eschatologii. Nie brakuje w nich poetyckich nieporozumień, a nawet niezamierzonej groteski, jak owe: „Rzeźnik w Otwocku rąbał świnie, zgrabnie siekierą rąbał w pół..."

W odsyłaczu Łobodowski zaznacza: „Cytuję z pamięci więc może niezbyt dokładnie". Niezbyt dokładnie?

„Przyjście wroga" ukazało się wczesną wiosną 1934 roku nakładem „Państwa Pracy" (a więc na rok przed „Rozmową z ojczyzną" Łobodowskiego). Przypadkiem posiadam odnaleziony już po ostatniej wojnie w piwnicy jakiejś księgarni w Krakowie i doręczony mi przez brata w Rzymie 22 września 1946 roku egzemplarz „Przyjścia wroga". Sprawdziłem: w całym tomiku nie ma słowa „rzeźnik", ani razu nie jest wymieniony Otwock, nie ma w nim mowy o rąbaniu świń ani „zgrabnie", ani niezgrabnie, ani „w pół", ani w żaden inny sposób! Więc skąd ta cytata? Może z jakiegoś innego tomiku jakiegoś innego poety?

Osobiście jestem skłonny przypuszczać, że w pamięci Łobowskiego utkwiła jedna ze złośliwych parodii, w których celował Józef Czechowicz. On to przecież ośmieszał tzw. „poezję proletariacką", deklamując z patosem: „Nie dla nas, nie dla nas ten wonny ananas!" Ale ta bzdura też nie wyszła spod pióra mojego brata, który zresztą nigdy nie był poetą „proletariackim"...

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni

Wacław ZAGÓRSKI

Londyn, 10.2.1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę uprzejmie u dzielenie mi trochę miejsca na odpowiedzenie na trzy listy do Redakcji w sprawie moich artykułów o Funduszach.

1. Trudno mi dyskutować z wypowiedzią p. Łaszewskiego, zwłaszcza w sprawach historii SPK. Opinie wyrobiłem sobie na podstawie dokumentów i wywiadów z ludźmi, kierującymi Stowarzyszeniem. Rozumiem więc, że to raczej w ich stronę kieruje p. Łaszewski swoje zastrzeżenia nie wiele mające wspólnego z zasadniczym tematem moich artykułów. Mnie interesował czas teraźniejszy i przyszły.

2 Chętnie uznaję sprostowania p. Libickiego w sprawie mej arytmetyki, związanej z bilansem Funduszu Społecznego Żołnierza. Gdybym miał drugi raz te sprawy opracowywać, skorzystam z cennych uwag.

Nie mogę się zgodzić z jednym, a mianowicie, że F.S.Ż. jest kontrolowany przez czynniki społeczne. Jeżeli jest to w minimalnym stopniu. Brak zmian w Zarządzie, ten sam prezes od 20 lat, to dowody wystarczające. I jeszcze jedno: nigdy nie widziałem ogłoszenia Funduszu w żadnym piśmie, a przecież wiedząc o nim na pewno korzystałoby z niego więcej b. żołnierzy.

3. Wypowiedź przesłana do Kultury przez p. Komarnickiego zarzuca mi wiele przekroczeń. Niektóre z nich fikcyjne — jak to z kim miałem przeprowadzać wywiad i co czytać przed napisaniem o Polish Research Centre. To przecież jest moja sprawa i nikogo więcej. W tym zakresie mogłem liczyć się tylko z sugestiami Redaktora „Kultury".

Czy się pomyliłem twierdząc że „Szembeka" i „Zakon Maltański" wydano przy pomocy zasiłku z Wolnej Europy? Przecież p. Komarnicki przyznaje się do otrzymywania tego zasiłku. Na co? Bardzo pięknie jeżeli zużywa się go na wydawnictwa, chociażby tylko na uzupełnienie funduszy wydawniczych powstałych z publicznych składek.

Działalność Polish Research Centre była mi dobrze znana. Wiem chociażby to, że wśród wydawnictw tego ośrodka figuruje pozycja: The Theory of Egoistical Cruelty", napisana przez Janusza Rymszę i wydana wspólnie z „Reseach Centre of Hypnosynthetic Psychoterapy".

Znając zasługi Ośrodka nie chciałem po prostu powtarzać tego, co wszystkim Czytelnikom „Kultury" jest znane z książki Czaykowskiego i Sulika.

Widziałem też raport z lustracji bibliotek i wyczytałem tam nie tylko zestawienie skatalogowanych i nieskatalogowanych pozycji biblioteki Polish Research Centre, która — utrzymuję w dalszym ciągu ciągu — jest bardzo mało znana nam, „szarym londyńczykom". W raporcie też dostrzegłem pochwałę dla Biblioteki Polskiej, dla ładu, porządku i pracy tej placówki. Jak wszyscy Polacy na tych Wyspach jestem nie tylko przyjacielem i klientem Biblioteki Polskiej, ale jej obrońcą.

Twierdzę, że większość ofiarodawców na Apel Biblioteczny dawała w przeświadczeniu, że daje na Bibliotekę Polską.

Nas wszystkich dziwi unikanie pisania o Bibliotece Polskiej w tych wypowiedziach jakie ukazały się tu w prasie, a przecież w sprawie jakichkolwiek scalań, czy reorganizacji ta Biblioteka jest najważniejszą pozycją.

Tyle miałbym do powiedzenia w sprawie trzech wypowiedzi nadesłanych do redakcji „Kultury".

Chciałbym także zauważyć, że tych innych listów, których mieliśmy się prawo spodziewać — i ja jako autor, i Czytelnicy jako zainteresowani — tych listów nie napisano. Sprawy funduszów polskich na emigracji, tak ciekawej i pasjonującej wszystkich Polaków, nie poruszyło żadne z pism londyńskich. Nie odezwał się żaden prezes, czy powiernik. A chodzi o sprawy, które nas wszystkich bolą.

Dlaczego wciąż ci sami ludzie, prawie niekontrolowani, rządzą funduszami? Dlaczego statuty i cele nie zmieniają się, chociaż od założenia minęło 20 lat i nastąpiło wiele zasadniczych zmian w życiu? Dlaczego decydujący głos w sprawach funduszów posiadają ludzie opłacani z tych funduszów, albo korzystający z nich? Dlaczego fundusz Komitetu Obywatelskiego nie jest zajerestrowany u Charity Commissionera, którego opieka daje rękojmię kontroli, chociaż angielskiej?

Dlaczego i dlaczego... bardzo wiele zasadniczych pytań postawiłem w swoich artykułach — nikt nie kwapił się z odpowiedzią?

Jedynie list p. Libickiego zajmował się zasadniczą sprawą, inne poruszały to, co uważam za drugi plan zagadnienia.

Wydaje się, że bardzo wielu milczy celowo. Oczekują, że zagadnienie umrze śmiercią naturalną.

Niedawno pewien działacz funduszowo-społeczny powiedział, że emigracja ma przed sobą 10 lat życia. Czyżby ci panowie planowali, aby te 10 lat przeżyć spokojnie, a po ich odejściu niech się dzieje co chce, byle by wystarczyło na pogrzeb i książkę pamiątkową.

Niedawno zmarł Jan Kwapiński. Kiedyś rozporządzał on znacznymi sumami, które miał pod osobistą, całkowitą kontrolą. Ile razy go pytano, nagabywano, o te pieniądze obiecywał, że wyliczy się z nich przed śmiercią.

Nie zdążył. Umierając przekazał pozostałość majątku swej córce, a pewne sumy pochodzące z Funduszu Pomocy Związków Zawodowych oddał testamentem Towarzystwu Przyjaciół Młodzieży w Londynie.

Jan Kwapiński był (jak go już raz nazwałem) „szlachetnym powiernikiem". Nie żałował pieniędzy na cele kulturalne i wspomagał wiele imprez, choć robił to wedle własnego widzimisię.

Jak rozporządzą pieniędzmi inni powiernicy? Co się stanie z funduszami?

Jakże bardzo się ucieszymy, Panie Redaktorze, jeżeli ktoś napisze do Redakcji list, w którym ten mój pesymizm i podejrzliwość rozwieje.

Może być nieprzyjemny dla mnie, może być utrzymany w tonie wypowiedzi nadesłanej przez p. Komarnickiego — ja będę się cieszył z takiego listu.

Czesław DOBEK

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHiswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1er trimestre 1965

BIBLIOTEKA NARODOWA

NOWOŚCI BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy - MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) France

Wincenty WITOS

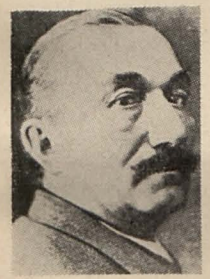

Tom XCIX
Cz. 1 - Str. 357
Cz. 2 - Str. 439
Cz. 3 - Str. 528
87 F (130/-;
$ USA - 18,-
$ Can. - 20,-)

MOJE WSPOMNIENIA

• Fakt, że Pamiętniki W. Witosa ukazują się na Zachodzie jest gwarancją, że wydane zostały tak, jak były napisane, bez skrótów, dodatkowych naświetleń czy wypaczeń. Mimo wielu starań Pamiętniki te nie mogły ukazać się w kraju, mimo, że Witos 20-lecia naszej historii nie wybiela. Przeciwnie, o ludziach tego okresu mówi bezlitośnie, często nawet zbyt kontrowersyjnie. Na kanwie jego Wspomnień przesuwają się setki ludzi i jego własna postać: jego osiągnięcia gdy od prostego chłopa doszedł do stanowiska premiera w najtrudniejszych chwilach naszej historii. (Wyd. 1964/1965).

Walter G.KRYWICKI

BYŁEM AGENTEM STALINA
(Seria „Archiwum Rewolucji")

• Pierwszy dokument odsłaniający kulisy działalności NKWD oraz konsekwentnego dążenia Stalina — od początków swoich rządów — do współpracy z Niemcami. Książka ta, wydana w St. Zjedn. w r. 1939, była ostrzeżeniem dla Zachodu. Niestety mimo jej powodzenia ostrzeżenia nie wzięto pod uwagę. Jak się okazało książka ta była nie tylko dokumentem, ale także aktem odwagi: autor zapłacił za nią głową. (Wyd. 1964).

Tom C
Str. 217
13,50 F (20/-; $ 3,-)

Jan BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

• Gawęda wychowanka Uniwersytetu Jagiellońskiego z drugiej połowy 20-lecia Niepodległości (1931-37), napisana w 600 rocznicę uczelni. W prostym opowiadaniu autor stara się zbliżyć i ewokować dostojeństwo murów i kolegiów, charakter i ducha historycznej uczelni, życie i obyczaje studentów, przedstawić możliwie szeroką galerię profesorów i wykładowców, a także powszednie i odświętne życie studentów, ich zainteresowania i pasje.

Dla autora wszystko to co działo się w Akademii krakowskiej i co się z nią wiązało, wydaje się po latach bliskie i drogie jego pamięci. (Wyd. 1964).

Tom CI
Str. 80
Wyczerpane

Stanisław MACKIEWICZ

POLITYKA BECKA

• Znany kontrowersyjny publicysta polityczny pisze z właściwą mu pasją o naszej polityce zagranicznej ostatnich lat przed wojną. Wiele nieznanych szczegółów i faktów w oryginalnym naświetleniu autora. (Wyd. 1964).

Tom CII
Str. 190
12 F (18/-; $ 2,50)

ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 6-ty)

• Poświęcony rocznicy wybuchu 2-ej Wojny Światowej i rocznicy Powstania Warszawskiego Zawiera opracowania śp. gen. M. Karaszewicz-Tokarzewskiego, W. Babińskiego, Z.S. Siemaszki, Jana Kowalewskiego, A. Ponińskiego i innych (Wyd. 1964).

Tom CIII
Str. 240
15 F (22/-; $ 3,-)

Tom CIV
Str. 96
7,50 F (11/6; $ 1,75)

Ignazio SILONE

WYBÓR TOWAZRYSZY

(Seria „Archiwum Rewolucji")

• Ignazio Silone jeden z najwybitniejszych pisarzy włoskich był jednym z założycieli i czołowych działaczy włoskiej partii komunistycznej, bliskim współpracownikiem Gramsciego, delegatem (wraz z Togliattim) na moskiewskie posiedzenia Kominternu i głównym publicystą partyjnym. Swoje zerwanie z komunizmem opisał Silone w słynnym sympozjonie sześciu exkomunistów *The Got Thad Failed.* Autobiograficzna opowieść Silonego ukazuje się nareszcie w tomiku *Wybór Towarzyszy,* wzbogacona o dwie późniejsze w czasie wypowiedzi na ten sam temat. (Wyd. 1964).

Tom CV
Str. 178
12,75 F (19/-; $ 2,75)

Wiktor SUKIENNICKI

BIAŁA KSIĘGA

(Seria „Dokumenty". Zeszyt 13)

• Zawiera fakty i dokumenty z okresów dwóch wojen światowych w opracowaniu i tłumaczeniu W. Sukiennickiego. Wiele cytowanych dokumentów, częściowo zapomnianych i trudno dostępnych obrazuje rosyjskie względnie sowieckie plany rozwiązania sprawy polskiej. Dotychczasowe zbiory dokumentów były często fryzowane na optymizm celem uspokojenia społeczeństwa polskiego. „Biała Księga" stara się patrzeć prawdzie w oczy. (Wyd. 1964).

Tom CVI
Str. 72
6 F (9/-; $ 1,25)

Juliusz MIEROSZEWSKI

EWOLUCJONIZM

• Ewolucja czy likwidacja komunizmu? Czy upadek materializmu dialektycznego przesądzi o upadku komunizmu jako ustroju? Czy emigracja może oddziaływać na proces reformy ustrojowej kraju?

Na powyższe pytanie, jak i na wiele innych, związanych ze współczesnymi problemami politycznymi stara się odpowiedzieć publicysta KULTURY w swojej ostatniej książce.

J. Mieroszewski jest autorem książki w języku niemieckim pt.„ Kehrt Deutschland in dem Osten zurück?", wyd. przez Colloquium Verlag w Berlinie. (Wyd. 1964).

Abram TERC

MYŚLI NIESPODZIEWANE

Tom CVII
Str. 94
7,50 F (11/6; $ 1,75)

• Kolejny, przemycony z ZSSR, rękopis znanego już czytelnikom autora książek: „Sąd idzie", „Opowieści fantastyczne" i „Lubimow", zawiera myśli istotnie zaskakujące. Zwraca uwagę niezwykle częste, jak na pisarza sowieckiego, odwoływanie się do Boga, rozważania o samotności człowieka i śmierci. (Wyd. 1965).

ZESZYTY HISTORYCZNE
(Zeszyt 7-y)

Tom CVIII
Str. 240
15 F (22/-; $ 3,00)

• Zawiera: początek większej pracy T. Katelbacha o pierwszych miesiącach powrześniowej emigracji; kontrowersyjną historię lotnictwa polskiego płk. Kalinowskiego, opracowania na temat udziału Białorusinów i Litwinów w powstaniu styczniowym; wspomnienia z pobytu w więzieniach i łagrach sowieckich, wspomnienia kolejarza z okresu 2-ej wojny światowej, wspomnienia z partyzantki na Wileńszczyźnie i inne.

Prenumeratorzy KULTURY korzystają z 50% zniżki abonując ZESZYTY HISTORYCZNE, które ukazują się dwa razy w roku. (Wyd. 1965).

Wacław IWANIUK

Tom CIX
Str. 108
7,50 F (11/6; $ 1,75)

WYBÓR WIERSZY

• Nowy tom poety o utrwalonej już pozycji na emigracji właśnie w dziedzinie poezji nowoczesnej. (Wyd. 1965).

Wacław Iwaniuk otrzymał Nagrodę Literacką „Kultury" za rok 1964.

Imprimé en France — IMPRIMERIE RICHARD, PARIS-18e

BIBLIOTEKA NARODOWA

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8º Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Ksiegarniach polskich w Paryzu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél : HU 8-5224 ; **H.R. Radomski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829 ; **M. Krol,** 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; « **Zwiazkowiec** », 1475 Queen St., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491 ; **W.T. Drymmer,** 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 $ Can.	8,00 $ Can.	13,00 $ Can
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., **S. Dobczynski, Alma Shipping Cº,** 121 St. Marks Pl., New York **9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave.; Hollywood 46, Cal.; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41, Katherine Rd , Watertown 72, Mass.; **T. Konopacki,** 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **Polish Amer, Book Cº,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing Cº,** Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; **R.J. Sas-Babczynski,** 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; **Jan Wojcik,** 24 Doris Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski,** 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych,** 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CV - Seria «Dokumenty»

w opracowaniu

WIKTORA SUKIENNICKIEGO

BIAŁA KSIĘGA

zawierająca zbiór dokumentów, dotyczących stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich z okresu dwóch wojen światowych.

Str. 176 — Cena egz. F. 12,75 (19 sh.; $ 2,75)

◆

TOM CVI

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

EWOLUCJONIZM

Str. 68 — Cena egz. F. 6 (9 sh.; $ 1,25)

◆

TOM CVII

ABRAM TERC

MYŚLI NIESPODZIEWANE

Przekład Józefa ŁOBODOWSKIEGO

Str. 94 — Cena egz. F 7,50 (11/6; $ 1,75)

◆

TOM CVIX

WACŁAW IWANIUK

WYBÓR WIERSZY

Nagroda Literacka «Kultury» za r. 1964

Str. 110 — Cena egz. F 7,50 (11/6; $ 1,75)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 5,00 F